

# STEPHEN KING

jako  
Richard Bachman

A detailed illustration of a handgun, likely a Smith & Wesson Model 10, lying on a wooden surface. The background features a close-up of a person's eyes, suggesting a focus on the character's perspective. The overall tone is dark and atmospheric, with a yellowish-brown color palette.

**RAGE**

## Rozdział 1

Ranek, kiedy zacząłem całą zabawę, był miły; śliczny majowy poranek. Co czyniło go miłym, to fakt, że nie zwymiotowałem śniadania, oraz wiewiórka, którą zauważyłem przed salą matematyki.

Usiadłem w rzędzie najbardziej oddalonym od drzwi, tuż przy oknach i zauważyłem wiewiórkę na trawniku. Trawnik w Liceum Placerville jest naprawdę niezły. Nie opieprza się - podchodzi prosto do budynku i mówi "cześć". Nikt, przynajmniej przez te cztery lata, jakie spędziłem w Liceum Placerville, nie próbował odepchnąć go od gmachu kwietnikami, albo małymi sosenkami, ani żadną z tych sympatycznych pierdółek. Podchodzi wprost do cementowych fundamentów i tam sobie rośnie, czy wam się to podoba, czy nie. To prawda, dwa lata temu, na zebraniu miejskim, jakiś babsztyl zaproponował, żeby miasto wybudowało przed szkołą pawilon, w komplecie do pomnika upamiętniającego chłopaków, którzy chodzili do Liceum Placerville, a później dali się wykończyć na tej czy innej wojnie. Mój przyjaciel, Joe McKennedy, był przy tym i opowiadał, że reszta nie robiła nic innego, tylko wynajdywała utrudnienia. Żałuję, że mnie przy tym nie było. Z tego co mówił Joe wynikało, że trwała tam niezła szopka. Dwa lata temu. O ile sobie przypominam, mniej więcej w tym czasie zacząłem wariować.

## Rozdział 2

A zatem była tam wiewiórka, biegająca po trawie, niecałe dziesięć metrów od miejsca, w którym słuchałem pani Underwood, oprowadzającej nas po podstawach algebry w następstwie koszmarnego sprawdzianu, którego najwyraźniej nie zaliczył nikt poza mną i Tedem Jonesem. Nie spuszczałem z niego oczu, tyle wam powiem. Z wiewióra, nie z Teda.

Pani Underwood napisała na tablicy coś takiego:  $a = 16$ . "Panno Cross" powiedziała, odwracając się "Proszę nam powiedzieć, co oznacza to równanie, jeśli łaska".

- Oznacza, że to szesnaście. - odparła Sandra. Tymczasem wiewiórka biegła w tę i z powrotem po trawie, z napuszonym ogonem i czarnymi oczkami, lśniącymi jak ziarnka grubego śrutu. Ładna, tłusta sztuka. Pan Wiewiór z pewnością zjadł więcej śniadań, niż ja ostatnimi czasy, ale ten ranek był tak pogodny i spokojny jak tylko można sobie wymarzyć. Nie miałem dreszczy, nie bolał mnie żołądek. Czuję się świetnie.

- W porządku. - powiedziała pani Underwood - Nieźle. Ale to nie koniec, prawda? Nie. Czy ktoś chciałby bardziej szczegółowo omówić to fascynujące równanie?

Podniosłem rękę, ale ona wywołała Billy'ego Sawyera. - Osiem plus osiem. - burknął.

- Proszę wyjaśnić.

- Znaczący, to może być... - Billy zaczął się wiercić. Powiódł palcami po graffiti wyrzniętym na blacie ławki SM L DK, GORAÇA SZTUKA, TOMMY '73. - No, jeśli doda się osiem i osiem, to wychodzi...

- Mam ci pożyczyć swój słownik? - zapytała pani Underwood, uśmiechając się ostrzegawczo. Zaczął mnie trochę boleć żołądek, śniadanie poruszyło się odrobinę, więc znów popatrzyłem na wiewiórkę. Uśmiech pani Underwood przypomniał mi o rekinie w "Szczękach".

Carol Granger podniosła rękę. Pani Underwood skinęła głową.

- Czy on nie ma na myśli tego, że osiem plus osiem również spełnia równanie?

- Nie wiem, *co* on ma na myśli. - odpowiedziała pani Underwood.

Ogólny śmiech.

- Czy może pani rozwiązać to równanie w jakiś inny sposób, panno Granger?

Carol zaczęła mówić, a wtedy odezwał się interkom: "Charles Decker jest proszony do biura. Charles Decker. Dziękuję."

Spojrzałem na panią Underwood, a ona przytaknęła. Mój żołądek zaczął się kurczyć i czuć bardzo staro. Wstałem i wyszedłem z klasy. Kiedy wychodziłem, wiewiórka wciąż podskakiwała radośnie.

Przeszedłem połowę drogi korytarzem, kiedy wydało mi się, że słyszę panią Underwood skradającą się za mną, z podniesionymi rękami wykręconymi w szpony i uśmiechającą się swoim rekinim uśmiechem. *Nie potrzebujemy tutaj chłopców takich jak ty... miejsce chłopców takich jak ty jest w Greenmantle... albo w poprawczaku... albo w stanowym szpitalu dla obłąkanych kryminalistów...więc wynoś się! Wynoś się! Wynoś się!*

Odwrociłem się, po omacku szukając w tylnej kieszeni klucza hydraulicznego, którego oczywiście nie miałem, a śniadanie przypominało teraz twardą, gorącą kulę w moich wnętrznościach. Ale nie bałem się, nawet jeśli klucza tam nie było.

Naczytałem się za dużo książek.

### Rozdział 3

Zatrzymałem się w łazience, żeby się odlać i zjeść kilka krakersów Ritza. Zawsze noszę w torbie krakersy. Kiedy masz kłopoty z żołądkiem, parę krakersów potrafi zdziałać cuda - sto tysięcy ciężarnych kobiet nie może się mylić. Rozmyślałem o Sandrze Cross, której odpowiedź, udzielona w klasie kilka minut temu, nie była zła, ale też nie kończyła sprawy. Myślałem o tym, jak gubiła guziki. Ciągłe odpadały jej od bluzek, od spódnic, a kiedy pewnego razu zabrałem ją na szkolną zabawę, odpadł jej guzik od dzinsów i mało brakowało, żeby zgubiła spodnie. Zanim zorientowała się w sytuacji, suwak rozpiął jej się do połowy na kształt litery V, odsłaniając gładkie, białe majtki, co było nawet podniecające. Te majtki były obcisłe, białe i nieskazitelne. Nieskalane. Opinały słodko jej podbrzusze i marszczyły się lekko, kiedy poruszała ciałem w rytm muzyki... do chwili, kiedy zauważyła co się stało i dała nura do łazienki, pozostawiając mnie ze wspomnieniem o Parze Doskonałych Majtek. Sandra była Porządną Dziewczyną i gdybym o tym wcześniej nie wiedział, to teraz nie miałbym już żadnych wątpliwości - wszyscy wiedzą, że Porządne Dziewczyny noszą białe majtki. Żadne nowojorskie świnstwa nie mają wstępu do Placerville w stanie Maine.

Ale pan Denver już się zakradał, wypychając Sandrę i jej dziewicze majteczki. Nie możesz powstrzymać własnego umysłu; ten drań podąży tam gdzie chce. Wszystko jedno. Miałem bardzo wiele sympatii dla Sandy, nawet jeśli do końca życia nie miałyby zrozumieć o co chodzi w równaniach kwadratowych. Jeżeli pan Denver i pan Grace podjęli decyzję o wysłaniu mnie do Greenmantle mógłbym już więcej nie zobaczyć Sandy. A to byłoby bardzo kiepsko.

Podniosłem się z kibla, strzepując okruchy krakersów do muszli i spuszczać wodę. Wszystkie licealne toalety są takie same; spłuczki brzmią jak lądowanie Boeinga 747. Zawsze nienawidziłem pociągania za tę rączkę. Masz pewność, że dźwięk spłukiwanej wody jest doskonale słyszalny we wszystkich przyległych klasach, i że wszyscy myślą w tej chwili: "No, kolejny ładunek zrzucony". Zawsze byłem zdania, że człowiek powinien być sam przy czynnościach, które nazywałem lemoniadą i czekoladą, kiedy byłem dzieckiem - moja mama nalegała, żebym tak mówił. Łazienka powinna być intymnym miejscem. Jak konfesjonał. Ale zwodzą cię. Nieustannie cię zwodzą. Nie możesz nawet wysmarkać nosa i utrzymać tego w

sekrete. Ktoś zawsze się dowie, ktoś zawsze podejrzy. A facetom pokroju pana Denvera i pana Grace nawet za to płacą.

Ale wtedy drzwi od łazienki zamknęły się już za mną ze skrzypnięciem i znów byłem na korytarzu. Przystanąłem, rozglądając się wokół. Jedyнным dźwiękiem, jaki się rozlegał było senne, monotonne brzęczenie, co oznaczało, że znów jest środa, środowy poranek, dziesięć po dziewiątej, wszyscy schwytni na kolejny dzień w cudowną, lepłą sieć Matki Edukacji.

Wróciłem do łazienki i wyjąłem ołówek. Zamierzałem napisać na ścianie coś błyskotliwego, na przykład SANDRA CROSS NOSI BIAŁE MAJTKI, ale wtedy uchwyciłem odbicie swojej twarzy w lustrze. Pod oczami, które wydawały się wielkie, białe i zagapione, miałem sine półksiężycy. Nozdrza były rozszerzone i brzydkie. Usta tworzyły skrzywioną, bladą linię.

Napisałem PIEPRZCIE SIĘ, aż ołówek pękł nagle w moich zaciśniętych palcach. Upuściłem go na podłogę i kopnąłem.

Jakiś dźwięk rozległ się za mną. Nie odwróciłem się. Zamknąłem oczy i oddychałem powoli i głęboko, aż odzyskałem panowanie nad sobą. A później poszedłem na górę.

#### Rozdział 4

Biura administracji Liceum Placerville mieszczą się na trzecim piętrze, razem z salą do nauki własnej, biblioteką i salą nr 300, czyli pokojem maszynopisania. Kiedy przecisniesz się przez drzwi, wchodząc ze schodów, pierwszą rzeczą jaką słyszysz jest równomierny klekot. Ustaje tylko w momentach, kiedy po dzwonku zmienia się klasa, albo kiedy pani Green ma coś do powiedzenia. Myślę, że zazwyczaj nie mówi zbyt wiele, bo dziewczyny piszące na maszynie rzadko kiedy przerywają. Maszyn jest trzydzieści, ustawiony w bojowym szyku pluton szarych Underwoodów. Oznaczone są numerami, tak, żeby wiadomo było, która należy do ciebie. Dźwięk nigdy nie ustaje, klik - klak, klik - klak, od września do czerwca. Zawsze łączyłem go w myślach z czekaniem w sekretariacie przed gabinetami panów Denvera i Grace, autentycznego duetu pijaczyn. To było trochę tak, jak w tych filmach o dżungli, gdzie bohater i jego pomocnik wdzierają się w głąb najczarniejszej Afryki i bohater mówi: "Czemu wreszcie nie przestaną walić w te przeklęte bębny?", a kiedy przeklęte bębny w końcu milkną, wbija wzrok w pogrążone w cieniu, szeleszczące tajemniczo liście i stwierdza: "Nie podoba mi się to. Jest za cicho".

Do biura dotarłem trochę spóźniony, więc pan Denver powinien być już gotów mnie przyjąć, ale sekretarka, panna Marble, uśmiechnęła się tylko i powiedziała: "Siadaj Charlie. Pan Denver zaraz będzie do twojej dyspozycji".

Usiadłem zatem z założonymi rękami, za drewnianą barierką, i czekałem, aż pan Denver będzie do mojej dyspozycji. A na sąsiednim krześle nie siedział nikt inny, jak jeden z dobrych kolegów mojego ojca, Al Lathrop. On też rzucał w moją stronę cwane spojrzenia, powiem wam. Na kolanach miał teczkę, a obok leżała sterta wzorcowych podręczników. Nigdy wcześniej nie widziałem go w garniturze. Mój ojciec i on byli parą zapalonych myśliwych; pogromcami przerażających jeleni o zębach jak brzytwy i zabójczych przepiórek. Raz wybrałem się na polowanie z ojcem i Alem, i jeszcze kilkoma innymi kumplami taty. Była to część nigdy nie kończącej się kampanii, prowadzonej przez ojca, Jak Wychować Syna Na Mężczyznę.

- Cześć! - zawołałem i posłałem mu szeroki, fałszywy uśmiech. Po sposobie, w jaki podskoczył na krześle zorientowałem się, że wiedział już o mnie wszystko.

- Eee, cześć, eee, Charlie. - zerknął szybko na pannę Marble, ale ona zajęta była przeglądaniem listy obecności z panią Venson z naprzeciwka. Żadnej pomocy. Był sam na sam z psychotycznym synem Carla Deckera, kolesiem, który o mało co nie zabił nauczyciela chemii i fizyki.

- Podróż w interesach, co? - zagadnąłem.

- Tak, no właśnie. - wyszczerzył się w uśmiechu najlepiej jak potrafił - Jeżdżę i sprzedaję te stare książki.

- Naprawdę miałby pan konkurencję, nie?

Znów podskoczył.

- No cóż, czasami wygrywasz, czasami przegrywasz, Charlie.

Taaa, to akurat wiedziałem. Nagle nie miałem już ochoty wtykać mu szpilek. Miał czterdzieści lat, zaczynał łysieć, a pod oczami wisiły mu istne sakwojaże. Jeździł od szkoły do szkoły Buickiem kombi, wyładowanym podręcznikami, a raz do roku, w listopadzie, wypuszczał się na tygodniowe polowanie z moim starym i jego kumplami, na północ, do okręgu Allagash. Jednego roku wybrałem się wraz z nimi. Miałem dziewięć lat, obudziłem się w nocy, a oni byli pijani i przestraszyli mnie. I to wszystko. Lecz ten człowiek nie był potworem. Był zwykłym czterdziestolatkiem - łysiejącym i starającym się zarobić kilka dolców. A jeśli nawet słyszałem jak mówił, że mógłby zamordować swoją żonę, to było tylko gadanie. Ostatecznie to ja byłem tutaj tym, który miał krew na rękach.

Ale nie podobał mi się sposób, w jaki jego oczy strzelały dookoła, i przez chwilę, tylko przez chwilę, gotów byłem ścisnąć dłońmi jego tchawicę, szarpnięciem obrócić jego twarz w swoją stronę i wrzasnąć wprost w nią: *"Ty i mój ojciec, i wszyscy wasi przyjaciele powinniście być tutaj ze mną, wszyscy powinniście iść wraz ze mną do Greenmantle, bo wszyscy w tym tkwicie, wszyscy w tym tkwicie, wszyscy jesteście w to zamieszani!"*

Zamiast tego siedziałem, patrzyłem jak się poci i rozmyślałem o dawnych czasach.

## Rozdział 5

Przebudziłem się, wrywając z koszmaru, jaki nie śnił mi się od bardzo dawna; sen, w którym znajdowałem się w jakiejś ciemnej, ślepej alejce, a coś polowało na mnie, jakiś zgarbiony potwór, który posuwał się w moją stronę, szurając... potwór, którego widok doprowadziłby mnie do szaleństwa. Zły sen. Nie męczył mnie, odkąd byłem małym dzieckiem, a teraz byłem już duży. Miałem dziewięć lat.

W pierwszej chwili nie miałem pojęcia gdzie jestem, oprócz pewności, że nie jest to moja sypialnia. Wydawała się zbyt mała i pachniała zupełnie inaczej. Byłem zmarznięty, zdrętwiały i okropnie chciało mi się sikać.

Wybuch ostrego śmiechu sprawił, że poderwałem się na łóżku - tyle tylko, że to nie było łóżko, lecz śpiwór.

- No więc ona jest pieprzoną brzydulą. - rozległ się głos Ala Lathropa zza brezentowej ściany - Z tym, że kluczowym słowem jest tutaj *pieprzoną*.

Kemping. Byłem na kempingu z tatą i jego kolegami. Wcale nie chciałem jechać.

- Taak, ale jak zamierzasz to rozwiązać, Al? Tylko to chciałbym wiedzieć. - To był Scotty Norwiss, jeszcze jeden przyjaciel taty. Jego głos był niewyraźny i zamazany, i znów poczułem strach. Byli pijani.

- Po prostu zgaszę światło i będę udawał, że jestem z żoną Carla Deckera. - Ponownie ryknęli śmiechem, co spowodowało, że znów skuliłem się w swoim śpiworze. O Boże, musiałem się odlać, wysiusiać, zrobić lemoniadę, nazwijcie to jak chcecie. Ale nie chciałem wychodzić na zewnątrz, kiedy oni tam siedzieli, pijąc i rozmawiając.

Odwrociłem się w stronę ścianki namiotu i stwierdziłem, że mogę ich zobaczyć. Siedzieli pomiędzy namiotem a ogniskiem, a ich cienie, wydłużone i przypominające Obcych, padały na brezentową ściankę. To było jak oglądanie pokazu latarni magicznej. Widziałem cień butelki, podawanej z cienia jednej ręki do drugiej.

- Wiesz co bym zrobił, gdybym przyłapał cię z moją żoną? - Zapytał Ala mój ojciec.

- Pewnie zapytałbyś, czy przypadkiem nie potrzebuję pomocy. - odparł Al i znów wszyscy zaczęli zrywać boki ze śmiechu. Na ściance namiotu wydłużone cienie ich głów podskakiwały w górę i w dół, w przód i w tył, w jakimś owadzym podnieceniu. W ogóle nie wyglądali jak ludzie. Wyglądali jak gromada gadających modliszek i bałem się ich.

- Nie, serio. - powiedział mój ojciec - Serio. Wiesz, co bym zrobił, gdybym przyłapał kogokolwiek z moją żoną?

- Co, Carl? - to był Randy Earl.

- Widzicie to?

Nowy cień padł na brezent. Nóż myśliwski mojego taty, ten sam, który później widziałem w jego rękach, kiedy patroszył nim jelenia; mięśnie przedramienia napęczniały, kiedy wbijał nóż w brzuch jelenia aż po rękajeść, a później poderwał go w górę, pozwalając zielonym, parującym wnętrznościom wylać się na dywan z igieł sosnowych i mchu. Światło ogniska i kąt nachylenia namiotu zmieniły nóż myśliwski we włócznię.

- Widzicie tego sukinsyna? Złapię faceta z moją żoną, to błyskawicznie obrócę go na plecy i odetnę mu tym interes.

- Będzie szczał na siedząco do końca swoich dni, co nie, Carl? - to odezwał się Hubie Levesque, nasz przewodnik. Przycisnąłem kolana do piersi i objąłem je. Nigdy w życiu nie musiałem tak bardzo skorzystać z łazienki, nigdy w całym swoim życiu, ani kiedyś, ani później.

- Masz cholerną rację. - odrzekł Carl Decker, mój wspaniały Ojciec.

- A sso byś zrobił z kobietą w takim razie? - zapytał Al Lathrop. Był bardzo pijany. Mogłem nawet odróżnić jego cień. Kołysał się w przód i w tył, jakby siedział w łódce, a nie na kłodzie przy ognisku. - To chssiałbym wiedzieć. Co zrobiłbyś z kobietą, która wpucz... wpuszcza kogoś tylnymi drzwiami, hmm?

Nóż myśliwski przemieniony we włócznię poruszył się powoli. Mój ojciec powiedział:

- Czirokezi rozcinali im nosy. Cel był taki, żeby wyciąć im cipę na twarzy, po to, aby wszyscy w plemienu od razu mogli zobaczyć, która część ciała sprowadziła na nie kłopoty.

Moje dłonie zsunęły się z kolan i powędrowały do krocza. Ścisnąłem jądra i obserwowałem poruszający się cień noża. W brzuchu czułem okropne skurcze, jeżeli nie pośpieszę się z wyjściem, to zleję się do śpiwora.

- Rozcinali nosy, tak? - powiedział Randy - To całkiem, cholera, niezłe. Gdyby nadal robiło się takie rzeczy, połowa kobiet w Placerville chodziłaby ze szparami na górze i na dole.

- Nie moja żona. - odparł ojciec bardzo cichym i kompletnie trzeźwym głosem. Śmiech wywołany żartem Randy'ego urwał się w połowie.

- Nie, oczywiście że nie, Carl. - Randy był zakłopotany. - A, niech to szlag. Napijmy się.

Cień mojego taty przechylił butelkę.

- Ja tam nie przecinałbym jej nosa. - oświadczył Al Lathrop. - Od razu upieprzyłbym jej ten kłamliwy łeb.

- No i proszę bardzo. - odrzekł Hubie. - I za to się napiję.

Dłużej już nie mogłem. Wyśliznąłem się ze śpiwora i poczułem ukąszenia zimnego, październikowego powietrza na ciele, które było nagie, nie licząc pary szortów. Mój siusiak skurczył się tak, jakby chciał schować się wewnątrz mnie. I tylko jedna rzecz kołatała mi się po głowie - wciąż częściowo spałem, tak mi się zdaje, cała ta rozmowa wydawała się snem, może nawet kontynuacją owego koszmaru o skradającym się potworze w alejce - to, że kiedy byłem mniejszy, przychodziłem do łóżka mamy, po tym, jak tata założył już mundur i pojechał do pracy, do Portland i spałem przy niej jakąś godzinkę, aż do śniadania.

Ciemność, lęk, odblask ognia, cienie w kształcie modliszek. Nie chciałem być w tych lasach, siedemdziesiąt mil od najbliższego miasta, z pijanymi mężczyznami. Chciałem do mamy.

Odchyliłem klapę namiotu i wyszedłem na zewnątrz, a tata odwrócił się w moją stronę. W ręce nadal trzymał nóż. Patrzył na mnie, a ja patrzyłem na niego. Nigdy nie zapomniałem widoku mego ojca z rudawą szczecinią na twarzy i czapką myśliwską przekrzywioną na głowie, i widoku noża myśliwskiego w jego dłoni. Rozmowa nagle ucichła. Być może zastanawiali się, ile z niej usłyszałem. Być może nawet było im trochę wstyd.

- Czego chcesz, do diabła? - spytał mnie ojciec, chowając nóż.

- Daj mu się napić Carl! - zawołał Randy i rozległ się ryk śmiechu. Al śmiał się tak bardzo, że aż się przewrócił. Był kompletnie urżnięty.

Powiedziałem, że muszę się wysikać.

- No więc zrób to, na litość boską. - odparł tata.

Poszedłem w krzaki i spróbowałem się odlać. Przez długi czas nic nie chciało lecieć. Czułem się, jakbym w dole brzucha miał miękką, gorącą kulę ołowiu. Nie widziałem niczego, poza swoim penisem wielkości małego palca - chłód spowodował, że naprawdę się skurczył. Wreszcie poleciało, potężny, parujący strumień, a kiedy już wysikałem się do ostatka, wróciłem do namiotu i wsunąłem się z powrotem do śpiwora. Żaden z siedzących przy ognisku nawet na mnie nie spojrzał. Rozmawiali o wojnie. Każdy z nich był na wojnie.

Mój tata ustrzelił jelenia trzy dni później, ostatniego dnia wyprawy. Byłem przy tym. Trafił go perfekcyjnie, w mięśnie pomiędzy szyją, a barkiem. Kozioł bezwładnie osunął się na ziemię, cały jego wdzięk zniknął.

Podeszliśmy do jelenia. Mój ojciec uśmiechał się, szczęśliwy. Wyciągnął nóż z pochwy. Wiedziałem, co za chwilę się wydarzy, wiedziałem, że zrobi mi się niedobrze i nie mogłem nic na to poradzić. Ojciec oparł stopę o bok jelenia, odciągnął jedną z jego nóg w tył i wepchnął nóż. Jedno szybkie cięcie w górę i wnętrzności wypłynęły na leśną ściółkę, a ja odwróciłem się i wyrzygałem śniadanie.

Kiedy obróciłem się z powrotem, tata patrzył na mnie. Nigdy nic nie powiedział, ale mogłem wyczytać pogardę i rozczarowanie w jego oczach. Widywałem to dostatecznie często. Ja również nigdy nic nie powiedziałem. Ale gdybym zdołał się odezwać, chciałbym oświadczyć: *To nie to co myślisz.*

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy wybrałem się na polowanie ze swoim tatą.

## Rozdział 6

Al Lathrop wciąż grzebał w swoich próbkach podręczników, udając że jest zbyt zajęty, żeby ze mną rozmawiać, kiedy interkom na biurku panny Marble zabrzączał, a ona uśmiechnęła się do mnie, jakbyśmy dzielili wielki i intymny sekret.

- Możesz już wejść, Charlie.

Wstałem.

- Sprzedaj te podręczniki, Al.

Posłał mi szybki, nerwowy i nieszczerzy uśmiech.

- Na pewno... eee... spróbuję, Charlie.

Przeszedłem przez zrobioną z listewek bramkę, mijając duży sejf wpuszczony w ścianę z prawej strony i zabałaganione biurko panny Marble z lewej. Na wprost były drzwi z szybą z mrożonego szkła. THOMAS DENVER, DYREKTOR, głosił napis na szkle. Wszedłem do środka.

Pan Denver przeglądał *Sygnalówkę*, szkolnego szmatławca. Był wysokim, trupioblady męczyzną, podobnym trochę do Johna Carradine'a, łysym i chudym. Jego ręce były długie i kościste. Krawat miał rozluźniony, a górny guzik koszuli odpięty. Skóra na jego gardle wyglądała na zwiotczałą i podrażnioną od golenia.

- Siadaj, Charlie.

Usiadłem i założyłem ręce. Jestem prawdziwym specjalistą od zakładania rąk. To sztuczka, którą podłapałem od mojego ojca. Przez okno za plecami pana Denvera mogłem dojrzeć trawnik, ale nie to, w jak nieustraszony sposób rósł sobie tuż pod budynkiem. Byłem za wysoko, a szkoda. To mogłoby być uspokajające, tak jak lampka nocna, kiedy jesteś mały.

Pan Denver odłożył *Sygnalówkę* i odchylił się w tył na krzesło.

- Trochę trudno spojrzeć na to w odpowiedni sposób, nieprawdaż?

Odchrząknął. Pan Denver był rewelacyjnym odchrząkiwaczem. Gdyby organizowano Narodowy Konkurs Odchrząkiwania, bez wahania postawiłbym całą forszę na pana Denvera. Odgarnąłem włosy z oczu.

Na biurku dyrektora, zaśmieconym jeszcze bardziej niż biurko panny Marble, stało zdjęcie jego rodziny. Wyglądali na dobrze odżywionych i dobrze przystosowanych. Żona wydawała się trochę tłusta, ale dwójka dzieci była słodka jak landrynki i ani trochę nie podobna do Johna Carradine'a. Dwie małe dziewczynki, blondyneczki.

- Don Grace ukończył raport. Dostałem go w zeszły czwartek i od tego czasu bardzo starannie rozważam wszystkie wnioski i zalecenia jakie w nim zawarł. Wszyscy doceniamy powagę sytuacji, więc pozwoliłem sobie przedyskutować tę sprawę również z Johnem Carlsonem.

- Jak on się czuje? - zapytałem.

- Całkiem nieźle. Powinien wrócić za miesiąc, takie są prognozy.

- No, to już coś.

- Doprawdy? - zamrugnął szybko, tak jak to robią jaszczurki.

- Nie zabiłem go. To już coś.

- Tak. - pan Denver przyjrzał mi się uważnie. - A wolałbyś go zabić?

- Nie.

Pochylił się do przodu, przysunął krzesło do biurka, spojrzął na mnie, potrząsnął głową i zaczął:

- Jestem bardzo zaskoczony, że muszę rozmawiać z tobą w sposób, w jaki to robię, Charlie. Zaskoczony i smutny. Zajmuję się sprawami dzieciaków od 1947 roku i nadal niewiele z nich rozumiem. Czuję, że to, co muszę ci powiedzieć jest słuszne i konieczne, ale nie jestem



szczęśliwy z tego powodu. Ponieważ wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego wydarzenia takie jak to mają miejsce. W 1959 mieliśmy tutaj bardzo bystrego chłopca, który ciężko pobił kijem baseballowym dziewczynkę z gimnazjum. Ostatecznie zmuszeni byliśmy posłać go do Zakładu Poprawczego w South Portland. Wszystko co miał do powiedzenia to to, że ona nie chciała z nim chodzić. A później tylko się uśmiechał.

- Niech pan nie zawraca sobie tym głowy.

- Co?

- Niech pan nie zawraca sobie głowy, próbując to zrozumieć. Niech pan nie miewa bezsennych nocy z tego powodu.

- Ale dlaczego, Charlie? Czemu to zrobiłeś? Mój Boże, ten człowiek spędził niemal cztery godziny na stole operacyjnym...

- Czemu, to pytanie, które powinien zadać pan Grace. - powiedziałem. - On jest szkolnym lekarzem od czubków. A pan, pan pyta tylko dlatego, że tworzy to ładną wstawkę w pańskim kazaniu. A ja już nie chcę słuchać kazań. Gównu mnie obchodzą. To koniec. Mógł przeżyć, albo umrzeć. Przeżył. Cieszę się z tego. Niech pan robi, co musi pan zrobić. To, co pan i pan Grace zdecydowaliście. Ale niech pan nie stara się mnie zrozumieć.

- Charlie, zrozumienie to część mojej pracy.

- Ale pomaganie panu w wykonywaniu pańskiej pracy nie jest częścią moich obowiązków. - odparowałem. - Więc pozwoli pan, że coś panu powiem. Żeby, tak jakby, pomóc nawiązać nić porozumienia, jasne?

- Jasne...

Trzymałem mocno zaciśnięte dłonie na kolanach. Trzęsły się.

- Mam już dość pana i pana Grace, i całej reszty. Wzbudzaliście we mnie strach, nadal wzbudzacie, ale teraz sprawiacie również, że czuję się zmęczony, więc zdecydowałem, że nie muszę już brać w tym udziału. Prawdę powiedziawszy, nie mogę już brać w tym udziału. To co pan myśli, nic dla mnie nie znaczy. Nie ma pan dostatecznych kwalifikacji, żeby sobie ze mną poradzić. Więc proszę się trzymać z daleka. Ostrzegam pana. Nie ma pan kwalifikacji. Prawie krzyczałem, a mój głos drżał.

Pan Denver westchnął.

- Wolno ci tak myśleć, Charlie. Ale prawa tego stanu mówią co innego. Po przeczytaniu raportu pana Grace, myślę, że zgadzam się z jego zdaniem, iż nie potrafisz zrozumieć konsekwencji tego, co zrobiłeś w klasie pana Carlsona. Jesteś niezrównoważony, Charlie.

*Jesteś niezrównoważony, Charlie.*

*Czirokezi rozcinali im nosy... aby wszyscy w plemieniu od razu mogli zobaczyć, która część ciała sprowadziła na nie kłopoty.*

Te słowa odbijały się w mojej głowie, jak podwodne echo. To były słowa jak rekiny na dużych głębokościach, słowa - szczęki, płynące, żeby mnie pożreć. Słowa, które miały zęby i oczy.

To właśnie w tym momencie zabrałem się do rzeczy. Wiedziałem o tym, ponieważ to samo co działo się tuż zanim zacząłem akcję z panem Carlsonem, działo się i teraz. Moje dłonie przestały drżeć. Skurcze żołądka minęły, a całe moje wnętrze ogarnął chłód i spokój. Czuję się oddzielony, nie tylko od pana Denvera i jego nadmiernie wygolonej szyi, ale również od siebie. Nieomal unosiłem się w powietrzu.

Pan Denver nadal mówił, coś o właściwym doradztwie i pomocy psychiatrycznej, ale przerwałem mu.

- Panie Przemądrzały, może pan iść prosto do diabła.

Zamilkł i opuścił papier na który patrzył, żeby nie być zmuszonym patrzeć na mnie. Coś z moich akt, bez wątpienia. Wszechmocne akta. Wielkie Amerykańskie Akta.

- Co? - zapytał.

- Do diabła. Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni. Czy były jakieś przypadki szaleństwa w pańskiej rodzinie, panie Denver?

- Przedyskutuję to z tobą, Charlie. - odparł napiętym głosem. - Nie będę wdawał się...

- ... w niemoralne praktyki seksualne. - dokończyłem za niego. - Tylko pan i ja, w porządku? Pierwszy, który zwali konia otrzyma Nagrodę Dobrego Koleżeństwa Putnama. Wypełnij dłoń swą, partnerze. I poproś tutaj pana Grace, tak nawet będzie lepiej. Zrobimy sobie wspólne trzепanko.

- Co...

- Nie odbierasz wiadomości? Musisz czasami go wyciągać, prawda? Jesteś sobie to winien, prawda? Każdy musi kogoś posuwać, każdy musi mieć kogoś do wydymania. Ty od razu ustawiłeś się jako Sędzia Tego, Co Dla Mnie Dobre. Diabły. Opętanie przez demona. Czemu uderzyłem tom małym dziewczynke tem kijem, Panie, Panie? Diabeł kazał mi to zrobić i bardzo przepraszom. Czemu tego nie przyznasz? Masz niezłą uciechę z kupczenia moim ciałem. Jestem najlepszą rzeczą, jak przytrafiła ci się od 1959 roku.

Gapił się na mnie z otwartymi ustami. Miałem go w garści, wiedziałem o tym, i byłem z tego dziko dumny. Z jednej strony, chciał mi ustąpić, zgodzić się ze mną, bo, ostatecznie, czyż nie tak właśnie postępuje się z niezrównoważonymi ludźmi? A z drugiej strony, zajmował się sprawami dzieciaków, dokładnie tak jak mi powiedział, a Zasada Pierwsza w tym biznesie brzmi: Nie Pozwól Sobie Pyskować - bądź szybki w wydawaniu poleceń i ciętych ripostach.

- Charlie...

- Nie przerywaj mi. Próbuję ci powiedzieć, że jestem już zmęczony tym, że ktoś ciągnie mi druta. Panie Denver, niech pan będzie mężczyzną, na litość boską. A jeżeli nie potrafi pan być mężczyzną, to przynajmniej niech pan podciągnie gacie i będzie dyrektorem.

- Zamknij się. - burknął. Twarz nabiegła mu czerwienią. - Masz cholerne szczęście, że mieszkasz w postępowym stanie i chodzisz do postępowej szkoły, młody człowieku. Wiesz, gdzie znalazłbyś się w przeciwnym wypadku? Wygłaszałbyś swoje referaty w jakimś poprawczaku, odsiadując wyrok za zbrodniczą napaść. Nie jestem pewien, czy i tak nie powinienes się tam znaleźć. Ty...

- Dziękuję. - powiedziałem.

Wpatrywał się we mnie, jego zagniewane niebieskie oczy utkwione były w moich.

- Za potraktowanie mnie jak istotę ludzką, nawet jeżeli musiałem pana porządnie w tym celu wkurzyć. To prawdziwy postęp. - Skrzyżowałem nonszalancko nogi. - Chce pan porozmawiać o majtkowych rajdach jakie pan urządzał, kiedy był pan na Wielkim Uniwersytecie, studiując ten szkolny biznes?

- Twoja mowa jest plugawa. - oznajmił pan Denver z zastanowieniem. - Tak samo jak twój umysł.

- Pierdol się. - odparłem i roześmiałem mu się w twarz.

Przybrał jeszcze głębszy odcień szkarłatu i wstał. Powoli sięgnął nad biurkiem, powoli, powoli, powoli, jak gdyby potrzebował naoliwienia i chwycił mnie garścią za koszulę na ramieniu.

- Okaż mi trochę szacunku. - powiedział. Całe opanowanie go opuściło i nie zawracał sobie już głowy wydawaniem tych pierwszorzędnych chrząknięć. - Ty mały, parszywy śmieciu, okaż mi trochę szacunku.

- Mógłbym okazać panu moją dupę, a pan by ją pocałował. - skwitowałem. - No jazda, niech pan opowie o majtkowych rajdach. Poczuj się pan lepiej. Rzućcie nam majteczki! Rzućcie nam majteczki!

Puścił mnie, trzymając rękę odsuniętą od ciała, jakby właśnie nasrał na nią wściekły pies.

- Wynoś się. - powiedział ochryple. - Weź swoje książki, zostaw je tutaj i wynoś się. Twoje relegowanie ze szkoły i przeniesienie do Akademii Greenmantle wchodzi w życie od poniedziałku. Zadzwoń do twoich rodziców i powiadom ich o tym. A teraz wynoś się. Nie chcę już dłużej znosić twojego widoku.

Podniosłem się, odpinając dwa górne guziki koszuli, wyciągając połą z jednej strony i rozpinając rozporek. Zanim pan Denver zdołał się poruszyć rzuciłem się do drzwi, otworzyłem je i zataczając się wypadłem do poczekalni. Panna Marble i Al Lathrop konferowali przy jej biurku, a kiedy mnie zobaczyli, skrzywili się oboje. Najwyraźniej uprawiali właśnie amerykańską grę salonową pod tytułem Tak Naprawdę Nie Słyszeliśmy Ani Słowa, Nieprawdaż?

- Lepiej tam idźcie. - wysapałem. - Siedzieliśmy sobie, rozmawiając o majtkowych rajdach, a on nagle przeskoczył przez biurko i próbował mnie zgwałcić.

Doprowadziłem go do skraju wytrzymałości, nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę, że siedział w tym szkolnym interesie od dwudziestu dziewięciu lat, a z dziesięć brakowało mu do otrzymania własnego złotego klucza do sracza na parterze. Rzucił się na mnie przez drzwi; odsunąłem się tanecznym krokiem, a on stał tam, wyglądając jednocześnie na rozwścieczonego, głupkowatego i winnego, wszystko naraz.

- Przyprawdźcie kogoś, żeby się nim zajął. - powiedziałem. - Będzie miłszy, kiedy wyrzuci to z siebie.

Popatrzyłem na pana Denvera, mrugnąłem do niego i wyszeptałem: "Rzućcie nam swoje majteczki, no nie?" Następnie przeskoczyłem przez balustradkę i poszedłem powoli do wyjścia, zapinając po drodze guziki, rozporek i wpychając koszulę w spodnie. Miał mnóstwo czasu, żeby coś powiedzieć, ale nie odezwał się ani słowem. Sprawy potoczyły się w ten, a nie inny sposób dlatego, iż równocześnie wiedziałem, że nie mógł nic powiedzieć. Był świetny w ogłaszaniu przez interkom, że nadeszła pora na gorący lunch, ale to było co innego, radośnie innego. Skonfrontowałem go dokładnie z tym, co, jak powiedział, było ze mną nie tak, a on nie był w stanie się z tym uporać. Być może oczekiwał, że uśmiechniemy się, uściśniemy sobie dłonie, a moje siedem i pół semestra w Placerville zostanie podsumowane krytycznym artykułem w *Sygnalówce*. Inna rzecz, że, pomimo wszystko, pan Carlson i cała reszta nie spodziewali się żadnych irracjonalnych czynów. Takie rzeczy zawsze były trzymane w sekrecie, zwinięte w szafie obok tych nieprzyzwoitych magazynów, których za żadne skarby nie pokazałbyś żonie. A teraz dyrektor stał tutaj, ze zmrożonymi strunami głosowymi i ani jedno odpowiednie do wypowiedzenia słowo nie powstało w jego umyśle. Żadna z jego instrukcji Postępowania z Niezrównoważonym Dzieckiem, EdB-211, nie przygotowała go nigdy na to, że pewnego dnia może mieć do czynienia z uczniem, który zaatakuje go na poziomie osobistym. I bardzo szybko wpadł we wściekłość. A to czyniło go niebezpiecznym. Kto wiedział o tym lepiej niż ja? Zamierzałem się bronić. Byłem gotów, byłem gotów od chwili, kiedy doszedłem do wniosku, że ludzie mogą - tylko mogą, zauważcie - śledzić mnie i sprawdzać. Dałem mu wszelkie szanse. Przez całą drogę do schodów czekałem, aż pochwyci mnie i zacznie oskarżać. Nie pragnąłem zbawienia. Równie dobrze mogłem minąć ten punkt, jak i nigdy do niego nie dotrzeć. Wszystko, czego

pragnąłem to uznanie... a może tego, żeby ktoś namalował żółty, ostrzegawczy okrąg wokół moich stóp.

Nie odezwał się ani słowem. A skoro tego nie zrobił, odszedłem i przystąpiłem do działania.

## Rozdział 7

Zbiegłem po schodach, pogwizdując; czułem się wspaniale. Czasami wydarzenia toczą się w ten sposób. Kiedy wszystko przybiera jak najgorszy obrót, twój umysł po prostu wrzuca to do worka na odpadki i na jakiś czas wyjeżdża na Florydę. Doznajesz nagłego do-diabła-z-tym elektrycznego rozbłysku, kiedy stoisz i oglądasz się przez ramię na most, który właśnie spaliłeś. Jakaś nieznajoma dziewczyna minęła mnie na podeście drugiego piętra, pryszczata, brzydka dziewczyna w wielkich okularach w rogowej oprawie, ściskająca kurczowo jakieś sekretarskie książki. Tknięty nagłym impulsem odwróciłem się i popatrzyłem za nią. Tak; tak. Widziana z tyłu mogła być nawet miss Ameryki. To było świetne.

## Rozdział 8

Korytarz na pierwszym piętrze był opustoszały. Ani żywej duszy. Jedynym dźwiękiem było to jednostajne brzęczenie, które sprawia, że wszystkie szkoły - i te nowoczesne o ścianach ze szkła i przedpotopowe, śmierdzące pastą do podłóg - są takie same. Szafki stały w karnych, milczących rzędach, przerwanych tu i ówdzie, aby zrobić miejsce na fontannę z wodą pitną, albo drzwi do klasy. Matematyka była w sali nr 16, ale moja szafka znajdowała się na drugim końcu korytarza. Poszedłem tam i przyjrzałem się jej. Moja szafka. Widniało na niej: CHARLES DECKER, wypisane schludnie, moją własną ręką, na białej naklejce Con-Tact. Każdego września, podczas pierwszego spotkania w szkolnej sali zebrań następowało rozdanie czystych naklejek. Starannie wypisywaliśmy nazwiska i w czasie dwuminutowej przerwy pomiędzy rozpoczęciem roku, a pierwszymi zajęciami, naklejaliśmy je na szafkach. Obyczaj był tak stary i uświęcony jak pierwsza komunია. Kiedy byłem w drugiej klasie, pierwszego dnia szkoły Joe McKennedy podszedł do mnie przez zatłoczony korytarz, z naklejką przylepioną do czoła i wielkim, szerokim uśmiechem przylepionym do ust. Setki zszokowanych pierwszaków, każdy z małą, żółtą plakieta z imieniem, przypiętą do jego, czy też jej koszuli, albo bluzki, odwróciły się, żeby popatrzeć na to świętokradztwo. O mało jaja mi nie odpadły ze śmiechu. Oczywiście został za to zatrzymany po lekcjach, ale poprawił mi humor na cały dzień. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że to zdarzenie poprawiło nastrój na cały rok.

I oto stałem tutaj, dokładnie pomiędzy szafkami ROSANNE DEBBINS i CARLI DENCH, która podczas ostatniego semestru co rano spryskiwała się wodą różaną, co zdecydowanie nie pomagało mojemu śniadaniu pozostać tam, gdzie jego miejsce. Ach, ale to wszystko było już poza mną. Szara szafka, wysoka na półtora metra, zamykana na szyfrową kłódkę. Kłódki były wręczane na rozpoczęciu roku szkolnego, wraz z naklejkami na szafki. Tytus, reklamowała się kłódka. Zamknij mnie, otwórz mnie. Jestem Tytus, Pomocna Kłódeczka.

- Tytus, ty stary pierdoło. - wyszeptalem. - Tytus, ty marudny kutasie.

Sięgnąłem po Tytusa i wydało mi się, że moja ręka wyciąga się do niego poprzez tysiące kilometrów, dłoń na końcu plastikowego ramienia, które wydłużało się, bezboleśnie i bez czucia. Numerowana powierzchnia kłódki patrzyła na mnie bez wyrazu, nie oceniając, ale zdecydowanie nie *aprobuując*, nie nie, tylko *nie to*. Zamknąłem na chwilę oczy.

Wstrząsnął mną dreszcz, moje ciało szarpnęło się mimowolnie, ciągnięte w przeciwnie strony przez niewidzialne ręce. A kiedy otworzyłem oczy z powrotem, Tytus był już w moim uścisku. Otchłań zamknęła się.

Kombinacje szyfrowe zamków w szkole średniej są proste. Moja była taka: sześć w lewo, trzydzieści w prawo i dwa obroty w tył, do zera. Tytus był znany bardziej ze swej siły, niż z inteligencji. Zamek odskoczył z trzaskiem, przytrzymałem go ręką. Ścisnąłem go kurczowo, nie wykonując żadnego ruchu, aby otworzyć drzwiczki szafki.

W głębi korytarza słychać było głos pana Johnsona: "...a zaciężni żołnierze hescy nie byli zbyt chętni do walki, szczególnie na obszarach wiejskich, gdzie okazja do grabieży poza uzgodnionym żołdem..."

- Żołnierze hescy. - wyszeptałem do Tytusa. Zaniósłem go do najbliższego kosza na śmieci i wyrzuciłem. Spoglądał na mnie niewinnie spośród pomiętych kartek i starych torebek śniadaniowych.

"...ale pamiętajcie, że hescy najemnicy, jak daleko sięgała pamięcią Armia Lądowa, byli budzącymi grozę niemieckimi maszynami do zabijania..."

Schyliłem się, wyjąłem go z kosza i wetknąłem do kieszonki na piersiach, gdzie utworzył wybrzuszenie wielkości paczki papierosów.

- Miej to na uwadze, Tytus, ty maszyna do zabijania. - powiedziałem i wróciłem do swojej szafki.

Otworzyłem ją z wahaniem. Na dnie, zwinięty w przepoconą kulę, leżał mój strój gimnastyczny, stare śniadaniówki, papierki po cukierkach, ogryzek jabłka sprzed miesiąca, który zdążył już ładnie zbrązowieć i para sponiewieranych czarnych tenisówek. Czerwona, nylonowa kurtka wisiała na wieszaku, a na półce powyżej były moje podręczniki, wszystkie, oprócz Matematyki. "Wychowanie obywatelskie", "Amerykański system polityczny", "Francuskie opowiadania i baśnie", i "Zdrowie", ten wspaniały przedmiot o flakach, dla starszych klas. Czerwony, nowoczesnie wyglądający tom, z parą licealistów na okładce i częścią o chorobach wenerycznych wyciętą elegancko, po jednomyślnej decyzji Komitetu Szkolnego. Zabrałem się do nich, poczynając od podręcznika o zdrowiu, który - jak miałem nadzieję - sprzedany został naszej szkole przez starego, dobrego Alę Lathropa, ni mniej, ni więcej. Wziąłem książkę z półki, otworzyłem gdzieś pomiędzy "Piramidą zdrowego odżywiania", a "Zasadami bezpiecznego pływania, dla zabawy i dla korzyści" i przedarłem ją na dwoje. To była łatwizna. Wszystkie poszły łatwo, oprócz "Wychowania obywatelskiego", które było cegłą, wydaną przez Silver Burdett około 1946 roku. Rzuciłem wszystkie kawałki na dno szafki. Jedyne rzeczy, które zostały na wierzchu były: suwak logarytmiczny, który przełamane na pół, zdjęcie Raquel Welch, przyklepione do tylnej ścianki (pozwoliłem mu zostać) i pudełko naboju, które stało za podręcznikami.

Podniosłem je i przyjrzałem się. Początkowo były w nim naboje do strzelby, Winchestera kaliber 22, ale już nie teraz. Włożyłem doń inne pociski, te, które wziąłem z szuflady biurka mojego ojca, z jego gabinetu. Wisiała w nim na ścianie wypreparowana głowa jelenia i gapiała się na mnie swoimi szklanymi, zbyt żywymi oczami, kiedy zabierałem naboje i broń, ale postanowiłem nie zwracać na to uwagi. To nie był ten jelen, którego ojciec upolował, kiedy miałem dziewięć lat. Pistolet był w innej szufladzie, za paczką kopert. Szczerze wątpiłem, czy ojciec w ogóle pamiętał, że on tam leży. I tak po prawdzie, to nie leżał, już nie. Teraz spoczywał w kieszeni mojej kurtki. Wyjąłem go i wetknąłem sobie za pasek. Nie czułem się zbyt jak heski najemnik. Czułem się jak Dziki Bill Hickok.

Włożyłem naboje do kieszeni spodni i wyjąłem zapalniczkę, jedną z tych przezroczystych. Nie palę, ale ta zapalniczka jakoś wpadła mi w oko. Z trzaskiem otworzyłem płomyk, przykucnąłem i podпалиłem cały ten pieprznik na dnie szafki. Płomienie lizały chciwie mój strój gimnastyczny, stare torebki śniadaniowe i papierki po cukierkach, i przeskakiwały na resztki książek, niosąc ze sobą przeпооны, sportowy smród.

Później, zdając sobie sprawę, że zrobiłem, co tylko mogłem, zamknąłem drzwiczki. Tuż nad naklejką z moim nazwiskiem były małe szczeliny wentylacyjne i mogłem przez nie usłyszeć jak płomienie z trzaskiem idą w górę. Po chwili małe, pomarańczowe plamki zaczęły migotać w ciemnościach, a szara farba na drzwiczkach szafki poczęła pękać i łuszczyć się.

Jakiś dzieciak wyszedł z klasy pana Johnsona, niosąc zieloną przepustkę do toalety. Spojrzał na dym, buchający wesoło ze szczelin w szafce, spojrzał na mnie i popędził do łazienki. Myślę, że nie zauważył pistoletu. Biegłby szybciej.

Zacząłem iść w stronę sali nr 16. Zatrzymałem się, kiedy tam dotarłem, z ręką na gałce u drzwi i obejrzałem za siebie. Dym już na serio wydobywał się z otworów w drzwiczkach, a ciemna plama sadzy przed szafką rozlewała się coraz bardziej. Naklejka zbrązowiła. Nie można było już dojrzeć liter tworzących moje nazwisko.

Nie sądzę, żeby w moim umyśle działało się coś poza zwykłym szumem w tle - z gatunku takich, jaki słyhać w radiu, kiedy głośność jest podkręcona, a nie odbieramy żadnej stacji. Mój mózg sprawdzał zasilanie, można tak powiedzieć; wewnątrz niego mały facecik w napoleońskim kapeluszu pokazywał asy i przyjmował zakłady.

Odwrociłem się z powrotem do sali nr 16 i otworzyłem drzwi. Miałem nadzieję, ale sam nie wiem na co.

## Rozdział 9

"... A zatem rozumiecie, że kiedy *zwiększymy* liczbę zmiennych, zasady *jako takie* nigdy się nie zmieniają. Dla przykładu..."

Pani Underwood spojrzała czujnie, poprawiając na nosie swoje błazeńskie okulary.

- Ma pan przepustkę z biura, panie Decker?

- Tak. - odparłem i wyjąłem pistolet zza paska. Nie miałem nawet pewności, czy jest załadowany, dopóki nie wypalił. Strzeliłem jej prosto w głowę. Pani Underwood nigdy nie dowiedziała się, co ją trafiło, jestem tego pewien. Upadła bokiem na biurko, a później stoczyła się na podłogę, z twarzą zastygłą w wyrazie oczekiwania.

## Rozdział 10

*Rozsądek:*

Możesz przeżyć cały swój czas, wmawiając sobie, że życie jest logiczne, życie jest prozaiczne, życie jest racjonalne. Przede wszystkim racjonalne. I ja myślę, że jest. Miałem mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić. A to, co powracało do mnie najczęściej, to ostatnie słowa pani Underwood: *A zatem rozumiecie, że kiedy zwiększymy liczbę zmiennych, zasady jako takie nigdy się nie zmieniają.*

Naprawdę w to wierzę.

Myślę, więc jestem. Włosy rosną na mojej twarzy, zatem się golę. Moja żona i dziecko zostali ciężko ranni w wypadku drogowym, więc się modlę. To wszystko jest logiczne, to

wszystko jest rozsądne. Żyjemy w najlepszym z możliwych światów, więc dajcie mi zapalonego Kenta do lewej ręki, Budweisera do prawej, włączcie "Starsky'ego i Hutch'a" i słuchajcie tej miękkiej, harmonijnej melodii, która oznacza, że świat kręci się gładko na swoim niebiańskim różnie. Logika i rozsądek. Jak Coca-Cola, to jedyny autentyk.

Ale jak doskonale wiedzą Warner Brothers, John D. MacDonald i Long Island Dragway, za każdym szczęśliwym obliczem Jekylla ukrywa się Mr. Hyde, mroczna twarz po drugiej stronie lustra. Umysł schowany za tą twarzą nigdy nie słyszał o maszynkach do golenia, modlitwach, albo o logice wszechświata. Obróć lustro z boku na bok, a ujrzysz siebie w złowieszczym, lewostronnym odbiciu, na wpół szalonym, na wpół rozsądnym. Tę linię podziału pomiędzy światłem a ciemnością astronomowie nazywają terminatorem.

Ta druga strona oznajmia nam, że wszechświat ma całą logikę małego dziecka w halloweenowym przebraniu kowboja, którego wnętrzności i torba z cukierkami leżą rozwleczone na kilometr po autostradzie międzystanowej. To logika napalmu, paranoi, bomb noszonych w walizkach przez szczęśliwych Arabów, logika przypadkowego raka. Taka logika pożera samą siebie. Mówi nam, że życie to mała na kiju, że życie kręci się tak historycznie i nieprzewidywalnie jak moneta, którą rzucasz, żeby przekonać się, czyja tym razem kolej zapłacić za lunch.

Nikt nie patrzy na tamtą stronę, chyba, że jest do tego zmuszony. Potrafię to zrozumieć. Spoglądasz na nią, kiedy udaje ci się złapać okazję, a pijak, który cię podwozi zaczyna nagle chlpać, że żona go wystawiła; kiedy jakiś facet decyduje się przejechać przez całą Indianę strzelając do dzieciaków na rowerach; kiedy twoja siostra mówi "Wyskoczę na chwilę do sklepu!" i zostaje zastrzelona podczas napadu. Spoglądasz na nią, kiedy słyszysz swojego tatę mówiącego o rozcinaniu nosa twojej mamie.

To ruletka, ale każdy kto mówi, że gra jest ustawiona, zwyczajnie biadoli. Nieważne ile jest numerów, reguła tej małej, białej, podskakującej kulki nigdy się nie zmienia. I nie mów, że to wariactwo. To wszystko jest przecież wspańiale i rozsądne.

Ale te niesamowitości nie dzieją się tylko na zewnątrz. Są również w tobie, właśnie teraz, rosnąc sobie w mroku jak magiczne grzyby. Nazwij to Rzeczą w Piwnicy. Nazwij to Współczynnikiem Dziwactwa. Nazwij to Rejestrem Pomyleńców. Ja myślę o tym jako o moim prywatnym dinozaurze, wielkim, oślizgłym i bezmózgim, który błąka się wokół po cuchnących bagnach mojej podświadomości i nigdy nie może trafić na smołowy dół głęboki na tyle, żeby go zatrzymać.

Ale to ja, a zacząłem opowiadać o nich, tych błyskotliwych, nie wychylających nosa z college'u studentach, którzy - metaforycznie mówiąc - poszli do sklepu po mleko, a wylądowali w samym środku napadu z bronią w ręku. Jestem udokumentowanym przypadkiem, istną wodą na młyn przeróżnych gazet. Tysiące reporterów rzucało się na mnie na tysiącach ulic. Miałem swoje pięćdziesiąt sekund w wieczornych wiadomościach i półtorej kolumny w Time. A teraz stoję tutaj przed wami (mówiąc w przenośni, oczywiście) i powiadam wam, że jestem całkowicie rozsądny. Mam trochę obluzowaną jedną klepkę pod kopułą, ale cała reszta działa bez zarzutu, dziękuję bardzo.

A zatem, *oni*. Co rozumiecie przez *nich*? Musimy to przedyskutować, nieprawdaż?

"Czy ma pan przepustkę z biura, panie Decker?" zapytała mnie.

"Tak", odpowiedziałem i wyjąłem pistolet zza paska. Nie miałem nawet pewności, czy jest załadowany, dopóki nie wypalił. Strzeliłem jej prosto w głowę. Pani Underwood nigdy nie dowiedziała się, co ją trafiło, jestem tego pewien. Upadła bokiem na biurko, a później stoczyła się na podłogę, z twarzą zastygłą w wyrazie oczekiwania.

To ja jestem tym rozsądnym: jestem krupierem; facetem, który kręci kołem ruletki. Koleś, który stawia swoje pieniądze na parzyste/nieparzyste, dziewczyna, która obstawia czerwone/czarne... co z *nimi*?

Nie istnieje taka miara czasu, która wyrażałaby kwintesencję naszego istnienia, ów przedział pomiędzy ołowiem wylatującym z lufy, a uderzeniem w ciało, pomiędzy zderzeniem, a ciemnością. Pozostaje tylko jałowa powtórka tej chwili, która nie pokazuje nic nowego.

Zastrzeliłem ją; upadła; i nastąpił moment nie dającej się opisać ciszy, nieskończoność, kiedy to wszyscy cofnęliśmy się, obserwując jak kulka toczy się i toczy, postukując, tańcząc, połyskując refleksami światła, krążąc w koło; orzeł i reszka, czerwone i czarne, parzyste i nieparzyste.

Myślę, że ta chwila się skończyła. Naprawdę tak myślę. Ale czasami, w ciemności, wydaje mi się, że ten odrażający, przypadkowy moment nadal trwa, że koło jeszcze wciąż się kręci, a cała reszta tylko mi się przyśniła.

Jak to jest, kiedy popełnia się samobójstwo, skacząc z wysokiego budynku? Jestem pewien, że to takie samo uczucie. To pewnie dlatego ludzie wrzeszczą przez całą drogę w dół.

## Rozdział 11

Gdyby ktoś krzyknął coś melodramatycznego w tym właśnie momencie, coś w rodzaju *"Och, mój Boże, on nas wszystkich pozabija!"* wszystko mogłoby się wtedy zakończyć. Ludzie rzuciliby się do ucieczki, jak stado owiec, a ktoś wojowniczo nastawiony, na przykład Dick Keene, mógłby walnąć mnie w głowę książką od matematyki, tym samym zasługując sobie na to, aby wręczono mu klucz do miasta i Nagrodę za Obywatelską Postawę.

Ale nikt nie powiedział ani słowa. Stali tylko w kompletnej, pełnej osłupienia ciszy, patrząc na mnie uważnie, jakbym właśnie ogłosił, że zamierzam powiedzieć im w jaki sposób mogą się dostać do kina dla zmotoryzowanych w piątkowy wieczór.

Zamknąłem drzwi do klasy, przeszedłem przez salę i usiadłem za wielkim biurkiem. Moje nogi nie były w najlepszym stanie. Miałem do wyboru, usiąść lub upaść. Byłem zmuszony zepchnąć stopę pani Underwood z przejścia, żeby samemu wsunąć nogi pod biurko. Położyłem pistolet na zielonym dzienniku, zamknąłem należącą do niej książkę od matematyki i umieściłem ją razem z innymi, które tworzyły schludny stosik w narożniku biurka.

Wtedy właśnie Irma Bates przerwała ciszę wysokim, gulgoczącym krzykiem, który brzmiał, jakby młodemu indykowi ukręcano łeb w dzień przed Świętem Dziękczynienia. Ale było już za późno; każdy wykorzystał ten niekończący się moment na rozważanie zagadnień życia i śmierci. Nikt nie podchwycił jej krzyku, więc zamilkła, jak gdyby zawstydzona tym, że krzyczy w czasie lekcji, nieważne jak bardzo została sprowokowana. Ktoś odkaslnął. Ktoś z tyłu klasy powiedział "Hmmm" lekko sędziowskim tonem. A John "Świńskie Koryto" Dano ześliznął się cicho z krzesła i całkowicie nieprzytomny opadł na podłogę.

Wszyscy patrzyli na mnie ciężko wstrząśnięci.

- To - oznajmiłem uprzejmie - jest znane jako "zabranie się do roboty".



Kroki zadudniły na korytarzu; ktoś pytał kogoś, czy była eksplozja w laboratorium chemicznym. Kiedy ktoś inny odpowiadał, że nie ma pojęcia, rozległ się przenikliwy dźwięk alarmu przeciwpożarowego. Połowa dzieciaków w klasie automatycznie zaczęła się podnosić.

- Wszystko w porządku. - powiedziałem. - To tylko moja szafka. Pali się. Podpaliłem ją i tyle. Siadajcie.

Ci, którzy zaczęli wstawać, usiedli posłusznie. Poszukałem Sandry Cross. Siedziała w trzecim rzędzie, w czwartej ławce i nie wydawała się przestraszona. Wyglądała tak jak zwykle, jak bardzo podniecająca Porządna Dziewczyna.

Uczniowie ustawiali w szeregach się na trawie; mogłem zobaczyć ich przez okna. Wiewiórka uciekła, może to i dobrze. Wiewiórki są marnymi przypadkowymi gapiami.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a ja uniosłem broń. Pan Vance wetknął głowę do środka.

- Alarm pożarowy. - oznajmił - Niech wszyscy... Gdzie jest pani Underwood?

- Wynocha. - powiedziałem.

Zagapił się na mnie. Był bardzo grubym mężczyzną, o włosach pedantycznie obciętych na jeża. Wyglądało to tak, jakby jakiś architekt krajobrazu starannie przyciął je nożycami do żywopłotu.

- Co? Co powiedziałaś?

- Wyjdz. - strzeliłem do niego i spudłowałem. Kula odbiła się od górnej framugi drzwi, odłupując drzazgi.

- Jezu. - powiedział słabo ktoś w pierwszym rzędzie.

Pan Vance nie wiedział co się dzieje. Nie wiem, czy ktokolwiek z nich wiedział. To wszystko przypomniało mi artykuł, który czytałem, o ostatnim wielkim trzęsieniu ziemi w Kalifornii. Opisano w nim kobietę, która wędrowała z pokoju do pokoju, podczas kiedy dom wokół niej walił się w gruzy, i krzyczała do męża, żeby wyłączył z prądu wiatrak.

Pan Vance zdecydował się zacząć od początku:

- W budynku jest pożar. Proszę...

- Charlie ma broń, panie Vance. - Mike Gavin powiedział to takim tonem, jakby rozmawiał o pogodzie. - Myślę, że lepiej będzie...

Druga kula trafiła go w gardło. Ciało rozstąpiło się płynie, jak rozstępuje się woda, kiedy wrzucisz do niej kamień. Pan Vance tyłem wyszedł na korytarz i upadł, drapiąc gardło palcami. Irma Bates znów zaczęła krzyczeć, ale ponownie nikt się nie przyłączył. Gdyby chodziło o Carol Granger, natychmiast znalazło by się mnóstwo naśladowców, ale któż chciałby brać udział w koncercie z biedną, starą Irmą Bates? Nawet nie miała chłopaka. Poza tym, wszyscy byli zbyt zajęci zerkaniem na pana Vance, którego ruchy stawały się coraz wolniejsze.

- Ted. - zwróciłem się do Teda Jonesa, siedzącego najbliżej drzwi. - Zamknij drzwi na klucz, dobrze?

- Co ty w ogóle wyprawiasz? - zapytał Ted. Patrzył na mnie z czymś w rodzaju przestraszonego i pełnego pogardy niesmaku.

- Jeszcze nie znam wszystkich szczegółów. - odparłem. - Ale na razie zamknij drzwi na klucz, okej?

W głębi korytarza słychać było krzyki: "Ogień w szafce! Vance miał atak serca! Dajcie trochę wody! Dajcie..."

Ted Jones wstał, zamknął drzwi i przekręcił klucz. Był wysokim chłopakiem, noszącym sprane Levisy i wojskową koszulę z naszywanymi kieszeniami. Wyglądał bardzo przystojnie. Zawsze podziwiałem Teda, aczkolwiek nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Jeździł zeszlórocznym modelem Mustanga, którego podarował mu ojciec i nie miał ani jednego mandatu za złe parkowanie. Włosy układał w niemodny już kaczy kuper, a ja założyłem się, że to

jego twarz przywoływała w marzeniach Irma Bates, kiedy w środku nocy wykradała z lodówki ogórka. Zresztą, trudno było przeoczyć kogoś z tak czysto amerykańskim nazwiskiem jak Ted Jones. Jego ojciec był wicedyrektorem banku w Placerville.

- I co teraz? - zapytał z konsternacją Harmon Jackson.

- Hmm. - odłożyłem pistolet z powrotem na dziennik. - No cóż, może ktoś spróbuje podnieść i ocucić Świńskie Koryto? Będzie miał brudną koszulę. Brudniejszą, znaczy.

Sarah Pasterne zachichotała histerycznie i z kłaśnięciem zakryła sobie usta dłonią. George Yannick, który siedział najbliżej Świńskiego Koryta, przykucnął obok niego i zaczął klepać go po policzkach. Koryto jęknął, otworzył oczy, przewrócił nimi i powiedział: "On zastrzelił Teczuszkę."

Tym razem rozległo się kilka nerwowych śmieszków. Wystrzeliły w całej sali, jak ziarna prażonej kukurydzy. Pani Underwood miała dwie plastikowe teczki w szkocką kratę, które nosiła ze sobą od klasy do klasy. Była znana także jako Sue Dwie Spluwy.

Świńskie Koryto usiadł drżący na swoim krześle, znów przewrócił oczami i zaczął płakać.

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi, szarpiąc za klamkę i krzyząc: "Hej! Hej, wy tam!" Wyglądało na to, że to pan Johnson, który niedawno opowiadał o heskich żołnierzach. Uniosłem pistolet i posłałem kulkę przez osiatkowane szkło. Zrobiła śliczną, małą dziurkę obok głowy pana Johnsona, a on sam zniknął z widoku jak zanurzająca się łódź podwodna. Klasa (może za wyjątkiem Teda) przypatrywała się tej akcji z żywym zainteresowaniem, jakby przez przypadek znaleźli się w środku całkiem niezłego filmu.

- Ktoś tam w środku ma broń! - krzyknął pan Johnson. Rozległ się słaby odgłos uderzenia, kiedy odczołgiwał się od drzwi. Alarm przeciwpożarowy wciąż wydawał przenikliwy dźwięk.

- I co teraz? - zapytał ponownie Harmon Jackson. Był niedużym chłopcem, zwykle z krzywym uśmiechem przyklejonym do twarzy, ale teraz wyglądał bezradnie, kompletnie zagubiony.

Nie umiałem znaleźć odpowiedzi, toteż puściłem pytanie mimo uszu. Na zewnątrz dzieciaki niezmordowanie kręciły się po trawniku, rozmawiając i wskazując palcami na salę nr 16, w miarę jak poczta pantoflowa poszerzała swój zasięg. Po krótkiej chwili nauczyciele - sami mężczyźni - zaczęli zaganiać ich w stronę gimnazjalnej części budynku.

W mieście zaczęła wyc syrena na ratuszu, dźwięk unosił się i opadał w gorączkowych kadencjach.

- To jak koniec świata. - powiedziała miękko Sandra Cross.

Na to również nie znalazłem odpowiedzi.

## Rozdział 12

Nikt nic nie mówił przez jakieś pięć minut, dopóki wozy strażackie nie dotarły do liceum. Spoglądali na mnie, a ja spoglądałem na nich. Być może wciąż jeszcze mieli szansę rzucić się do ucieczki, a ludzie nadal pytają mnie, czemu tego nie uczynili. *Czemu nie zwiiali, Charlie? Coś ty im zrobił?* Niektórzy zadają te pytania ze strachem, jak gdybym co najmniej rzucił jakiś urok. Nie odpowiadam im. Nie odpowiadam na żadne pytania dotyczące tego, co wydarzyło się owego ranka w sali numer 16. Ale nawet gdybym coś powiedział, to i tak nic by nie dało. Oni już zapomnieli jak to jest być dzieckiem, żyć ramię w ramię z przemocą, z powszednimi bójkami w sali gimnastycznej, awanturami na koncertach w Lewiston, oglądaniem bijatyk w telewizji, morderstw w filmach. Większość z nas widziała w lokalnym

kinie dla zmotoryzowanych małą dziewczynkę, wymiotującą na księdza zupą groszkową. Stara Teczuska, w porównaniu z tym, nie była zbyt wstrząsająca.

Nie oceniam żadnej z tych rzeczy, hej, ostatnio nie jestem w nastroju do prowadzenia krucjat. Po prostu mówię wam, że amerykańskie dzieciaki przyzwyczajone były do życia pełnego przemocy, zarówno tej rzeczywistej, jak i udawanej. Poza tym, byłem ciekawostką: "Hej, Charliemu Deckerowi kompletnie dzisiaj odwaliło, słyszeliście? Nie! Serio? No. No. Sam widziałem. To było jak "Bonnie i Clyde", tyle tylko, że Charlie nie miał cycków i nie było gdzie kupić popcornu."

Wiedziałem, że myśleli, iż wyjdą z tego cało. To część tej historii. Zastanawiam się tylko nad jedną rzeczą: Czy mieli nadzieję, że jeszcze kogoś zdejmę?

Kolejny piskliwy dźwięk przyłączył się do wycia syreny, ten zbliżał się naprawdę szybko. Nie gliny. Taki jodłujący sygnał był ostatnim krzykiem mody we wszystkich ambulansach i karetkach w tamtym czasie. Zawsze miałem nadzieję, że nadejdzie w końcu dzień, w którym samochody ratownicze pójną po rozum do głowy i przestaną straszyć do zesrania wszystkich, których miały zamiar ratować. Kiedy zdarzy się pożar, wypadek albo inna katastrofa naturalna, jak ja, czerwone samochody spieszyć będą na miejsce przy akompaniamencie wzmocnionych dźwięków "Banjo Rag" w wykonaniu Darktown Strutters. Któregoś dnia. O rany.

## Rozdział 13

Widząc co dzieje się w szkole, miejska straż pożarna poszła na całość. Pierwszy zjawił się komendant, w swoim niebieskim Fordzie Pinto, wjeżdżając z piskiem hamulców na półkolisty podjazd. W ślad za nim, jak chorągwie bojowe, podążały wozy strażackie z drabinami. A z tyłu jechały jeszcze dwa samochody - pompy.

- Masz zamiar ich wpuścić? - zapytał Jack Goldman.

- Ogień jest na zewnątrz. - odpowiedziałem. - Nie tutaj.

- Zamknąłeś drzwi od szafki? - odezwała się Sylvia Ragan. Była dużą blondyną o wspaniałych piersiach, opiętych miękkim sweterkiem i zębach dotkniętych próchnicą.

- Tak.

- No to niech szukają.

Mike Gavin przypatrywał się strażakom, drobiącym małymi kroczkami i chichotał.

- Dwóch z nich właśnie zderzyło się ze sobą. - powiadomił. - Kurza twarz.

Dwaj nieszczęśliwi strażacy rozplątali się wreszcie i cała grupa zaczęła przygotowywać się do szarży w środek piekła, kiedy podbiegły do nich dwie postaci odziane w garnitury. Jedną z nich był pan Johnson, Ludzka Łódź Podwodna, a drugą pan Grace. Stanowczo i szybko rozmawiali z komendantem straży.

Ogromne zwoje węży strażackich z błyszczącymi końcówkami rozwijano z samochodów - pomp i ciągnięto w stronę drzwi frontowych. Komendant odwrócił się i krzyknął: "Zaczekajcie!". Ludzie niezdecydowanie stanęli na trawniku, trzymając przed sobą wyloty węży jak komiczne, mosiężne fallusy.

Komendant nadal odbywał naradę z panami Johnsonem i Grace'em. Pan Johnson wskazywał palcem na salę nr 16. Thomas Denver, Dyrektor ze Zdumiewająco Wygoloną Szyją, podbiegł i włączył się do rozmowy. Zaczynało to wyglądać jak narada na wzgórku miotacza w drugiej połowie dziewiątej rozgrywki.

- Ja chcę do domu! - krzyknęła dziko Irma Bates.
- Nie pieprz. - odparłem.

Komendant straży znów zaczął gestykulować w kierunku swoich rycerzy, a pan Grace gniewnie potrząsnął głową i położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się do Denvera i coś do niego powiedział. Denver przytaknął i pobiegł w kierunku głównego wejścia.

Komendant niechętnie kiwał głową. Poszedł z powrotem do swojego samochodu, pogrzebał na tylnym siedzeniu i wynurzył się z naprawdę ładnym megafonem Radio Shack, zasilanym bateriami. Założę się, że w jednostce mieli niezłe przepychanki na temat tego, kto będzie go używał. Dziś najwyraźniej zwycięzcą został ich dowódca. Wycelował megafon w kręcących się uczniach.

- Proszę odsunąć się od budynku. Powtarzam. Odsunąć się od budynku. Idźcie w kierunku pobocza szosy. Idźcie w kierunku pobocza szosy. Wkrótce przybędą autobusy, żeby was stamtąd zabrać. Zajęcia w szkole są odwołane...

Krótki, oszołomiony wrzask radości.

- ... na resztę dnia. A teraz, proszę odsunąć się od budynku.

Grupa nauczycieli - tym razem były wśród nich również kobiety - poczęła zapędzać uczniów w stronę drogi. Tamci wyciągali szyje i paplali. Rozglądałem się za Joem McKennedy, ale nie mogłem go nigdzie dojrzeć.

- Czy można odrabiać lekcje? - zapytał drżącym głosem Melvin Thomas. Rozległ się ogólny śmiech. Wszyscy wydawali się tym zaskoczeni.

- Proszę bardzo. - zastanowiłem się przez chwilę i dodałem - Jeżeli chcecie zapalić, to jazda, zróbcie to.

Kilkoro zaczęło szperać w kieszeniach. Sylvia Ragan, odstawiając wielką hrabinę, delikatnie wyłowiła z torebki zmaltretowaną paczkę Cameli i zapaliła papierosa z niedbałą elegancją. Wydmuchnęła smugę dymu, a zapalną zrzuciła na podłogę. Wyprostowała nogi na całą długość, nie przejmując się zaledwie tym, że jej spódnica narusza porządek publiczny. Wyglądała na zrelaksowaną.

Jednak powinno być trochę trudniej. Jak na razie szło mi całkiem niezle, ale na pewno były tysiące rzeczy, o których nie pomyślałem. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie.

- Jeżeli macie jakiegogo przyjaciela, koło którego chcielibyście usiąść, to dalej, zmieńcie miejsca. Ale nie próbujcie rzucać się na mnie, ani biec do drzwi, bardzo proszę.

Niektóre dzieciaki przesiadły się blisko swoich kumpli, idąc pośpiesznie i chyłkiem, ale większość z nich po prostu siedziała cicho. Melvin Thomas otworzył książkę do matematyki, ale nie mógł się na niej skupić. Gapiał się na mnie szklanym wzrokiem.

W górnym rogu pomieszczenia zabrzmiał słaby, metaliczny brzęk. Ktoś uruchomił interkom.

- Halo. - odezwał się Denver. - Halo, sala 16.
- Halo. - powiedziałem.
- Kto mówi?
- Charlie Decker.

Długa pauza. Wreszcie:

- Co tam się dzieje, Decker?

Przemyślałem sprawę. - Przypuszczam, że dostałem szału. - odpowiedziałem.

Jeszcze dłuższa pauza. Później, niemal retorycznie:

- Coś ty zrobił?

Wykonałem gest w kierunku Teda Jonesa. Uprzejmie kiwnął mi głową.

- Panie Denver?
- Kto to?
- Ted Jones, panie Denver. Charlie ma broń. Trzyma nas jako zakładników. Zastrzelił panią Underwood. I chyba zabił też pana Vance.
- Jestem całkiem pewien, że zabiłem. - wtrąciłem.
- Och. - odparł pan Denver .

Sarah Pasterne znów zachichotała.

- Ted Jones?
- Jestem. - odpowiedział mu Ted. Brzmiał bardzo kompetentnie, ale jednocześnie wydawał się nieco nieobecny. Jak porucznik, który ukończył szkołę oficerską. Nie sposób było go nie podziwiać.
- Kto jest w klasie poza tobą i Deckerem?
- Momencik. - powiedziałem. - Odczytam listę obecności. Chwileczkę.

Wziąłem zielony dziennik pani Underwood i otworzyłem go.

- Druga lekcja, tak?
- Taaa. - odpowiedział Corky.
- Okej. No to zaczynamy. Irma Bates?
- Ja chcę *do domu!* - krzyknęła buntowniczo Irma.
- Jest z nami. - rzuciłem. - Susan Brooks?
- Obecna.
- Nancy Caskin?
- Obecna.

Przejechałem do końca listy. Widniało na niej dwadzieścia pięć nazwisk, jedynym nieobecnym był Peter Franklin.

- Czy Peter Franklin został zastrzelony? - zapytał cicho pan Denver.
- Nie, choruje na odrę. - wyjaśnił Don Lordi. To wywołało kolejną falę śmiezków. Ted Jones głęboko zmarszczył czoło.
- Decker?
- Tak?
- Wypuścisz ich?
- Jeszcze nie teraz. - stwierdziłem.
- Czemu? - W jego głosie brzmiała straszna troska, straszny ciężar i przez moment złapałem się na tym, że prawie mi go żal. Szybko zdławiłem to uczucie. To jak gra w pokera. Oto siedzi przed tobą człowiek, który wygrywał przez całą noc, zgromadził przed sobą stos żetonów wysoki na kilometr, a teraz nagle zaczyna przegrywać. Nie odrobinę, tylko wielkie sumy, a tobie jest szkoda faceta i jego upadającego imperium. Ale przetykasz ten żal i ogrywasz go, chociaż nie wierzysz własnym oczom.

Więc powiedziałem - Jeszcze nie skończyliśmy tutaj balować.

- Co to znaczy?
- To znaczy, że możesz się odpieprzyć. - oznajmiłem. Carol Granger zrobiła wielkie oczy.
- Decker...
- Mów mi Charlie. Wszyscy przyjaciele nazywają mnie Charlie.
- Decker...

Uniosłem rękę i wycelowałem w klasę dwa złączone palce.

- Jeśli nie zaczniesz mówić do mnie Charlie, zastrzelę kogoś.

Pauza.

- Charlie?

- Tak lepiej. - W tylnym rządzie Mike Gavin i Dick Keene ukrywali uśmieszki. Kilkoro innych dzieciaków nawet nie kłopotowało się ich ukrywaniem. - Będziesz mówił mi Charlie, a ja tobie Tom. W porządku, Tom?

Długa, długa przerwa.

- Kiedy ich wypuścisz, Charlie? Nic ci nie zrobili.

Na zewnątrz widać było jeden z trzech czarno-białych wozów policji miejskiej i błękitny krążownik policji stanowej. Zaparkowali w poprzek drogi prowadzącej do szkoły, a Jerry Kesserling, który był szefem odkąd Warren Talbot odszedł na emeryturę na pobliski cmentarz metodystów w 1975, zaczął kierować ruch uliczny na drogę Oak Hill Pond.

- Słyszałeś mnie, Charlie?

- Tak. Ale nie potrafię powiedzieć. Nie wiem. Chyba nadjeżdża więcej glin.

- Pan Wolfe ich wezwał. - wyjaśnił pan Denver. - Wyobrażam sobie, że będzie wielka afera, kiedy w pełni zdadzą sobie sprawę z tego, co się dzieje. Mają gaz łzawiący i gaz paraliżujący, Dec... Charlie. Czemu chcesz utrudniać to sobie i swoim kolegom z klasy?

- Tom?

Niechętnie:

- Co?

- Zawlecz tam swoją chudą, pomarszczoną dupę i powiedz im, że w momencie kiedy ktokolwiek użyje gazu łzawiącego, albo czegokolwiek innego, będzie tego żałował. Powiedz im, żeby nie zapominali kto tu rządzi.

- Dlaczego? Dlaczego to robisz? - Słysząc było, że jest zagniewany, bezsilny i przestraszony. Brzmiał jak człowiek, który właśnie odkrył, że nie ma na kogo zrzucić odpowiedzialności.

- Nie wiem. - powiedziałem. - Ale to z pewnością bije na głowę majtkowe rajdy, Tom. I nie sądzę, że to powinno cię teraz obchodzić. Ty masz tylko pobiec truchcikiem na zewnątrz i przekazać im wszystko co powiedziałem. Zrobisz to, Tom?

- Nie mam wyboru, prawda?

- Nie masz, racja. Ale jest jeszcze coś, Tom.

- Co? - zapytał bardzo niepewnie.

- Niezbyt cię lubię, Tom, jak już pewnie zauważyłeś, ale aż do tej chwili nie przejmowałeś się za bardzo moimi uczuciami. Lecz teraz wyszedłem już z twojej szafki na akta, Tom. Zrozumiałeś to? Nie jestem już notatką, którą możesz zamknąć o trzeciej po południu. Zrozumiałeś to? - mój głos wzniósł się do krzyku. - ZROZUMIAŁEŚ TO, TOM? CZY PRZYSWOIŁEŚ SOBIE TĘ KONKRETNĄ INFORMACJĘ O ŻYCIU?

- Tak, Charlie. - potwierdził martwym głosem - Zrozumiałem.

- Nie, Tom, nie rozumiałeś. Ale zrozumiesz. Zanim ten dzień dobiegnie końca, dowiemy się wszystkiego o różnicy pomiędzy ludźmi, a kawałkami papieru w teczce na akta i o różnicy pomiędzy wykonywaniem swojej roboty, a byciem obrabianym. I co o tym sądzisz, Tommy, mój przyjacielu?

- Myślę, że jesteś chorym chłopcem, Decker.

- Nie, myślisz, że jestem chorym chłopcem, *Charlie*. Czy nie to chciałeś powiedzieć, Tom?

- Tak...

- Powiedz to.

- Myślę, że jesteś chorym chłopcem Charlie. - powiedział to jak skrzępowany siedmiolatek, recytujący mechanicznie wyuczoną kwestię.

- Wydaje mi się, że powinieneś popracować nad sobą, Tom. A teraz zasuway i przekaz tym na zewnątrz to, co powiedziałem.

Denver chrząknął, jakby miał coś jeszcze do powiedzenia, a później interkom się wyłączył. Cichy pomruk przebiegł po klasie. Przyjrzałem się wszystkim bardzo uważnie. Ich spojrzenia były takie obojętne i chłodne (szok potrafi to sprawić: umysł odmawia dostosowania się do nowych warunków; jak pilot bombowca, katapultowany z szarego życia wprost w nieubłagany, przeładowany wrażeniami prawdziwy świat, możesz tylko swobodnie opadać i mieć nadzieję, że prędzej czy później twój spadochron się otworzy), że powróciła do mnie zapomniana rymowanka z czasów podstawówki:

*Nauczyciel dzwonkiem trzęsie,  
Gotów do nauki jestem.  
A gdy skończą się me lekcje,  
Będę wiedział dużo więcej.*

Zastanawiałem się, czego oni dziś się nauczyli; czego ja się nauczyłem. Żółte autobusy szkolne zaczęły nadjeżdżać i nasi szkolni koledzy udali się do domów, aby nacieszyć się wolnym czasem przy telewizorze w salonie, albo przy przenośnym radiu; ale tutaj, w sali nr 16, edukacja trwała nadal.

Ostro zastukałem kolbą pistoletu w biurko. Pomruk zamarł. Obserwowali mnie tak samo uważnie, jak ja ich. Sędzia i ława przysięgłych, czy ława przysięgłych i oskarżony? Zachciało mi się śmiać.

- No cóż. - powiedziałem. - Gównno z całą pewnością już wpadło w wentylator. Chyba musimy trochę pogadać.

- Na osobności? - spytał George Yannick. - Tylko ty i my? - Miał inteligentną, pewną siebie twarz i nie wyglądał na wystraszonego.

- Tak.

- No to lepiej wyłącz interkom.

- Ty gadatliwy sukinsynu. - powiedział zdecydowanym głosem Ted Jones. George spojrział na niego, urażony.

Wśród niezręcznej ciszy wstałem i przesunąłem małą dźwigienkę pod głośnikiem z pozycji NADAWANIE - ODBIÓR na ODBIÓR.

Wróciłem na miejsce i usiadłem. Skinąłem głową w stronę Teda.

- Myślałem o tym. - skłamałem. - Nie powinieneś się tak przejmować.

Ted nic nie powiedział, ale posłał mi dziwny uśmiezek, który sprawiał wrażenie, że Jones zastanawia się jak mógłbym smakować.

- Okej. - zwróciłem się do klasy, jako do ogółu. - Może i jestem szurnięty, ale nie zamierzam zastrzelić nikogo za wyrażenie opinii o tym fakcie. Uwierzcie. Możecie mówić co chcecie, bylebyśmy tylko się nie przekrzykiwali. - Nie wyglądało, żeby miał być z tym problem. - No to weźmy byka za rogi: czy jest tutaj ktokolwiek, kto uważa, że zamierzam ni stąd ni zowąd wszystkich wymordować?

Parę osób wyglądało na zaniepokojone, ale nikt się nie odezwał.

- Dobra. Ponieważ nie zamierzam. Będziemy sobie tutaj siedzieć i wkurzać wszystkich jak cholera.

- Taaa, panią Underwood z pewnością cholernie wkurzyłeś. - odezwał się Ted. Nadal uśmiechał się tym dziwnym uśmiezkami.

- Musiałem to zrobić. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale... musiałem. Całość sprowadza się właśnie do tego. I do pana Vance. Ale wszyscy tutaj możecie być spokojni. Nikt nie zamierza rozpoczynać strzelaniny, więc nie musicie się martwić.

Carol Granger nieśmiało podniosła rękę. Wskazałem na nią. Była bystra, bystra jak diabli. Przewodnicząca klasy i murowana kandydatka do wygłoszenia mowy pożegnalnej w imieniu absolwentów w czerwcu: "Nasze zobowiązania wobec czarnoskórych", albo może "Nadzieje na przyszłość". Została już wciągnięta na listę jednego z doskonałych żeńskich college'ów, takiego, o którym ludzie przeważnie snują domysły na temat ilości uczących się tam dziewczyn. Ale nie miałem zamiaru wykorzystywać tego przeciwko niej.

- Kiedy będziemy mogli wyjść, Charlie?

Westchnąłem i wzruszyłem ramionami.

- Poczekamy i zobaczymy co będzie się działo.

- Ale moja mama zamartwi się na śmierć!

- A niby czemu? - zapytała Sylvia Ragan. - Przecież wie gdzie jesteś, nie?

Wszyscy ryknęli śmiechem. Z wyjątkiem Teda Jonesa. On się nie śmiał, a ja zamierzałem mieć tego chłopaka na oku. Wciąż miał na ustach ten bezwzględny uśmiech. Oczywiście było, że bardzo pragnie zdusić w zarodku to, co się dzieje. Ale dlaczego? Odznaka Zasłużonego Pogromcy Szaleńca? To za mało. Uwielbienie całego społeczeństwa - oto chłopiec, który stał na płonącym pokładzie, zatykając przeciek palcem? To wydawało się nie w jego stylu. W stylu Teda była raczej poza nieokrzesanego przystojniaka. Był jedynym znanym mi facetem, który w trzeciej klasie zrezygnował z gry w szkolnej drużynie futbolowej, po trzech tygodniach chodzenia w glorii i chwale. Reporter, który pisał artykuły sportowe do lokalnej gazety, nazwał go najlepszym obrońcą, jakiego kiedykolwiek stworzyła szkoła średnia w Placerville. Lecz on zrezygnował, nagle i bez słowa wytłumaczenia. Dostatecznie zdumiewające. Jednakże co bardziej zdumiewające, to fakt, że nie stracił ani jednego punktu na swoim wskaźniku popularności. Co więcej, Ted stał się bardziej uwielbiany niż kiedykolwiek. Joe McKennedy, który, jako blokujący, przecierpiał w drużynie cztery lata i złamany nos, powiedział mi, że jedyną rzeczą, jaką Ted raczył oznajmić bliskiemu agonii trenerowi, który domagał się wyjaśnień, było to, że futbol wydaje się raczej idiotycznym sportem i on (Ted) sądzi, że potrafi znaleźć sobie lepsze zajęcie. Widzicie teraz, czemu darzyłem go szacunkiem, ale niech mnie diabli, jeżeli wiedziałem, czemu on osobiście ma coś do mnie. Krótki namysł nad tą sprawą mógłby być pomocny, ale wydarzenia toczyły się strasznie szybko.

- Odbiło ci? - spytał nagle Harmon Jackson.

- Myślę, że chyba tak. - odparłem. - Według mnie, każdy kto zabija kogoś innego musi mieć potężnie odbite.

- No, to może powinieneś się poddać? - powiedział Harmon. - Poprosić o pomoc. Lekarz, i te sprawy.

- Masz na myśli takiego lekarza, jak ten Grace? - zaciekawiała się Sylvia. - Mój Boże, co to za świr. Musiałam iść do niego po tym, jak rzuciłam kałamarzem w starą Green. Wciąż tylko zerkał na moją sukienkę i próbował skłonić mnie do rozmowy o moim życiu seksualnym.

- Nie, żebyś jakieś miała... - skomentował Pat Fitzgerald i znów wszyscy się roześmiali.

- I nie, żeby to był jego, albo twój interes. - odpowiedziała wyniośle, rzucając papierosa na podłogę, i przydeptując go.

- A więc co robimy? - zapytał Jack Goldman.

- Po prostu mamy ubaw. - odpowiedziałem. - To wszystko.

Drugi samochód policji miejskiej wjechał na trawnik. Domyślałem się, że trzeci, wraz z obsadą, prawdopodobnie był teraz przed Knajpką Juniora, pobierając racje żywnościowe w



postaci kawy i pączusiów. Denver rozmawiał z policjantem w niebieskich spodniach i w jednym z tych prawie-Stetsonów jakie nosili. Dalej, na drodze, Jerry Kesserling przepuszczał przez blokadę kilka samochodów, aby zabrały te dzieciaki, które nie pojechały autobusem. Samochody zabierały pasażerów i odjeżdżały pośpiesznie. Pan Grace mówił coś do człowieka w urzędniczym garniturze, którego nie znałem. Strażacy stali wokół, palili papierosy i czekali, aż ktoś każe im gasić pożar, albo jechać do domu.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, że pobiłeś Carlsona? - spytał Corky.

- A skąd ja mam wiedzieć, co ma z tym coś wspólnego? - zapytałem go z irytacją. - Gdybym wiedział, co skłoniło mnie do tego, co robię, to pewnie bym tego nie robił.

- To twój rodzice. - stwierdziła nagle Susan Brooks. - To muszą być twój rodzice.

Ted Jones parsknął arogancko.

Spojrzałem na nią, zaskoczony. Susan Brooks była jedną z tych dziewcząt, które nigdy nie odzywają się nie pytane, jedną z tych, które nauczyciele zawsze proszą o mówienie głośniej. Bardzo pilna, bardzo poważna dziewczyna. Raczej ładna, ale nie porażająca inteligencją - z rodzaju takich, którym nie wolno się poddać i iść do zawodówki, albo na kursy handlowe, ponieważ miała niesamowicie błyskotliwego starszego brata, albo starszą siostrę i nauczyciele od niej oczekują podobnych osiągnięć. Krótko mówiąc, jedna z dziewcząt, które trzymają brudny koniec patyka z taką gracją i manierami, na jakie tylko potrafią się zdobyć. Przeważnie wychodzą za mąż za kierowców ciężarówek i przeprowadzają się na Zachodnie Wybrzeże, gdzie dorabiają się aneksów kuchennych z szafkami Formica - i piszą listy do Krewnych, Tam, Na Wschodzie, najradziej jak tylko można. Żyją cichym, szczęśliwym życiem i zdecydowanie pięknieją, kiedy cień genialnego brata lub siostry oddala się od nich.

- Moi rodzice. - powtórzyłem, smakując te słowa. Zastanawiałem się, czy opowiedzieć im, że w wieku dziewięciu lat byłem z tatą na polowaniu. "Moja wyprawa łowiecka", autorstwa Charlesa Deckera. Podtytuł: "Czyli jak podsłuchałem mego ojca objaśniającego tajniki Operacji Nosa u Czirokezów". Zbyt bulwersujące.

Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na Teda Jonesa i poczułem, że właśnie trafiłem na piękną żyłę złota. Jego twarz wykrzywiła się we wściekłym, drwiącym grymasie, jakby ktoś właśnie przemocą wycisnął mu do ust całą cytrynę, a później ścisnął szczęki. Jakby ktoś zapuścił głęboką sondę w głąb jego umysłu i wprawił jakiś stary, dawno zatopiony wrak w długą i złowrogą psychiczną wibrację.

- Tak jest napisane we wszystkich podręcznikach do psychologii. - kontynuowała beztrudno Susan, niczego nieświadoma. - W zasadzie... - nagle zdała sobie sprawę z faktu, że zabrała głos (i to normalnym tonem, i to w *klasie*) i zamilkła. Miała na sobie bladozieloną bluzkę, spod której ramiączka biustonosza prześwitywały jak widmowe, na wpół starte ślady kredy.

- Moi rodzice. - powiedziałem ponownie i ponownie umilkłem. Znowu wspominałem tamten wypadek na polowanie, lecz tym razem wróciłem pamięcią do przebudzenia, oglądania poruszających się gałęzi na napiętym brezentu namiotu (Czy brezent był napięty? Możecie się założyć, namiot ustawiał mój ojciec, a on zawsze dokręcał wszystko do oporu.), oglądania poruszających się gałęzi, potrzeby wysikania się; wspominałem jak czuje się małe dziecko... i coś, co zdarzyło się dawno temu. Nie chciałem o tym mówić. Nie rozmawiałem o tym z panem Grace. To było zbyt realne - a poza tym, był jeszcze Ted. Teda to w ogóle nie obchodziło. Być może wszystko było dla niego bardzo ważne. Być może Ted wciąż mógł być... pomocny. Podejrzywałem, że dla mnie było już za późno, ale z drugiej strony, czyż nie powiadają, że nauka sama w sobie jest dobrą i elegancką rzeczą? Pewnie.

Na zewnątrz niewiele się działo. Przybył ostatni samochód policyjny i, tak jak myślałam, gliniarze trzymali w rękach kubki z kawą na wynos. Nadeszła pora na opowieści.

- Moi rodzice... - zacząłem:

## Rozdział 14

Moi rodzice poznali się na przyjęciu weselnym i chociaż to nie ma nic do rzeczy - chyba, że wierzycie w omeny - panna młoda, tak szczęśliwa tego dnia, spaliła się na śmierć krócej niż rok później. Jej nazwisko brzmiało Jessie Decker Hannaford. Jako Jessie Decker była współlokatorką mojej mamy w akademiku na Uniwersytecie Maine, gdzie obydwie studiowały nauki polityczne. Przebieg zdarzeń był prawdopodobnie taki: mąż Jessie wyszedł na jakieś nadzwyczajne zebranie miejskie, a Jessie poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Upadła, uderzyła się w głowę i straciła przytomność. W kuchni ściereczka do naczyń spadła na płonący palnik kuchenki - i dom poszybował w górę jak fajerwerk. Prawdziwą łaską było, że Jessie nie cierpiała.

A zatem jedynym pożytkiem z owego wesela było to, że moja matka poznała brata Jessie Decker Hannaford. Był podporucznikiem w Marynarce Wojennej. Po przyjęciu zapytał moją mamę, czy chciałaby pójść gdzieś potańczyć. Powiedziała: tak. Chodzili ze sobą przez pół roku, po czym pobrali się. Ja przyszedłem na świat jakieś czternaście miesięcy po zaślubinach i wielokrotnie robiłem obliczenia: wygląda na to, że zostałem poczęty w jedną z nocy tuż przed, albo tuż po tym, jak siostra ojca ugotowała się żywcem w kabynie prysznicowej. Była druhną mojej mamy. Obejrzałem wszystkie ślubne zdjęcia i nieważne, jak często bym na nie nie patrzył, zawsze czuję się dziwnie. Oto Jessie niosąca tren sukni mamy. Jessie i jej mąż, Brian Hannaford, uśmiechający się w tle, podczas kiedy moi rodzice kroją weselny tort. Jessie tańcząca z pastorem. I na wszystkich tych zdjęciach zaledwie pięć miesięcy brakuje jej do prysznic i ściereki na palniku. Chciałoby się wejść w jedną z tych fotografii, podejść do niej i powiedzieć: "Nigdy nie zostaniesz moją ciocią Jessie, chyba że będziesz trzymać się z daleka od prysznic, kiedy twojego męża nie będzie w domu. Uważaj na siebie, ciociu Jessie". Ale nie można wrócić. Z braku podkowy zginął koń, i tak dalej.

Lecz to już się wydarzyło, co jest innym sposobem na powiedzenie, że ja się wydarzyłem. Jestem jedynym dzieckiem; moja matka nigdy nie chciała mieć drugiego. Była wielką intelektualistką, ta moja mama. Czytywała angielskie kryminały, ale nigdy autorstwa Agaty Christie. Victor Canning i Hammond Innes byli bardziej w jej guście. Tak samo jak magazyny, *Manchester Guardian* i *Monocle*, i *New York Review of Books*. Ojciec był bardziej amerykańskim typem. Lubił Tygrysy z Detroit i hokej w wykonaniu Drodzdzików z Detroit, i nosił czarną opaskę na rękawie tego dnia, kiedy zmarł Vince Lombardi. Bez kitu. Pochłaniał też wszystkie opowiadania Richarda Starka o złodzieju Parkerze. Matka nie mogła się temu nadziwić. W końcu złamała się i powiedziała ojcu, że Richard Stark to w rzeczywistości Donald Westlake, który pod swoim własnym nazwiskiem pisywał dość zabawne kryminałki. Mój tata spróbował przeczytać jeden z nich i uznał, że jest beznadziejny. Po tej próbie zachowywał się tak, jakby Westlake/Stark był jego własnym pieskiem pokojowym, który zwrócił się przeciw niemu i którejs nocy próbował przegryźć mu gardło.

Moje najwcześniejsze wspomnienie dotyczy tego, jak obudziłem się w ciemności i sądziłem, że jestem martwy, dopóki nie ujrzałem cieni poruszających się na ścianach i suficie - za oknem rósł wielki, stary wiąz i to wiatr kołysał jego gałęziami. Tej konkretnej nocy - pierwszej, z której cokolwiek pamiętam - musiała być pełnia (księżyc łowcy, tak to nazywają?), bo ściany były bardzo jasne, a cienie bardzo wyraźne. Gałęzie wyglądały na nich jak wielkie, poruszające się palce. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że wyglądały jak

palce kościotrupa. Ale wtedy nie mogłem tak pomyśleć, no bo jakim cudem? Miałem dopiero trzy latka. Takie małe dziecko nawet nie wie co to kościotrup.

Lecz coś się zbliżało. Mogłem to usłyszeć, na korytarzu. Nadchodziło coś strasznego. Zbliżało się do mnie poprzez ciemność. Słyszałem to, jak szura i szura, i szura.

Nie mogłem nawet drgnąć. Może nawet nie chciałem. Nie pamiętam aż tak dobrze. Po prostu leżałem, obserwowałem trzy palce poruszające się na ścianie i suficie i czekałem, aż Szurający Stwór dotrze do mojego pokoju i otworzy na oścież drzwi.

Po długim czasie - mogła to być godzina, a mogło być zaledwie kilka sekund - zdałem sobie sprawę, że Szurający Stwór wcale nie skrada się po mnie. A przynajmniej nie tym razem. Przyszedł po mamę i tatę. Szurający Stwór był w pokoju rodziców.

Leżałem tam, obserwując trzy palce i słuchałem. Teraz to wszystko wydaje się takie bajeczne i odległe, jak miasto widziane ze szczytu góry, gdzie powietrze jest rozrzedzone, ale równie realne jak wtedy. Pamiętam wiatr, potrząsający szybami w oknie mojej sypialni. Pamiętam jak się zmoczyłem - to było ciepłe i w jakiś sposób pocieszające. I pamiętam Szurającego Stwora.

Po długim, długim, długim czasie odezwał się głos mojej matki, nieco zdyszany i zirytowany, a także trochę przestraszony: "Przestań, Carl." Znow tajemnicze szuranie. "Przestań!"

Mamrotanie mojego ojca.

Głos mamy: "Nic mnie to nie obchodzi! Nie obchodzi mnie, że ty nie będziesz! Przestań i *daj mi spać!*"

A więc już wiedziałem. Zapadłem w sen, ale wiedziałem. Szurającym Stworem był mój ojciec.

## Rozdział 15

Nikt się nie odzywał. Niektórzy z nich nie dostrzegli sedna sprawy, jeżeli jakieś istniało; sam nie byłem pewien. Patrzyli na mnie wyczekująco, jakby spodziewali się usłyszeć pointę niezłego dowcipu.

Inni spoglądali na swoje dłonie, najwyraźniej zażenowani. Ale Susan Brooks wyglądała jednocześnie na promienną i usatysfakcjonowaną. Miło było to widzieć. Czułem się jak farmer, który rozrzuca gnój, a zbiera kukurydzę.

Nadal nikt się nie odzywał. Zegarzabrzęczał z rodzajem niejasnej determinacji. Spojrzałem w dół, na panią Underwood. Miała na wpół otwarte oczy, szkliste i sklezione. Nie wyglądała na ważniejszą od świszczą, którego kiedyś ustrzeliłem z wiatrówki ojca. Mucha obłudnie czyściła łapki na jej przedramieniu. Czując się nieco zdegustowany, machnąłem, żeby odleciała.

Na zewnątrz widać było przybyłe dodatkowo cztery wozy policyjne. Inne samochody zaparkowane były na poboczu szosy, za blokadą, tak daleko, jak tylko mogłem sięgnąć wzrokiem. Zgromadził się niezły tłum. Usiadłem z powrotem, pocierając policzek dłonią i popatrzyłem na Teda. Podniósł zaciśnięte pięści na wysokość ramion, uśmiechnął się i wyprostował obydwa środkowe palce.

Nie powiedział ani słowa, ale z ruchu jego warg mogłem łatwo odczytać: Pieprzysz.

Nikt oprócz nas dwóch nie zauważył, że coś zaszło. Ted wyraźnie gotów był przemówić na głos, ale ja wołałem na razie zachować to między nami. Powiedziałem:

## Rozdział 16

Odkąd sięgam pamięcią mój ojciec mnie nienawidził.

To dosyć łzawe oświadczenie i zdaję sobie sprawę, jak fałszywie ono dźwięczy. Brzmi kapryśnie i mało realnie - rodzaj broni, której zawsze używają dzieciaki, kiedy stary nie chce pożyczyć im samochodu na naprawdę ważną randkę w kinie z Peggy Sue, albo kiedy zapowiada, że jeżeli kolejny raz obleją historię świata, to zamieni ich życie w piekło na ziemi. W tych oświeconych dniach i w czasach kiedy wszyscy sądzą, że psychologia jest darem bożym dla biednej, sfiksowanej analnie ludzkiej rasy, a sam prezydent Stanów Zjednoczonych łyka garść tabletek przed obiadem, to naprawdę świetny sposób, aby pozbyć się owego starotestamentowego poczucia winy, które narasta ci w gardle jak zgaga po przejedzeniu się paskudnym posiłkiem. Jeżeli powiesz, że twój ojciec nienawidził cię, kiedy byłeś dzieckiem, możesz śmiało iść i okraść sąsiadów, popełnić gwałt, albo spalić salę, gdzie Rycerze Pytii spotkali się, aby pograć w bingo i nadal żądać łagodnego wyroku.

Ale to oznacza również, że nikt ci nie uwierzy, nawet jeśli mówisz prawdę. Jesteś jak ten mały chłopiec, który krzyczał: "wilk!". A w moim przypadku to prawda. Och, nie było to nic specjalnie wstrząsającego, aż do tej sprawy z panem Carlsonem. Nie sądzę, żeby tata sam sobie to przedtem uświadamiał. Nawet gdyby można było dokopać się do najgłębiej ukrytych motywów jego postępowania, powiedziałaby - co bardzo prawdopodobne - że nienawidził mnie dla mojego własnego dobra.

Pora na metaforę w starym corralu: Dla Taty życie było jak drogocenny, zabytkowy samochód. Ponieważ jest zarówno cenny, jak i niezastąpiony, utrzymujesz go w niepokalanej czystości i w doskonałym stanie. Raz do roku pokazujesz się na lokalnej paradzie starych aut. Ani odrobina oleju nie ma prawa zanieczyścić benzyny, żaden osad nie może znaleźć się w gaźniku, żadna śruba przy wale napędowym nie może być poluzowana. Co półtora tysiąca kilometrów samochód przechodzi przegląd, wymianę oleju i smarowanie, a co niedzielę musisz go wypucować i nawoskować karoserię, zanim w telewizji zacnie się mecz. Motto mojego taty brzmiało: Wszystko dopięte na ostatni guzik. A jeśli ptak nasra ci na przednią szybę, ścierasz gówieńko zanim będzie miało szansę zaschnąć.

Tak wyglądało życie według mego ojca, a ja byłem ptasim gówieńkiem na przedniej szybie.

Tata był roslym, małowównym mężczyzną o piaskowych włosach, karnacji łatwo ulegającej poparzeniom słonecznym i twarzy, która była leciutko - ale nie nieprzyjemnie - małpia. Latem wciąż wyglądał na wkurzonego, z cerą zaczerwienioną od słońca i oczami spoglądającymi uważnie i ostro. Iskierki wojowniczości migotały w nich, jak słabe odbłaski na wodzie. Później, kiedy skończyłem dziesięć lat, został przeniesiony do Bostonu i widywaliśmy go tylko w weekendy, ale przedtem stacjonował w Portland i jeśli o mnie chodzi, to był on jak wszyscy inni zapracowani ojcowie, tyle tylko, że jego koszula była khaki, a nie biała, i zawsze nosił czarny krawat.

Powiedziane jest w Biblii, że grzechy ojców spadną na synów i to może być prawda. Ale ja chciałbym jeszcze dodać, że grzechy owych innych synów spadały na mnie. Praca oficera werbunkowego Marynarki Wojennej bardzo męczyła mojego tatę i często przychodziło mi do głowy, że byłby znacznie szczęśliwszy gdyby wysłano go gdzieś na morze - że nie wspomnę o tym, o ile ja byłbym wtedy szczęśliwszy. Ciężko znosił swoją pracę, bo to było tak, jakby musiał wędrować i patrzeć na cudze bezcenne i zabytkowe samochody doprowadzone na skraj ruiny, poplamione błotem i zżarte rdzą. Wcielał do armii Rómeów ze szkół średnich,

którzy porzucali swoje ciężarne Julie, przyjmował ludzi, którzy nie mieli pojęcia w co się pakują, a także takich, którym zależało tylko na tym, aby się z czegoś wydostać. Miał do czynienia z posępnymi, młodymi facetami, którym kazano wybierać pomiędzy wyciskiem w Marynarce Wojennej, a wyciskiem w Ośrodku Szkoleniowo - Poprawczym w South Portland. Dostawał wystraszonych księgowych, którym przytrafiła się kategoria A-1, a którzy zrobiliby wszystko, aby tylko trzymać się z dala od Wietnamu, gdzie żółtki ogłaszały właśnie swoją długoterminową ofertę specjalną na Marynowane Penisy Amerykańskich Żołnierzy. Dostawał również gapowatych matolów, którzy musieli przejść trening zanim nauczyli się składać podpis i mieli IQ odpowiadające rozmiarowi ich czapek.

A w domu czekałem na niego ja, zapowiadający się na człowieka takiego, jak wyżej wymienieni. Cóż za wyzwanie. Musicie wiedzieć, że nie nienawidził mnie po prostu dlatego, że byłem; nienawidził mnie, ponieważ nie potrafił sprostać wyzwaniu. Może i mógłby, gdybym nie był bardziej związany z mamą, niż z nim i gdybyśmy oboje z mamą nie byli tego świadomi. Nazywał mnie maminsynkiem. Chyba miał rację.

Pewnego dnia, jesienią 1962, oberwałem po głowie za rzucanie kamieniami w zimowe okna, które ojciec przygotował do zawieszenia. Była pierwsza połowa października, sobota, a tata zabierał się do tego tak, jak do wszystkiego innego: krok po kroczku, z precyzją wykluczającą jakiegokolwiek błędy i straty.

Najpierw wyniósł wszystkie okna z garażu (świeżo odmalowanego poprzedniej wiosny, na zielono, żeby pasował do wykończenia domu) i ostrożnie ustawił je w szeregu pod ścianami, każde przy odpowiednim oknie. Widzę go, wysokiego, spalonego słońcem i zagniewanego, nawet pod zimnym październikowym słońcem, w rześkim październikowym powietrzu, które było jak chłodne pocałunki. Październik to bardzo piękny miesiąc.

Siedziałem na ostatnim schodku frontowej werandy, bawiąc się w wypatrywanie samochodów i obserwując tatę. W każdej chwili mógł pojawić się jakiś samochód, jadący w górę drogi nr 9, w kierunku Windsor lub w dół, zmierzający do Harlow, albo Freeport. Mama była w domu i grała na pianinie. Bacha, jak przypuszczam. Inna rzecz, że wtedy, cokolwiek mama zagrała, zazwyczaj brzmiało jak Bach. Wiatr bawił się w berka z dźwiękami, to przynosząc je do mnie, to odganiając z powrotem. Teraz, za każdym razem kiedy usłyszę ten kawałek, od razu myślę o tamtym dniu. Fuga Bacha dla Okien Zimowych w tonacji a-moll. Siedziałem i czekałem na samochody. Przejechał Ford, rocznik 1956, z rejestracją spoza stanu - prawdopodobnie jechali postrzelać sobie do przepiórek i bażantów. Drozd usiadł pod wiązem, tym samym, który nocą rzucał cienie na ściany mojej sypialni, i dziobał wśród opadłych liści w poszukiwaniu robaków. Mama nadal grała - prawą ręką podając melodię, lewą kontrapunktując. Potrafiła przepięknie zagrać boogie-woogie, kiedy naszła ją ochota, ale to nie zdarzało się często. Nie przepadała za taką muzyką, to pewnie dlatego. Nawet boogie, kiedy je grała, brzmiało jakby napisał je Bach.

Ni z tego ni z owego przyszło mi do głowy, jak wspaniale byłoby porozbijać wszystkie te zimowe okna. Stłuc je jedno po drugim; najpierw górne szyby, później dolne.

Możecie sobie myśleć, że to był akt zemsty, świadomy lub nie, sposób, żeby odegrać się na moim idealnie porządnym, zawsze-przygotowanym-na-wszystko starym. Ale prawda jest taka, że nie pamiętam, abym w ogóle myślał o ojcu w tej konkretnej sytuacji. Dzień był ładny i przyjemny. Ja miałem cztery lata. Śliczny październikowy dzionek, w sam raz na tłuczenie okien.

Wstałem, poszedłem na miękkie pobocze drogi i zacząłem zbierać kamienie. Miałem na sobie krótkie spodenki, a w kieszeniach upchałem tyle kamieni, że musiałem wyglądać, jakbym nosił w nich strusie jaja. Kolejny samochód przejechał, pomachałem w jego stronę. Kierowca odmachnął mi. Kobieta obok niego trzymała na rękach dziecko.

Wróciłem, idąc przez trawnik, wyjąłem kamień z kieszeni i cisnąłem nim w zimowe okno, ustawione obok okna od salonu. Włożyłem całą siłę w ten rzut. Nie trafiłem. Wyjąłem kolejny kamień i tym razem przycelowałem starannie w górę okna. Chłód przeleciał przez moje myśli, niepokojąc mnie na małą chwileczkę. Nie mogłem chybić. I nie chybiłem.

Przeszedłem naokoło domu tłukąc szyby. Najpierw okno od salonu, później od pokoju muzycznego. Było oparte o ceglana ścianę domu i kiedy je rozbiłem, popatrzyłem na mamę, grającą na pianinie. Ubrana była w przejrzystą, błękitną halkę, więc kiedy ujrzała mnie, zaglądnąjącego do pokoju, podskoczyła lekko i uderzyła w niewłaściwy klawisz, po czym posłała mi szeroki, słodki uśmiech i powróciła do grania.

Widzicie jak to było. Nawet nie usłyszała, jak rozbijałem okno.

Zabawne, w pewnym sensie - nie miałem poczucia, że robię coś złego, czułem jedynie że to co robię sprawia mi przyjemność. Selektywna percepcja małego dziecka to dziwna rzecz; jeżeli okna byłyby już zamocowane, nigdy nie przyszłoby mi na myśl, żeby je stłuc.

Przypatrywałem się właśnie ostatniemu oknu, należącemu do pokoju zabaw, kiedy nagle czyjaś dłoń opadła mi na ramię i obróciła mnie. To był mój tata. Był wściekły. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak rozwścieczonego. Oczy miał wielkie i przygryzał język, jak gdyby dostał jakiegoś szału. Przeraził mnie tak, że zacząłem płakać. To było tak, jakby twoja mama zeszła na śniadanie mając na twarzy halloweenową maskę.

- Ty gówniarzu!

Podniósł mnie obiema rękami, prawą trzymając za kostki u nóg, a lewą przyciskając mi ramię do piersi i rzucił mnie na ziemię. Mocno - myślę, że tak mocno, jak tylko mógł rzucić. Leżałem na trawie, kompletnie bez tchu i gapilem się, jak konsternacja i świadomość tego, co zrobił wypełniają na twarz ojca, rozpuszczając jego gniew. Nie byłem zdolny zapłakać, ani odezwać się, ani nawet poruszyć przeponą. W piersiach i w kroczu czułem paraliżujący ból.

- Nie chciałem tego zrobić. - odezwał się, klękając nade mną. - Wszystko w porządku? Jesteś cały, Chuck? - nazywał mnie Chuck, kiedy graliśmy w piłkę na podwórku za domem.

Moje płuca pracowały spazmatycznie, w gwałtownych próbach zaczerpnięcia powietrza. Otworzyłem usta i wydałem z siebie wielki wrzask. Ten dźwięk przestraszył mnie, toteż następny krzyk był jeszcze głośniejszy. Łzy rozszczerpiły wszystko jak pryzmat. Dźwięk pianina urwał się.

- Nie powinienesz rozbijać tych okien. - powiedział. Zmieszanie zastąpił gniew. - A teraz zamknij się. Bądź mężczyzną, na litość boską.

Gwałtownym szarpnięciem postawił mnie na nogi, akurat w chwili, kiedy mama wypadła zza rogu domu, nadal ubrana tylko w halkę.

- Potłukł wszystkie zimowe okna. - oznajmił mój ojciec. - Idź, załóż coś na siebie.

- O co tu chodzi? - krzyknęła mama. - Och, Charlie, skaleczyłeś się? Gdzie? Pokaż mi, gdzie?

- Nie pokaleczył się. - powiedział z obrzydzeniem tata - Boi się po prostu, że dostanie porządne lanie. I cholernie słusznie się boi.

Pobiegłem do mamy i wtuliłem twarz w jej brzuch, czując gładki, pocrzepiający dotyk jedwabnej halki i wdychając jej słodki zapach. Cała moja głowa wydawała się opuchnięta i miękka jak rzepa. Mój głos zamienił się w drżący ośli ryk. Mocno zacisnąłem powieki.

- Co ty opowiadasz, jakie lanie? Jest cały siny! Jeżeli zrobiłeś mu krzywdę, Carl...

- Zaczął płakać, jak tylko mnie zobaczył, o Chryste!

Głosy dobiegały gdzieś z wysoka, jak zwiłokrotnione echo z górskich szczytów.

- Jedźcie jakiś samochód. - zauważył ojciec. - Wejść do domu, Rita.

- Chodź, kochanie. - powiedziała moja mama. - Uśmiechnij się do mamusi. Ładny, duży uśmiech.

Odsunęła mnie od swojego żołądka i otarła mi łzy z oczu. Czy wasza matka kiedykolwiek ocierała wam łzy? Co do tego ci durni poeci się nie mylą - to jedno z najwspanialszych doświadczeń w życiu, na równi z pierwszym wygranym meczem i pierwszym mokrym snem.

- No już, już, słoneczko. Tatuś nie miał zamiaru złościć się na ciebie.

- To był Sam Castinguay i jego żona. - oznajmił ojciec. - Dałaś tym plotkarzom niezły temat do gadania. Mam nadzieję...

- Chodź, Charlie. - przerwała mama, biorąc mnie za rękę. - Napijemy się czekolady. W moim pokoju do zycia.

- Akurat! - rzucił krótko ojciec. Obejrzałem się na niego. Gniewnie zaciskał pięści, stojąc przed jedynym oknem, jakie ocalało. - Porzyga się, kiedy stłukę go na kwaśne jabłko.

- Nikogo nie będziesz tłukł. - powiedziała. - Już i tak wystraszyłeś go prawie na śmierć.

Nagle znalazł się przy niej, nie zwracając już uwagi na halkę, ani na Sama i jego żonę. Schwycił ją za ramię i wskazał na najeżone odłamkami szkła kuchenne okno zimowe.

- Spójrz! Spójrz! To *jego* robota, a ty teraz chcesz dawać mu czekoladę! On nie jest już malutkim dzieckiem! Rita, najwyższy czas, żebyś wreszcie odstawiała go od cycka!

Skuliłem się ze strachu za biodrem mamy, a ona wyrwała ramię z uchwytu ojca. Jego palce pozostawiły na ciele widoczne ślady, które przez chwilę były białe, a później poczerwieniały.

- Wejdź do domu. - oznajmiła spokojnie. - Zachowujesz się głupio, Carl.

- Mam zamiar...

- Nie mów mi, co zamierzasz! - krzyknęła nagle, robiąc krok w jego stronę. Cofnął się instynktownie. - Wejdź do środka! Dość już narozrabiałeś! Wejdź do domu! Idź, znajdź jakichś swoich koleżków i idźcie się napić! Idź gdziekolwiek! Ale... *zejdź mi z oczu!*

- Kara. - powiedział z rozumą ojciec. - Czy ktokolwiek w college'u nauczył cię tego słowa, czy byli zbyt zajęci wciskaniem ci do głowy wszystkich tych liberalnych bredni? Następnym razem on może strzaskać coś bardziej cenniego, niż kilka okien zimowych. Za którymś razem może strzaskać twoje serce. Bezmyślne niszczenie...

- *Wynoś się!* - krzyknęła.

Znów zacząłem płakać i odsunąłem się od nich obojga. Przez moment stałem pomiędzy rodzicami, chwiejąc się na nogach, aż wreszcie mama przygarnęła mnie do siebie. Już w porządku, słoneczko, powiedziała, ale ja obserwowałem mego ojca, który odwrócił się i odchodził, tupiąc jak nadąsany mały chłopiec. To w tym momencie, wtedy, kiedy zauważyłem z jaką wprawą i łatwością został odpędzony, wtedy właśnie odważyłem się również go znienawidzić.

Później, kiedy wraz z mamą piłem kakao w pokoju do zycia, opowiedziałem jej, jak to tata rzucił mną o ziemię. Powiedziałem jej, że tata skłamał.

To sprawiło, że poczułem się wspaniale. Nappełniło mnie siłą.

## Rozdział 17

- I co się później stało? - spytała bez tchu Susan Brooks

- Właściwie nic. - odparłem. - Sprawa rozeszła się po kościach.

Teraz, kiedy było już po wszystkim, stwierdziłem, że czuję się lekko zaskoczony faktem, iż tak długo dusiłem to w sobie. Kiedyś znałem takiego dzieciaka, Herka Orville'a, który zjadł mysz. Podpuściłem go, a on ją połknął. Surową. To była tylko mała, polna myszka i nie wyglądała na ranną, kiedy ją znaleźliśmy; może po prostu zdechła ze starości. Tak czy owak, mama Herka była na podwórzu, wieszając pranie, i od czasu do czasu zerkała na nas,

siedzących na ziemi przy tylnych schodkach. Spojrzała akurat w odpowiednim momencie, żeby zobaczyć, jak mysz znika w gardle Herka, głową naprzód.

Wrzasnęła - jak bardzo przerazić może krzyk dorosłego! - rzuciła się naprzód i wepchnęła Herkowi palec w gardło. Herk pozbył się myszy, hamburgera, którego zjadł na lunch i jakiejś kleistej brei, która wyglądała jak zupa pomidorowa. Właśnie zaczynał pytać swoją mamę o co jej chodziło, kiedy ona też zwymiotowała. Wśród tych wszystkich rzygowin biedna, zdechła myszka wcale nie wyglądała najgorzej. A już na pewno lepiej, niż cała reszta tego, co tam leżało. Morał z tego taki, że wyrzycanie z siebie przeszłości, kiedy terażniejszość przedstawia się jeszcze gorzej, może sprawić, iż niektóre wymiociny wyglądają niemalże apetycznie. Zaczęłam o tym mówić, ale doszedłem do wniosku, że to ich tylko zbulwersuje, tak jak ta historia o Operacji Nosa u Czirokezów.

- Tata miał przechlapanie przez kilka dni. To wszystko. Żadnego rozwodu. Nic wielkiego.

Carol Granger otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie wstał Ted. Jego twarz była biała jak ser, z wyjątkiem dwóch płonących plam czerwieni na policzkach. Szczerzył zęby. Mówiłem wam już, że nosił włosy zaczesane w kaczki kuper? Wysmarowane brylantyną, niemodne, obciachowe. Ale Tedowi było z tym do twarzy. Przez ten ułamek sekundy, kiedy się podnosił, wyglądał jak duch Jamesa Deana, który przyszedł aby mnie dorwać i moje serce zadrżało.

- Zamierzam odebrać ci ten pistolet, cieniasie. - oświadczył z szerokim uśmiechem. Jego zęby były białe i równe.

Musiałem stoczyć ciężką walkę, żeby przemówić opanowanym głosem, ale myślę, że poradziłem sobie niezle:

- Siadaj, Ted.

Ted nie zrobił ani kroku w moją stronę, ale widać było, jak bardzo tego pragnął.

- Rzygać mi się chce od tego, wiesz? Próbujesz zrzucić całą winę na swoich *starych*.

- Czy ja powiedziałem, że próbuję...?

- Zamknij się! - powiedział podniesionym, ostrym głosem. - Zabiłeś dwoje ludzi!

- Bardzo ci się chwali taka spostrzegawczość. - odpowiedziałem.

Dłońmi trzymanymi na wysokości talii wykonywał okropne, falujące ruchy i wiedziałem, że w wyobraźni Ted już mnie pochwycił i pożał.

- Odłóż to Charlie. - nadal szczerzył zęby. - Odłóż broń i walcz ze mną uczciwie.

- Dlaczego wystąpiłeś z drużyny futbolowej, Ted? - zapytałem przyjaźnie. Bardzo trudno było mi zachować uprzejmy ton, ale to podziałało. Wyglądał na oszołomionego, nagle stracił pewność siebie, tak jakby nikt, oprócz - co było do przewidzenia - trenera, nigdy nie odważył się go o to zapytać. Sprawiał wrażenie, jakby nagle uświadomił sobie, że tylko on stoi. Wyraz jego twarzy zbliżony był do wyrazu twarzy faceta, który orientuje się, że ma rozpięty rozporek i zastanawia się, jak, w subtelny i nie rzucający się w oczy sposób, doprowadzić się do porządku - tak, aby wyglądało to na siłę wyższą.

- Nieważne. - powiedział. - Odłóż ten pistolet. - Brzmiało to melodramatycznie jak cholera. Fałszywie. Wiedział o tym.

- Bałeś się o swoje jaja? Swoje klejnociki? O to chodziło?

Irmę Bates zatkało. Sylvia, jednakowoż, obserwowała nas z rodzajem drapieżnego zainteresowania.

- Ty... - usiadł gwałtownie na swoim miejscu, a z tyłu sali ktoś zaśmiał się cicho. Zawsze zastanawiałem się, kto konkretnie: Dick Keene? Harmon Jackson?



Ale widziałem ich twarze. I to, co ujrzałem, zadziwiło mnie. Można nawet powiedzieć, że byłem zaszokowany. Bo na tych twarzach malowała się przyjemność. Odbyło się tutaj rozstrzygające starcie, werbalna strzelanina, można by rzec, i ja wygrałem. Ale czemu byli zadowoleni z tego powodu? Jak na tych irytujących zdjęciach, na jakie można czasami natrafić w niedzielnej gazecie - "Czemu ci ludzie się śmieją? Czytaj na str. 41" Tyle tylko, że ja nie miałem strony, do której mógłbym przejść.

A to ważne, żeby wiedzieć, wiecie. Myślałem nad tym i myślałem, łamałem sobie głowę ile tylko można i nie wiem. Może to tylko z powodu Teda, przystojnego i dzielnego, pełnego tej samej przesadnej męskiej dumy, która zapewnia tak dobrą frekwencję na wojnach. Tylko z czystej zazdrości. Z potrzeby ujrzenia wszystkich na jednym poziomie, gulgoczących w tym samym chórze co reszta szcurów, z którymi się ścigają, że sparafrazuję Dylana. *Zdejmij maskę, Ted i zajmij miejsce wśród nas, zwykłych ludzi.*

Ted nadal wpatrzony był we mnie, a ja dobrze wiedziałem, że jest nienaruszony. Tyle tylko, że następnym razem nie musiał być taki bezpośredni. Następnym razem mógłby spróbować zająć mnie z flanki.

*Może to tylko zbiorowy duch. Naskoczyć na jednostkę.*

Ale nie wierzyłem w to wówczas i nie wierzę teraz, chociaż mogłoby to wiele wyjaśnić. Nie, tego subtelnego przeważenia huśtawki na moją stronę nie można było zbyć ot tak, jako zwykłego zbiorowego pomruku emocji. Tłum zawsze pozbywa się obcego, wybryku natury, mutanta. Tym dziwadłem byłem *ja*, nie Ted. Ted stanowił zupełne przeciwieństwo tych cech. On był chłopcem, którego z dumą widziałbyś bawiącego się z twoją córką. Nie, to było coś w *Tedzie*, nie w nich. To musiało tkwić w Tedzie. Zacząłem odczuwać dziwne, łaskoczące macki podniecenia pełzające w moim brzuchu - tak chyba musi czuć się łowca motyli, kiedy wydaje mu się, że właśnie ujrzał nowy gatunek, trzepoczący w pobliskich krzakach.

- Ja wiem, czemu Ted zrezygnował z futbolu. - odezwał się cichutko jakiś głos. Rozejrzałem się wokół. To był Świńskie Koryto. Ted podskoczył lekko na dźwięk *jego* głosu. Zaczynał wyglądać na troszeczkę zaszczutego.

- No to gadaj. - powiedziałem.

- Jeżeli tylko otworzysz usta, to cię zabiję. - oświadczył spokojnie Ted. Zwrócił swój uśmiech w stronę Świńskiego Koryta.

Koryto zamrugał, przerażony i oblizwał wargi. Był rozdarty. To był prawdopodobnie pierwszy wypadek w jego życiu, kiedy dostał siekiere do ręki i nie był pewien, czy ośmieli się jej użyć. Oczywiście, prawie każdy w tej sali mógł powiedzieć w jaki sposób Świńskie Koryto wszedł w posiadanie jakichkolwiek informacji: pani Dano spędzała całe życie chodząc po bazarach, wyprzedazach na cele dobroczynne, oraz kościelnych i szkolnych spotkaniach, a w dodatku pani Dano miała najdłuższy, najbardziej wścibiński nochal w Gates Falls. Ja podejrzewałem ją również o pobicie rekordu w podsłuchiowaniu telefonu towarzyskiego. Potrafiła dotrzeć do cudzych brudów szybciej, niż trwa wypowiedzenie zdania czy-słyszałaś-najnowsze-plotki-o-Samie-Delacorte.

- Ja... - zaczął Świńskie Koryto i odwrócił się od Teda, kiedy ten wykonał bezsilny, kurczowy gest.

- Jazda, mów. - odezwała się niespodziewanie Sylvia Ragan. - Nie pozwól się nastraszyć Cudownemu Chłopaczkowi, kotuś.

Koryto posłał jej drżący uśmiech, a później wymamrotał:

- Pani Jones jest alkoholiczką. Poszła do jednego takiego miejsca, na odwyk. Ted musiał zająć się rodziną.

Chwila ciszy.

- Zabiję cię, Koryto. - powiedział Ted, wstając. Jego twarz była śmiertelnie blada.

- Nie, to by było nieładnie. - odparłem. - Sam tak mówiłeś. Siadaj.

Ted spiorunował mnie wzrokiem i przez moment sądziłem, że złamie się i rzuci na mnie. Gdyby to zrobił, musiałbym go zastrzelić. Możliwe, że poznał to po mojej minie, bo usiadł z powrotem.

- To co? - stwierdziłem. - Szkielet wreszcie wylazł z szafy. Gdzie matka przechodzi odwyk, Ted?

- Zamknij się. - rzucił grubym głosem. Część włosów opadła mu na czoło. Wyglądały na przetluszczone. Pierwszy raz widziałem Teda w takim stanie.

- Och, już wróciła. - oznajmił Świńskie Koryto i posłał Tedowi wyrozumiały uśmiech.

- Powiedziałeś, że zabijesz Świńskie Koryto. - zamyśliłem się.

- Zabiję go. - wymamrotał Ted. Oczy miał zaczerwienione i przygnębione.

- A zatem możesz zrzucić to na rodziców. - powiedziałem, uśmiechając się. - Czy to nie będzie ulga?

Ted mocno ścisnął dłońmi brzeg stolika. Wydarzenia absolutnie nie toczyły się po jego myśli. Harmon Jackson uśmiechał się złośliwie. Pewnie żywił do Teda jakąś zadawnioną urazę.

- To twój ojciec ją do tego doprowadził? - zapytałem grzecznie. - Jak do tego doszło? Ciągłe spóźniał się do domu? Przypalona kolacja i tego rodzaju rzeczy? Zaczęła popijać ukradkiem wino do potraw? Hej-ho.

- Zabiję cię. - jęknął.

Przyciskałem go - wpięprzałem mu do ostatecznych granic - i nikt nie kazał mi przestać. To było niewiarygodne. Wszyscy obserwowali Teda ze skupieniem, jak gdyby od początku oczekiwali, że pod tym pnem kryją się robaki.

- Chyba ciężko jest być żoną ważnego członka zarządu banku. - mówiłem. - Popatrz na to w ten sposób. Pewnie nie zdawała sobie sprawy, że coraz bardziej zaczyna dawać w gaz. Spojrzenie na sprawę z tego punktu widzenia może cię zaskoczyć. Może cię przygnębić. A to nie twoja wina, prawda? Hej-ho.

- *Zamknij się!* - wrzasnął na mnie.

- Popijała przed telewizorem? Widziała paskudztwa wylażące z kątów? Czy raczej trzymała to w sekrecie? Widywała różne paskudztwa? *Czy ona sama* była paskudna?

- *Tak, to było obrzydliwe!* - ryknął na mnie niespodziewanie, parszkając śliną. - Prawie tak obrzydliwe jak ty! Morderca! Morderca!

- Napisałeś do niej? - spytałem miękko.

- Czemu miałbym do niej pisać? - zapytał dziko. - Czemu powinienem do niej pisać? Wypięła się na nas.

- A ty nie mogłeś grać w futbol.

Ted Jones powiedział wyraźnie: - Pijana suka.

Carol Granger zachłysnęła się ze zdziwienia i zakłęcie zostało przełamane. Wzrok Teda przejaśniał nieco, czerwone błyski zniknęły z jego oczu i uświadomił sobie co powiedział.

- Dorwę cię za to, Charlie. - oznajmił cicho.

- Mógłbyś. Mógłbyś mieć taką szansę. - uśmiechnąłem się. - Mieć starą, zapijaczoną sukę jako matkę. To naprawdę jest obrzydliwe, Ted.

Ted usiadł w milczeniu, patrząc na mnie.

Było już po wszystkim. Mogliśmy zwrócić uwagę na inne rzeczy - przynajmniej na razie. Miałem poczucie, że jeszcze powrócimy do sprawy Teda. Albo on zdecyduje się powrócić do mnie.

Zegar zabrzączał.

Nikt nie powiedział ani słowa przez długi czas, albo tylko wydawało się, że trwa to długo. Wiele rzeczy należało teraz przemyśleć.

## Rozdział 18

Sylvia Ragan wreszcie przerwała ciszę. Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła długim, twardym i głośnym śmiechem. Kilkoro ludzi, w tym i ja, podskoczyło. Ted Jones nie. Wciąż przebywał w swoim własnym świecie.

- Wiecie, czego bym chciała, kiedy to wszystko się skończy? - zapytała.

- Czego? - zaniepokoił się Świński Koryto. Wyglądał na zaskoczonego tym, że znów się odezwał. Sandra Cross patrzyła na mnie grobowym spojrzeniem. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, tak jak to robią ładne dziewczęta, kiedy chcą udaremnić chłopakom zagładanie pod ich sukienki.

- Chciałabym przeczytać tę historię w jakimś magazynie kryminalnym. "Wariat terroryzuje Placerville przez sześćdziesiąt minut". Znaleźć kogoś, kto dobrze by to opisał. Joego McKennedy, albo Phila Franksa... a może ciebie, Charlie. Jak by ci się to podobało? - znów ryknęła śmiechem, a Koryto niepewnie dołączył do niej. Myślę, że fascynowała go odwaga Sylvii. A może tylko jej wyzywająca seksualność. Ta dziewczyna z całą pewnością nie krzyżowała nóg w kostkach.

Przybyły dwa kolejne samochody policyjne. Strażacy zaczęli zbierać się do odjazdu; syrena przestała wycić kilka minut temu. Nagle pan Grace wyrwał się z tłumu i zaczął iść w kierunku drzwi frontowych. Lekki wietrzyk poruszał dołem jego sportowej marynarki.

- Towarzystwo się powiększa. - skomentował Corky Herald.

Wstałem, podszedłem do interkomu i przełączyłem go z powrotem na NADAWANIE - ODBIÓR. Następnie wróciłem na miejsce i usiadłem, pocąc się lekko. Pan Don-Boże-Zmiłuj-Się-Nad-Nami-Grace przybywał. A to był ciężki zawodnik.

Parę sekund później rozległo się owo przytłumione *brzdęk!*, które oznaczało, że linia jest otwarta. Pan Grace odezwał się, "Charlie?". Jego głos był bardzo spokojny, bardzo głęboki, bardzo pewny.

- Jak się masz, staruszk? - zapytałem.

- Dobrze, dziękuję, Charlie. A co u ciebie?

- Trzymam rękę na pulsie. - odparłem grzecznie.

Śmieszki ze strony kilku chłopaków.

- Charlie, rozmawialiśmy o zorganizowaniu pomocy dla ciebie, zanim to wszystko się zaczęło. Teraz popełniłeś bardzo antyspołeczny czyn, zgodzisz się ze mną?

- Według czyich kryteriów?

- Kryteriów społecznych, Charlie. Najpierw pan Carlson, teraz to. Czy pozwolisz nam sobie pomóc?

O mało nie zapytałem go, czy moi koledzy z klasy nie są częścią społeczeństwa, bo nikt tutaj nie wydawał się za bardzo przejęty losem pani Underwood. Ale nie mogłem tego zrobić. To byłoby wykroczenie przeciwko temu niewielkiemu zbiorowi zasad, jaki właśnie zacząłem pojmować.

- Jak ja mam to zrobić?! - wrzasnąłem - Ja jużem opowiadał o tem drogiemu panowi Denverowi, jak to żałuję że uderzył tom małym dziewczynke tem parszywem kijem! Ali za bidny na dochtora od głowy! Ali chce iść do nieba, chce, coby jego duszyczka znów była biała jak śnieg! Jak ja mam to zrobić, proszę ksindza?!

Pat Fitzgerald, który był prawie tak czarny jak as pikowy, zaśmiał się i potrząsnął głową.

- Charlie, Charlie. - pan Grace przemówił z wielkim smutkiem. - Teraz tylko ty sam możesz ocalić swoją duszę.

To mi się nie spodobało. Przestałem się wydzierać i położyłem dłoń na pistolecie, żeby dodać sobie odwagi. W ogóle mi się to nie spodobało. Grace znał sposoby na wślizgnięcie się do twojego umysłu. Odbyłem z nim wiele rozmów, po tym jak pobiłem pana Carlsona kluczem hydraulicznym. Naprawdę, znał mnóstwo sposobów.

- Panie Grace?

- Słucham, Charlie.

- Czy Tom powiedział policji to co mówiłem?

- Czy masz na myśli pana Denvera?

- Wszystko jedno. Powiedział...?

- Tak, przekazał twoją wiadomość.

- Czy już wymyślili w jaki sposób zamierzają sobie ze mną poradzić?

- Nie mam pojęcia, Charlie. Bardziej zależy mi na tym, aby dowiedzieć się, czy ty wymyśliłeś w jaki sposób poradzić sobie z samym sobą.

Och, podchodził mnie, w porządku. Zupełnie tak samo jak podchodził mnie po sprawie z panem Carlsonem. Ale wówczas musiałem chodzić na wizyty. Teraz mogłem wyłączyć go kiedy tylko przyjdzie mi ochota. Tyle tylko, że nie mogłem i on o tym wiedział. To było zbyt normalne, ściśle mówiąc. A ja byłem obserwowany przez moich niezrównanych rówieśników. Uważnie mnie oceniali.

- Pocimy się troszkę? - zapytałem interkom.

- A ty?

- Ech, wy. - powiedziałem, odrobina goryczy zakradła się do mojego głosu. - Wszyscy jesteście tacy sami.

- Doprawdy? Jeżeli tak, to oznacza, że wszyscy pragniemy ci pomóc.

Grace był znacznie cięższym orzechem do zgryzienia, niż stary Tom Denver. To było oczywiste. Przywołałem go na myśl. Szykowny mały skurwiel. Łysy na czubku głowy, z wielkimi bokobrodami, które chyba miały wynagrodzić mu brak włosów. Uwielbiał tweedowe marynarki z zamszowymi łatami na łokciach i palił fajkę, zawsze nabitą czymś sprowadzanym z Kopenhagi, co śmierdziało jak krowie łajno. Człowiek z głową pełną dźwigni i ostrych narzędzi. Pierdolił się z cudzymi umysłami, wielki spec od główek. Po to właśnie, przyjaciele i sąsiedzi, istnieją lekarze od czubków; ich zadaniem jest rznąć niezrównoważonych umysłowo i zapładniać ich zdrowym rozsądkiem. To robota dla prawdziwych ogierów, więc idą do szkoły, żeby się tego nauczyć, a wszystkie ich zajęcia są wariacjami na temat: *Wślizgiwanie się do umysłu szaleńca, dla zabawy i korzyści*. Głównie dla korzyści. A jeżeli któregoś dnia odkryjesz, że leżysz na kozetce u psychoanalityka, gdzie przed tobą kładło się tak wielu, proszę żebyś pamiętał o jednej rzeczy: Kiedy rozsądkiem zapładnia cię specjalista, dziecko zawsze będzie podobne do ojca. A wśród nich jest bardzo wysoki współczynnik samobójstw.

Ale przychodzisz do nich samotny, skłonny do płaczu, gotów rzucić wszystko, jeżeli tylko obiecują poświęcić ci chwilę uwagi. Co mamy? Co tak naprawdę mamy? Umysły podobne do przerażonych grubasów, patrzących błagalnym wzrokiem na przystanek autobusowy, albo restaurację i lękających się napotkać nasze oczy, zwrócone w dół i pozbawione zainteresowania. Leżymy bezsennie i wyobrażamy sobie siebie samych w różnych dziwacznych rolach. Nie istnieje dziewiectwo zdolne oprzeć się przebiegłemu szarlatanowi nowoczesnej psychologii. Ale może to było w porządku. Może teraz oni pograją w moją grę, wszyscy ci krętacze i sprzedajne dziwki.

- Pozwól nam sobie pomóc, Charlie. - mówił pan Grace.  
- Ale przez to, że pozwolę sobie pomóc, będę pomagał panu. - powiedziałem tak, jakby nagle mnie olśniło. - A ja nie chcę tego robić.  
- Dlaczego, Charlie?  
- Panie Grace?  
- Tak, Charlie?  
- Następnym razem, kiedy zada mi pan pytanie, zabiję kogoś tutaj. - usłyszałem, jak pan Grace wciąga powietrze, jak gdyby ktoś właśnie powiadomił go, że jego syn miał wypadek samochodowy. To był dźwięk pełen nie-wiary w siebie. Poczułem się bardzo dobrze.  
Wszyscy zgromadzeni wpatrywali się we mnie w skupieniu. Ted Jones powoli podniósł głowę, jak obudzony ze snu. W jego spojrzeniu mogłem dostrzec znajomą, ciemną chmurę nienawiści. Oczy Anny Lasky były okrągłe i przestraszone. Palce Sylvii Ragan wykonywały powolny, senny balet, kiedy przetrząsała torebkę w poszukiwaniu następnego papierosa. A Sandra Cross patrzyła na mnie poważnie, poważnie, jakbym był lekarzem, albo księdzem.

Pan Grace zaczął mówić.  
- Ostrożnie! - powiedziałem gwałtownie. - Proszę bardzo uważać na to, co pan ma zamiar powiedzieć. Nie gra pan już dłużej w swoją grę. Proszę to zrozumieć. Gra pan w moją. Tylko zdania oznajmujące. Proszę bardzo uważać. Czy potrafi pan bardzo uważać?  
Nie skomentował mojej przenośni o grze. W tym momencie zacząłem wierzyć, że go mam.  
- Charlie... - czy to była niemal prośba?  
- Bardzo dobrze. Czy myśli pan, że po tym wszystkim będzie pan w stanie zachować swoje stanowisko?  
- Charlie, na litość boską...  
- O, teraz jeszcze lepiej.  
- Wypuść ich Charlie. Ratuj się. Proszę.  
- Za szybko pan mówi. Wkrótce padnie pytanie, a to będzie oznaczało czyjś koniec.  
- Charlie...  
- W jaki sposób uregulował pan swój stosunek do służby wojskowej?  
- O cz... - nagły świst oddechu, kiedy urwał w połowie.  
- O mały włos byłbyś kogoś zabił. - powiedziałem. - Ostrożnie, Don. Mogę mówić ci Don, prawda? No jasne. Waż swe słowa, Don.

Sięgałem po niego.  
Zamierzałem go złamać.  
W owej sekundzie wydawało się, jakbym mógł złamać ich wszystkich.  
- Sądzę, że lepiej będzie jak przerwę tę rozmowę, Charlie.  
- Jeżeli wyłączysz się zanim ci pozwolę, zastrzelę kogoś. Będziesz tam siedział i odpowiadał na moje pytania.  
Pierwsze oznaki desperacji, tak świetnie ukrytej, jak plamy potu na koszuli na pierwszym szkolnym balu.  
- Doprawdy, nie wolno mi, Charlie. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za...  
- *Odpowiedzialności?* - krzyknąłem. - Mój Boże, bierzesz na siebie odpowiedzialność od dnia kiedy pozwolili ci opuścić studia! Teraz chcesz się wykręcić, bo po raz pierwszy to twoją dupę mamy obrabiać! Ale to ja siedzę na miejscu woźnicy, a, na Boga, ty ciągniesz wózek! Albo zrobię to, co zapowiedziałem. Kumasz to? *Czy mnie rozumiesz?*  
- Nie będę bawił się w lichą gierkę towarzyską, w której fantami są ludzkie życia, Charlie.  
- Moje gratulacje. - odparłem. - Właśnie opisałeś nowoczesną psychiatrię. Ta definicja powinna znaleźć się w podręczniku, Don. A teraz, pozwól, że coś ci powiem: wyjmiesz fujarek

i będziesz szczał przez okno, jeżeli ci każę. I niech Bóg ma cię w opiece, jeżeli przyłapię cię na kłamstwie. To również spowoduje, że ktoś zginie. Gotów jesteś obnażyć swoją duszę, Don? Stoisz już na starcie?

Z trudem łapał oddech. Pragnął zapytać, czy naprawdę mam zamiar to zrobić, ale obawiał się, że odpowiedź może paść z mojego pistoletu, a nie z moich ust. Pragnął sięgnąć szybko i wyłączyć interkom, ale wiedział, że usłyszałby echo wystrzału w opustoszałym budynku, przetaczające się po korytarzu jak kula do kręgli po długim torze rodem wprost z piekła.

- W porządku. - powiedziałem. Rozpiąłem mankiety koszuli. Gliniarze, Tom Denver i pan Johnson stali niezmordowanie na trawniku, czekając na powrót swego ogiera w tweedach. Wejrzyj w moje marzenia senne, Sigmund. Spryskaj je spermą symboli i spraw, by zaczęły rosnać. Pokaż mi, czym różnimy się od, powiedzmy, wściekłych psów lub starych tygrysów, pełnych złej krwi. Pokaż mi człowieka skrywającego się pomiędzy moimi mokrymi snami. Mieli wszelkie powody, żeby być pewnymi siebie (tylko tylko, że nie wyglądali na pewnych siebie). W symbolicznym sensie, pan Grace był Pionierem Zachodniego Świata. Ogier z kompasem.

Dzielny zwiadowca oddychał nierówno z małego, kratkowanego pudełka nad moją głową. Zastanawiałem się, czy analizował ostatnio jakieś fajne sny. Zastanawiałem się, jakie będą jego własne sny, kiedy noc wreszcie nadejdzie.

- W porządku, Don. Zabieramy się do dzieła.

## Rozdział 19

- W jaki sposób uregulowałeś swój stosunek do służby wojskowej?
- Byłem w armii, Charlie. Nic w ten sposób nie osiągniesz.
- Jaką funkcję pełniłeś?
- Byłem lekarzem.
- Psychiatrą?
- Nie.
- Od jak dawna jesteś praktykującym psychiatrą?
- Od pięciu lat.
- Czy kiedykolwiek wylizales swoją żonę?
- C... - przerażona, gniewna pauza. - Ja... ja nie rozumiem znaczenia tego zwrotu.
- Ujmę to inaczej, wobec tego. Czy kiedykolwiek uprawiałeś oralno-genitalne praktyki seksualne ze swoją żoną?
- Nie odpowiem na to. Nie masz prawa.
- Mam wszystkie prawa. Ty nie masz żadnych. Odpowiadaj, albo kogoś zastrzelę. I pamiętaj, jeżeli skłamiesz, a ja przyłapię cię na kłamstwie, również kogoś zastrzelę. Uprawiałeś kiedyś?...
- Nie!
- Jak długo praktykujesz psychiatrię?
- Pięć lat.
- Czemu?
- Cz... No cóż, ponieważ realizuję się w ten sposób. Jako człowiek.
- Czy twoja żona miała kiedyś romans z innym mężczyzną?
- Nie.
- Z inną kobietą? Skąd wiesz?
- Kocha mnie.
- Czy żona obciąża ci czasami, Don?

- Nie wiem co masz...
  - Cholernie dobrze wiesz, co mam na myśli!
  - Nie, Charlie, ja...
  - Oszukiwałeś kiedyś na egzaminie w college'u?
- Przerwa.
- W żadnym wypadku.
  - Na sprawdzianie?
  - Nie.
- Rzuciłem się na niego. - To jak możesz mówić, że twoja żona nigdy nie uprawiała z tobą seksu oralno-genitalnego?
- Ja... ja nigdy... Charlie...
  - Gdzie przechodziłeś szkolenie wojskowe?
  - W... w Fort Benning.
  - W którym roku?
  - Nie pamięć...
  - *Podaj rok, albo kogoś rozwalę!*
  - Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty.
  - Byłeś w piechocie? Byłeś piechurem?
  - Byłem... byłem oficerem. Porucz...
  - *Nie pytałem cię o to!* - wrzasnąłem.
  - Charlie... Charlie, na miłość boską, uspokój się...
  - W którym roku cię zmobilizowano?
  - W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym.
  - Jesteś winien swojemu krajowi sześć lat! Kłamiesz! Zaraz kogoś...
  - Nie! - krzyknął. - Gwardia Narodowa! Służyłem w Gwardii!
  - Jak brzmiało nazwisko panięskie twojej matki?
  - G-G-Gavin.
  - Dlaczego?
  - Dla... nie wiem o co ci...
  - Dlaczego jej panięskie nazwisko brzmiało Gavin?
  - Ponieważ tak miał na nazwisko jej ojciec. Charlie...
  - W którym roku przechodziłeś szkolenie wojskowe?
  - W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym... szóstym!
  - Kłamiesz. Przyłapałem cię, co nie, Don?
  - Nie! Ja... ja...
  - Zacząłeś mówić pięćdziesiąty *siódmy*.
  - Pogubiłem się.
  - Zaraz kogoś zastrzelę. Prosto w bebechy, tak sobie myślę. Tak.
  - *Charlie, na rany Chrystusa!*
  - Na drugi raz się pilnuj. A więc byłeś piechurem, tak? W wojsku?
  - Tak... nie, byłem oficerem...
  - Jak brzmiało drugie imię twojego ojca?
  - J-John. Chal... Charlie, panuj nad sobą. N-n-n-nie...
  - Wylizales kiedyś żonę, mój dobry człowieku?
  - Nie!
  - Kłamiesz. Powiedziałeś, że nie wiesz, co to znaczy.
  - Wyjaśniłeś mi to! - wciągał powietrze szybkimi haustami. - Pozwól mi odejść, Charlie, poz...

- Jakiego jesteś wyznania?
- Metodysta.
- Śpiewasz w chórze?
- Nie.
- Chodziłeś do szkoły niedzielnej?
- Tak.
- Jakie są trzy pierwsze słowa w Biblii?
- Chwila ciszy: - Na początku stworzył...
- Pierwsza linijka Psalmu Dwudziestego Trzeciego?
- Eeee... "Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie braknie".
- A swoją żonę wylizales po raz pierwszy w 1956?
- Tak-nie... Charlie, daj mi spokój...
- Szkolenie wojskowe, który rok?
- Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty!
- Przedtem powiedziałeś, że pięćdziesiąty siódmy! - rozdarłem się. - I znów to samo! Teraz odstrzelę komuś łeb!
- *Powiedziałem pięćdziesiąty szósty, ty draniu!* - wrzasnął histerycznie, bez tchu.
- Co przydarzyło się Jonaszowi, Don?
- Został połknięty przez wieloryba.
- Biblia mówi o wielkiej rybie, Don. To miałeś na myśli?
- Tak, wielka ryba. Jasne, że tak. - powiedział z żalosną gorliwością.
- Kto zbudował arkę?
- Noe.
- Gdzie przechodziłeś szkolenie?
- W Fort Benning.
- Bardziej pewnie: wkraczał na znany grunt. Pozwoliłem mu się łudzić. - Wylizales kiedyś żonę?
- Nie.
- Co?
- Nie!
- Jaka jest ostatnia księga w Biblii?
- Objawienia.
- Prawdę mówiąc to Objawienie. Liczba pojedyncza. Prawda?
- Prawda, oczywiście, prawda.
- Kto jest jej autorem?
- Św. Jan.
- Czy kiedykolwiek doświadczyłeś objawienia od swojego ojca, Don?
- Don Grace wydał z siebie dziwny, wysoki, gdaczący śmiech. Kilkoro dzieciaków słysząc go zamrugalo niepewnie.
- Ech... nie... Charlie... Nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek doświadczył.
- Jakie było nazwisko panięskie twojej matki?
- Gavin.
- Czy Chrystus jest zaliczany do męczenników?
- Ta-aak... - zbyt było metodystą, aby być tego całkowicie pewnym.
- Jak został umęczony?
- Na krzyżu. Został ukrzyżowany.
- O co Jezus zapytał Boga na krzyżu?
- "Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?"



- Don?
- Tak, Charlie.
- Co właśnie powiedziałeś?
- Powiedziałem "Boże mój, Boże, czemuś..." O nie, Charlie! To nie w porządku!
- Zadałeś pytanie.
- *Podszedłeś mnie!*
- Właśnie kogoś zabiłeś, Don. Przykro mi.
- Nie!

Wypaliłem z pistoletu w podłogę. Wszyscy w klasie, którzy słuchali rozmowy z napiętą, hipnotyczną uwagą, podskoczyli. Parę osób krzyknęło. Świńskie Koryto znów zemdlął i spadł na podłogę, z przyjemnym odgłosem upadającego ciała. Nie wiem, czy interkom to wychwycił, ale to doprawdy nie miało znaczenia.

Pan Grace płakał. Szlochał jak dziecko.

- Satysfakcjonujące. - powiedziałem, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Bardzo satysfakcjonujące.

Wydarzenia ładnie się rozwijały.

Pozwoliłem mu szlochać przez dość długą chwilę; gliniarze na odgłos strzału wystartowali w kierunku szkoły, ale Tom Denver, wciąż licząc na swego psychiatrę, powstrzymał ich. Przynajmniej *to* było w porządku. Pan Grace brzmiał jak malutkie dziecko, bezradne i zrozpaczone. Sprawilem, że wypieprzył sam siebie, swoim własnym wielkim instrumentem, jak w jednym z tych dziwacznych doświadczeń, o jakich można przeczytać w *Penthouse*. Pozbawiłem go maski lekarza i uczyniłem z niego człowieka. Ale nie miałem zamiaru wykorzystywać tego przeciw niemu. Błądzić jest rzeczą ludzką, wybaczać - boską. Szczerze w to wierzyłem.

- Panie Grace? - powiedziałem w końcu.

- Teraz wychodzę na zewnątrz. - oznajmił. I nagle, z płaczącą determinacją: - A ty nie możesz mnie powstrzymać!

- Wszystko w porządku. - zwróciłem się do niego czule. - Zabawa skończona, panie Grace. Tym razem nie graliśmy o fanty. Nikt tutaj nie zginął. Strzeliłem w podłogę.

Cisza, wypełniona ciężkim oddechem. Później zmęczony głos:

- Jak mogę ci wierzyć, Charlie?

*Bo inaczej słyszałbyś tu niezły popłoch.*

Zamiast tego powiedziałem cierpko: "Ted?"

- Mówi Ted Jones, panie Grace. - odezwał się mechanicznym głosem Ted.

- T-tak, Ted.

- Strzelił w podłogę. - Ted nadal przemawiał jak robot. - Wszyscy są cali. - Znów wyszczerzył się tym swoim grymasem i zaczął coś mówić. Skierowałem w jego stronę pistolet i zamknął usta z trzaskiem.

- Dziękuję, Ted. Dziękuję ci, chłopcze. - pan Grace znów zaczął łkać. Po czasie, który wydawał się bardzo, bardzo długi, wyłączył interkom. Kolejna chwila oczekiwania, i ukazał się na trawniku, zmierzając w stronę enklawy policjantów. Szedł w swojej tweedowej marynarce z łatami na łokciach, z błyszczącą łysiną i policzkami błyszczącymi od łez. Kroczył powoli, jak starzec. Zdumiewające, jak bardzo cieszył mnie ten widok.

## Rozdział 20

- O w mordę. - westchnął z tyłu sali Richard Keene, a jego głos był zmęczony, niemal wyczerpany.

W tym momencie rozległ się cienki, nieziemsko szczęśliwy głosik:

- Myślę, że to było wspaniale!

Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć kto to. Dziewczyna o wyglądzie porcelanowej laleczki, niejaka Grace Stanner. Była nawet ładna, tą urodą, która przyciąga chłopaków z kursów handlowych, z przylizanymi do tyłu włosami i w białych skarpetkach. Kręcili się wokół niej na przerwach, jak trutnie. Nosiła obcisłe sweterki i krótkie spódniczki. Kiedy szła, cały świat się kołysał - jak to w swej mądrości stwierdził Chuck Berry, wspaniale jest widzieć, jak ktoś potrafi zaskarbić sobie serca publiczności. Jej mama nie cieszyła się wielkim szacunkiem, z tego co rozumiałem; była zaprawioną w bojach ćmą barową i większość czasu spędzała snując się po barze Denny'ego na South Main, jakieś pół mili od tego, co w Placerville nazywano zadupiem. Baru u Denny'ego raczej nikt nie pomyliłby z Caesar's Palace, nie ma mowy. A jak to w małych miasteczkach, zawsze znajdują się ciasne umysły, które ze skwapliwością stwierdzą, że jaka matka, taka córka. Grace ubrana była w różowy, rozpinany sweterek i króciutką ciemnozieloną spódniczkę. Twarz miała rozświetloną, niemal elfią. Zaciśniętą pięść bezwiednie podniosła na wysokość ramienia. W tym geście, w tej chwili, było coś czystego i wzruszającego. Poczułem jak moje gardło się zaciska.

- Dalej, Charlie! Wpieprz im wszystkim!

Wiele głów poderwało się w górę, wiele szczęk opadło, ale ja nie byłem zbyt zaskoczony. Opowiadałem wam o ruletce, prawda? Pewnie, że tak. W pewien sposób - na wiele różnych sposobów - koło ruletki nadal się kręciło. Szaleństwo jest tylko kwestią skali, a poza mną jest jeszcze wiele osób, które czują potrzebę oglądania jak czyjaś głowa spada. Ci ludzie chodzą na wyścigi samochodowe, oglądają horrory w kinach i jeżdżą do Portland, na walki zapaśników. Być może to, co powiedziała Grace, miało posmak wszystkich tych rzeczy, ale podziwiałem ją za to, że miała odwagę wyrazić to głośno, pomimo wszystko - cena szczerości zawsze jest wysoka. Ta dziewczyna miała godne podziwu pojęcie o zasadniczych sprawach. A poza tym, była drobna i ładna.

Irma Bates obróciła się w jej stronę, z twarzą ściągniętą oburzeniem. Nagle uderzyło mnie, że to, co się tutaj stało, dla Irmy musi być nieomal końcem świata.

- Jak możesz tak mówić!

- Ty też się pieprz! - odparowała Grace, z uśmiechem. A po namyśle dodała: - Kaszalot!

Irma szeroko otworzyła usta. Nie mogła wykrztusić zdania; widziałem, jak jej gardło pracuje, kiedy szukała czegoś, co mogłaby powiedzieć, odrzuciła to, wypróbowała kolejną wersję, poszukując słów, które swą mocą poorałyby twarz Grace zmarszczkami, sprawiły, że piersi obwisną jej dziesięć centymetrów przed kolana, poznałyby żyłakami gładkie uda i okryły siwizną włosy. Owe słowa z pewnością gdzieś się kryły, trzeba było je tylko odnaleźć. Tak więc starała się usilnie, a ze swoim cofniętym podbródkiem i wypukłym czołem (i jedno, i drugie, zresztą, hojnie obsypane było wągrami), wyglądała jak żaba.

Wreszcie wyrzuciła z siebie:

- Powinni cię zastrzelić, tak samo jak i jego zastrzelał, ty dziwko! - Myślała nad czymś bardziej druzgoczącym; tego było za mało. To nie mogło wyrazić grozy i oburzenia, jakie odczuwała dla całej tej przemocy, która darła na strzępy jej uporządkowany wszechświat:

- Zabić wszystkie dziwki. Dzwiki i córki dziwek!

W sali była cisza, ale teraz zapanowało absolutne milczenie. Ocean milczenia. Umysłowy reflektor skierowany został na Irmę i Grace. Równie dobrze mogły stać samotnie na ogromnej scenie, skąpane w blasku. Aż do tego momentu Grace uśmiechała się leciutko. Teraz ten uśmiech zniknął.

- Co? - zapytała powoli. - Co? Co?

- Lafirynda! Wywłoka!

Grace stała, jak gdyby miała zamiar recytować poezję: - Moja-mama-pracuje-w-pralni-ty-tłusta-suko-i-lepiej-natychmiast-odwołaj-to-co-powiedziałaś!

Irma przewróciła oczami w desperackim triumfie. Jej szyja była lśniąca i śliska od potu: nerwowego potu nastolatki wyklętej ze swego środowiska, jednej z tych, które spędzają w domu piątkowe wieczory, patrząc na stare filmy w telewizji i jednocześnie na zegar. Jednej z tych, dla których telefon zawsze milczy, a głos matki jest głosem Thora; jednej z tych, które nieustannie zamartwiają się śladem wąsika nad górną wargą; z tych, które idą do kina z przyjaciółkami, na nowy film z Robertem Redfordem, a następnego dnia wracają, aby oglądać go same, ze zwilgotniałymi dłońmi zaciśniętymi na kolanach. Należała do dziewcząt, które nieomal umierają, pisząc przy świetle biurkowej lampki długie listy do Johna Travolty, a później wrzucają je do szuflady; dla których czas stał się powolnym, sennym ześlizgiem w stronę śmierci, przynoszącym jedynie puste pokoje i zapach starego potu. Zapewniam, jej szyja aż się lepiała. Nie nabierałbym was, serio.

Otworzyła usta i ryknęła: "KURWIA CÓRKA!"

- Dobra. - powiedziała Grace. Zaczęła iść w stronę Irmy pomiędzy ławkami, trzymając ręce przed sobą, jak hipnotyzer na pokazie. Miała bardzo długie paznokcie, polakierowane na perłowo. - Zaraz wydrapię ci oczy, ty cipo.

- Kurwia córka, kurwia córka! - Irma niemal wyśpiewywała te słowa.

Grace uśmiechnęła się. Jej oczy nadal były rozświetlone i elfie. Nie śpieszyła się, idąc przejściem, ale też nie ociągała się. Nie. Po prostu szła. Wyglądała ślicznie, jak nigdy przedtem, ślicznie i krucho. Jakby stała się tajemniczym klejnotem.

- W porządku, Irmo. - powiedziała. - Idę. Idę po twoje oczy.

Irma, nagle uświadomiwszy sobie co się dzieje, skurczyła się na swoim krześle.

- Stop. - zwróciłem się do Grace. Nie uniosłem broni, ale położyłem na niej dłoń.

Grace zatrzymała się, patrząc na mnie badawczo. Irma wyglądała jednocześnie na pełną ulgi i zrehabilitowaną, jakby moja interwencja była aktem sprawiedliwości bożej, która potwierdziła jej zarzuty.

- Kurwia córka. - zwierzyła się wszystkim w klasie. - Paniusia Stanner każdej nocy prowadzi dom otwarty, jak tylko przywlecze się po wypiciu ostatniego kufelka. Z *niq*, jako praktykującą uczennicą. - Uśmiechnęła się ckliwie do Grace, uśmiechem, który przypuszczalnie miał wyrażać powierzchowne, złośliwe współczucie, a zamiast tego obnażył tylko jej własną żalostną, przerażającą pustkę. Grace wciąż spoglądała na mnie wyczekująco.

- Irma? - zapytałem uprzejmie. - Irma, mogę prosić cię o uwagę?

A kiedy zwróciła na mnie wzrok, ujrzałem w pełni, co się stało. Oczy Irmy były mętne i jednocześnie błyszczące, jej twarz woskowo biała, za wyjątkiem wypieków na policzkach - wyglądała jak coś, co można wymalować dziecku na buzi w Halloween. To, co się działo, obrażało małego, piszczącego nietoperza, który uchodził za jej duszę. Dziewczyna kompletnie się rozsypała. Gotowa była iść wprost do nieba lub lotem nurkowym wpaść prosto w piekielną otchłań.

- Dobrze. - odezwałem się, kiedy obydwie patrzyły na mnie. - Otóż tak. Musimy utrzymać tutaj porządek. Jestem pewien, że to rozumiecie. Kiedy nie ma porządku, co mamy? Dżunglę.

A najlepszym sposobem na utrzymanie porządku jest rozwiązywanie naszych problemów w cywilizowany sposób.

- Słuchajcie, słuchajcie! - skomentował Harmon Jackson.

Wstałem, podszedłem do tablicy i wziąłem kawałek kredy z półeczki. Narysowałem duży okrąg, o mniej więcej półtorametrowej średnicy, na wyłożonej kafelkami podłodze. Przez cały czas bacznie obserwowałem Teda Jonesa. Później wróciłem do biurka i usiadłem.

Wskazałem na krąg. - Dziewczyny, proszę bardzo.

Grace podeszła szybko, szlachetna i doskonała. Jej cera była gładka i świeża.

Irma stała jak kamień.

- Irma. - powiedziałem - No, Irma. Rzuciłaś pewne oskarżenia, wiesz o tym.

Irma wyglądała na lekko zaskoczoną, tak jakby idea oskarżeń skierowała jej myśli na zupełnie nowe tory. Skinęła głową i podniosła się z miejsca, skromnie zasłaniając dłonią usta, jak gdyby chciała zdusić cichy, kokietyjny chichocik. W afektowany sposób przeszła pomiędzy ławkami i stanęła w kręgu, tak daleko od Grace, jak to tylko było możliwe, z oczami skromnie spuszczoneymi i dłońmi złączonymi na wysokości talii. Mogłaby odśpiewać "Granadę" w *The Gong Show*.

"Jej ojciec, zdaje się, sprzedaje samochody", przemknęła mi przez głowę przypadkowa myśl.

- Bardzo dobrze. - stwierdziłem. - A teraz, jak dawano do zrozumienia w kościele, szkole, a nawet w programach dla dzieci, jeden mały kroczek poza wyznaczony okrąg oznacza śmierć. Zrozumiano?

Rozumieli to. Wszyscy to rozumieli. To nie to samo co zrozumienie, ale wystarczyło. Kiedy przestajesz myśleć, cała idea zrozumienia zaczyna nabierać z lekka archaicznego posmaku, jak brzmienie zapomnianych języków, albo spoglądanie w wiktoriańską *camera obscura*. My, Amerykanie, jesteśmy znacznie bliżej prostego rozumienia. To ułatwia czytanie billboardów, kiedy zmierzasz autostradą do miasta, z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Aby zrozumieć, trzeba rozewrzeć umysłowe szczęki tak szeroko, aż zaskrzypią ścięgna. Rozumienie, jednakże, można nabyć na każdym stoisku z tanimi książkami, jak Ameryka długa i szeroka.

- A zatem. - powiedziałem. - Chciałbym tutaj jak najmniej przemocy fizycznej. I tak mamy jej już wystarczająco wiele, żeby mieć się nad czym zastanawiać. Myślę, że wasze usta i wasze otwarte dłonie będą wystarczającą bronią, dziewczęta. Ja będę sędzią. Zgadzaście się? Przytaknęły.

Sięgnąłem do tylnej kieszeni i wyciągnąłem swoją czerwoną bandanę. Kupiłem tę chustkę u Bena Franklina, sklepie z tanioczą w śródmieściu i kilka razy zdarzyło się, że zawiązałem ją na szyi, idąc do szkoły. Wyglądało to bardzo po amerykańsku, ale szybko poczułem się znużony efektem i chustka skończyła jako smarkaczka. Mieszczuch do szpiku kości, oto cały ja.

- Kiedy ją upuszczę, zaczynacie. Pierwszy cios należy do ciebie, Grace, jako że wydajesz się być oskarżoną.

Grace radośnie kiwnęła głową. Róże kwitły na jej policzkach. Tak moja mama mawiała zawsze o kimś, kto miał mocne rumieńce.

Irma Bates tylko spoglądała spokojnie na moją bandanę.

- Przestańcie! - wyrwał się Ted Jones. - Mówiłeś, że nie masz zamiaru nikogo skrzywdzić, Charlie! Przestań! - jego oczy patrzyły desperacko. - Po prostu to przerwij!

Z powodu, którego nie mogłem zgłębić, Don Lordi zaśmiał się szaleńczo.

- Ona to zaczęła, Tedzie Jones. - powiedziała zapalczywie Sylvia Ragan. - Gdyby jakaś wielka, paskudna zdzira nazwała moją matkę dziwką...

- Dziwka, parszywa dziwka. - zgodziła się skromnie Irma.  
-... wydrapałabym jej pieprzone gały!  
- Jesteś wariatką! - Ted wrzasnął na nią, twarz miał koloru starej cegły. - Moglibyśmy go powstrzymać! Gdybyśmy zebrali się wszyscy razem, moglibyśmy...

- Przymknij się, Ted. - poradził mu Dick Keene. - Okej?  
Ted rozejrzał się wokół, zobaczył, że znikąd nie może oczekiwać poparcia, ani sympatii, i zamknął się. Jego oczy były ciemne i pełne szalonej nienawiści. Byłem zadowolony, że spory kawałek dzielił jego ławkę od biurka pani Underwood. Zdążyłbym strzelić mu w stopę, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Jesteście gotowe, dziewczyny?  
Grace Stanner wyszczerzyła zęby w zdrowym, pełnym oczekiwania uśmiechu: - Wszystko gotowe.

Irma przytaknęła. Była dużą dziewczyną; stała na rozstawionych nogach, z lekko opuszczoną głową. Włosy, koloru brudnoblond, zakręcone miała w okrągłe loki, które wyglądały jak rolki papieru toaletowego.

Upuściłem chustkę. Zaczęło się.  
Grace stała, namyślając się. Mogłem prawie zobaczyć, jak uświadamia sobie, do jakiego stopnia sprawa może być poważna, zastanawiając się może, jak daleko ośmieli się posunąć. W tym momencie ją kochałem. Nie... kochałem je obie.

- Jesteś tłustą suką o niewyparzonej gębie. - powiedziała Grace, patrząc Irmie prosto w oczy. - Śmierdzisz. Naprawdę tak uważam. Twoje ciało *śmierdzi*. Jesteś gnidą.  
- Dobrze. - stwierdziłem, kiedy skończyła. - Uderz ją.

Grace zamierzyła się i trzasnęła Irmę w policzek. Rozległo się płaskie klaśnięcie, podobne do odgłosu gwałtownie zamykanej książki. Kiedy Grace machnęła ręką, jej sweterek podciągnął się w górę i wysunął zza paska spódnicy.

Corry Herald wypuścił powietrze z głośnym "Unhh!"  
Z ust Irmy wyrwało się zduszone chrząknięcie. Jej głowa odskoczyła do tyłu, twarz się skrzywiła. Już nie wyglądała na skromniśnię. Na jej lewym policzku wykwitła wielka czerwona plama.

Grace potrząsnęła głową, westchnęła głęboko i stała w gotowości. Włosy rozsypały jej się na ramiona, piękne i doskonałe. Czekwała.

- Irma jako świadek oskarżenia. - oznajmiłem. - Zaczynaj, Irma.  
Irma ciężko chwytała oddech. Jej oczy były błyszczące i urażone, usta skrzywiła w oburzeniu. W tej chwili wyglądała jak porzucone, słodkie dziecko poranka.

- Kurwa. - powiedziała w końcu, najwyraźniej decydując się pozostać przy wygrywającej karcie. Uniosła wargę, opuściła i uniosła ponownie, jak pies. - Wstrętna, puszczańska kurwa. Skinąłem przyzwalająco głową.

Irma wyszczerzyła zęby. Była bardzo wielka. Jej ramię, nadlatujące w stronę Grace, było jak ściana. Uderzyło prosto w twarz. Dźwięk, który się rozległ, zabrzmiał jak wystrzał.

- Au! - jęknął ktoś.  
Grace nie upadła. Cały bok jej twarzy zrobił się czerwony, ale nie upadła. Zamiast tego, posłała Irmie uśmiech. A Irma wzдрыgnęła się. Widziałem to, ale ledwie mogłem uwierzyć: wyglądało jednak na to, że Drakula był kolosem na glinianych nogach.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na widownię. Trwali w zawieszeniu, zahipnotyzowani. Nie myśleli o panu Grace, ani o Tomie Denverze, ani o Charlesie Everette Deckerze. Przyglądali się, a to co widzieli, było być może kawałeczkami ich własnych dusz, zerkającymi na nich z pękniętego lustra. To było miłe. Było jak świeża trawa na wiosnę.

- Replika, Grace? - zapytałem.

Wargi Grace cofnęły się, ukazując jej drobne, śnieżnobiałe zęby. - Nigdy nie byłeś na randce, oto co jest z tobą nie tak. Jesteś szpetna. Brzydko pachniesz. Wtykasz wyłącznie nos w cudze sprawy i przerabiasz je na świństwa w swoim umyśle. Jesteś pluskwą.

Kiwnąłem głową w jej stronę.

Grace wzięła zamach, a Irma uchyliła się. Uderzenie tylko trafiło ją z boku, ale i tak zaczęła płakać, z nagłą, tępą beznadziejnością. - Wypuść mnie. - zajęczała. - Ja już nie chcę więcej, Charlie. Wypuść mnie!

- Odwołaj to, co powiedziałaś o mojej matce. - powiedziała z zawziętością Grace.

- Twoja matka ssie fiuty! - krzyknęła Irma. Twarz miała wykrzywioną; jej podobne do rolek papieru toaletowego loki podskakiwały szaleńczo.

- Dobra. - stwierdziłem. - Dawaj, Irma.

Ale Irma szlochala histerycznie. - J-J-Je-*Jezuuu...* - zawołała. Jej ramiona uniosły się i zasłoniły twarz z przerażającą powolnością. - Boże, chciałabym *n-nn-nie żyć...*

- Powiedz, że jest ci przykro. - powiedziała ponuro Grace. - Odwołaj wszystko.

- Ty ssiesz fiuty! - krzyknęła Irma zza barykady ramion.

- Okej. - oznajmiłem. - Przyłóż jej, Irma. Ostatnia szansa.

Tym razem Irma wymierzyła policzek na odlew. Zobaczyłem, jak oczy Grace zwężają się w szparki, jak mięśnie szyi naprężają się niczym postronki. Ale większa część siły ciosu spadła na szczękę, więc jej głowa poruszyła się tylko odrobinę. Niemniej jednak, cały bok twarzy miała jasnoczerwony, jak po oparzeniu słonecznym.

Ciało Irmy trzęsło się i kołysało, wstrząsane łkaniem tak silnym, że wydawało się jakby wewnątrz niej biło niewyczerpane źródło.

- Nie masz nic. - stwierdziła Grace. - Jesteś *niczym*. Zwykła gruba, śmierdząca świnia, tym właśnie jesteś.

- Hej, nagadaj jej! - zawołał Billy Sawyer. Obiema pięściami ciężko uderzył w swoje biurko. - Dołóż jej!

- Nie masz nawet żadnych *przyjaciół*. - powiedziała Grace, dysząc ciężko. - Po co ty w ogóle żyjesz?

Irma wydała z siebie cienkie piskliwe zawodzenie.

- Już po wszystkim. - zwróciła się do mnie Grace.

- Dobra. - powiedziałem. - Uderz ją.

Grace cofnęła ramię, a Irma wrzasnęła i opadła na kolana.

- Nie b-b-bij mnie. Nie bij mnie więcej! *Nie bij mnie...*

- Powiedz, że ci przykro.

- Nie mogę. - załkała. - Nie wiesz o tym, że *nie mogę?*

- Możesz. Lepiej, żebyś mogła.

Przez chwilę nie było słyhać żadnego dźwięku poza niewyraźnym brzęczeniem ściennego zegara. Później Irma podniosła wzrok, a dłoń Grace opadła szybko, zdumiewająco szybko, wymierzając małe, wytworne klepienie w policzek Irmy. Zabrzmiało to jak wystrzał z dwudziestkidwójki.

Irma ociężale podparła się jedną ręką, loki zwiślały jej na twarz. Wciągnęła powietrze w długim, poszarpanym wdechu i krzyknęła: - Dobrze! W porządku! Przepraszam!

Grace cofnęła się, oddychała gwałtownie i płytko przez wpólotwarte, wilgotne usta. Uniosła dłonie z rozczapierzonymi palcami w osobiwie gołęmbim geście i odrzuciła włosy z twarzy. Irma gapiała się na nią głupawo, niedowierzająco. Z wysiłkiem podniosła się znów na kolana i przez moment myślałem, że ma zamiar zacząć wznosić modły do Grace. A potem zaczęła płakać.

Grace popatrzyła na klasę, później na mnie. Jej pełne piersi rozpychały miękki materiał sweterka.

- Moja matka pieprzy się z kim popadnie - oznajmiła - a ja ją kocham.

Pierwszy zaczął klaskać ktoś z tyłu sali, Mike Gavin, albo może Nancy Caskin. Ale kiedy już oklaski się zaczęły, rozprzestrzeniały się, dopóki wszyscy nie przyłączyli się do aplauzu. Wszyscy, oprócz Teda Jonesa i Susan Brooks. Susan wyglądała na zbyt oszołomioną żeby klaskać. Wpatrywała się z podziwem w Gracie Stanner.

Irma klęczała na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy brawa ucichły (przypatrywałem się Sandrze Cross; klaskała bardzo delikatnie, jakby sennie), odezwałem się:

- Wstań, Irma.

Spoglądała na mnie zdziwiona, jej twarz była poznaczona cieniami i spustoszona; wyglądała jak pogrążona we śnie.

- Zostaw ją w spokoju. - powiedział Ted, wyraźnie oddzielając słowa.

- Zamknij się. - stwierdził Harmon Jackson. - Charlie dobrze sobie radzi.

Ted odwrócił się na swoim krześle i popatrzył na niego. Ale Harmon nie spuścił oczu, jak mogłoby się to zdarzyć w innym miejscu i czasie. Obaj byli w Samorządzie Uczniowskim - gdzie Ted, oczywiście, zawsze był górą.

- Wstań, Irma. - powtórzyłem łagodnie.

- Zastrzelisz mnie? - wyszeptwała.

- Powiedziałaś, że ci przykro.

- Ona mnie do tego zmusiła.

- Ale założę się, że naprawdę tak myślisz.

Irma przyglądała mi się tępo spoza obłąkańczego nieładu, jaki utworzyły jej loki.

- Przez całe życie przykro mi z jakiegoś powodu. - powiedziała. - To dlatego t-t-t-tak ciężko mi to powiedzieć.

- Wybaczasz jej? - zapytałem Grace.

- Hmm? - Grace spojrzała na mnie, z lekkim rozkojarzeniem. - Och. Jasne. Pewnie. - Nagle pomaszzerowała z powrotem na swoje miejsce, gdzie usiadła, ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w swoje dłonie.

- Irma? - odezwałem się.

- Słucham? - patrzyła na mnie uważnie, jak psiak - zaczepnie, ze strachem i żałością.

- Czy jest coś, co chciałabyś powiedzieć?

- Nie wiem.

W międzyczasie zdążyła wstać. Jej ręce zwisały dziwnie, jakby nie była pewna, do czego właściwie służą.

- Myślę, że wiesz.

- Poczujesz się lepiej, kiedy powiesz, co ci leży na sercu, Irma. - stwierdziła Tanis Gannon.

- Mnie to zawsze pomaga.

- Dajcie jej spokój, rany boskie. - odezwał się Dick Keene, siedzący z tyłu.

- Nie chcę być sama. - powiedziała zniechęcona Irma. - To chcę powiedzieć. - Wyzywająco przeczeswała włosy palcami. Jej dłonie ani trochę nie przypominały gołębi. - Nie jestem ładna. Nikt mnie nie lubi. Nigdy nie byłam na randce. Wszystko, co ona powiedziała, to prawda. Macie. - Słowa padały bardzo szybko, i wykrzywiały jej twarz, jak gorzkie lekarstwo.

- Zadbaj trochę o siebie. - poradziła Tanis. Następnie, wyglądając na zakłopotaną, ale jednak zdeterminowaną: - No wiesz, wykąp się, ogól nogi i te... pachy. Zrób się na bóstwo. Ja nie jestem jakąś skończoną piękną, ale nie siedzę w domu w *każdy* weekend. Ty też możesz spróbować.

- Nie wiem jak!

Niektórzy chłopcy zaczęli sprawiać wrażenie skrępowanych, ale dziewczyny były wyraźnie przychylnie. Spoglądały współczująco na Irmę, wszystkie. Miały ten charakterystyczny poplotkujmy-o-babskich-sprawach wygląd, który budzi dreszcz przerażenia w każdym mężczyźnie.

- No cóż... - zaczęła Tanis. Potem urwała i potrząsnęła głową. - Chodź no tutaj i usiądź.

Pat Fitzgerald zachichotał.

- Tajemnice handlowe?

- Zgadza się.

- Nie byle jaki handel. - rzucił Corky Herald. To wywołało śmiechy. Irma Bates powędrowała na tył sali, po czym ona, Tanis, Anne Lasky i Susan Brooks zaczęły jakąś tajemniczą pogawędkę. Sylvia cicho rozmawiała z Grace, a oczy Świńskiego Koryta pełzały chciwie od jednej dziewczyny do drugiej. Ted Jones utkwiał niechętny wzrok gdzieś w przestrzeni. George Yannick wycinał jakiś napis na blacie swojej ławki i palił papierosa - wyglądał przez to jak jakiś zapracowany cieśla. Co do reszty; spoglądali przez okna na gliniarzy kierujących ruchem i robiących małe, desperacko wyglądające narady. Mogłem odróżnić Dona Grace, dobrego, starego Toma Denvera i Jerry'ego Kessleringa, gliniarza z drogówki.

Dzwonek zabrzmiał nagle, swoim głośnym dźwiękiem powodując, że wszyscy podskoczyliśmy na miejscach. Policjanci na zewnątrz również podskoczyli. Kilku nawet wyciągnęło spluwy.

- Dzwonek na przerwę. - powiedział Harmon Jackson.

Spojrzałem na wiszący na ścianie zegar. Była 9:50. O 9:05 siedziałem na swoim miejscu przy oknie i obserwowałem wiewiórkę. Teraz wiewiórka przepadła, dobry, stary Tom Denver przepadł, a pani Underwood przepadła na wieki. Przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że ja również przepadłem.

## Rozdział 21

Nadciągnęły trzy kolejne wozy policji stanowej, a także kolejna grupa mieszkańców z miasta. Gliniarze starali się ich przegonić, z większym lub mniejszym powodzeniem. Pan Frankel, właściciel i dumny posiadacz sklepu z aparatami fotograficznymi i biżuterią, podjechał swoim nowym Pontiacem Firebirdem i zaczął pouczać Jerry'ego Kessleringa. Kiedy mówił, nieustannie poprawiał na nosie okulary w rogowej oprawie. Jerry starał się go pozbyć, ale pan Frankel nic sobie z tego nie robił. Był drugim radnym miejskim i kolesiem Normana Jonesa, ojca Teda.

- Mama kiedyś kupiła mi pierścionek w jego sklepie. - odezwała się Sarah Pasterne, kątem oka zerkając na Teda. - Zazielenił mi palec już na drugi dzień.

- Moja matka mówi, że to kanciarz. - stwierdziła Tanis.

- Hej! - zachłysnął się Świńskie Koryto. - Tam jest moja mama!

Wszyscy spojrzeliśmy. Jak można było się spodziewać, pani Dano stała tam, rozmawiając z jednym z policjantów, halka wystawała jej na centymetr spod obrąbka spódnicy. Była jedną z tych kobiet, które do mówienia w pięćdziesięciu procentach używają rąk. Falowały i trzepotały jak flagi na wietrze i w jakiś sposób przywodziły mi na myśl jesienne soboty spędzane na boisku: przytrzymanie ręką... podcięcie... nieprzepisowy blok. Myślę, że w tym przypadku moglibyście nazwać to nieprzepisowym przytrzymaniem ręką.

Wszyscy znaliśmy ją z widzenia równie dobrze jak z reputacji; pełniła wiele ważnych funkcji w Stowarzyszeniu Rodziców i Nauczycieli i była nieformalną członkinią Klubu Matek. Jedźcie na składkową kolację, na której zbiera się pieniądze na jakiś szkolny wyjazd,



albo do Sadie Hawkins, na potańcówkę w gimnazjum, albo na wycieczkę uczniów z ostatnich klas, a możecie być pewni, że znajdziecie tam panią Dano, stojącą przy drzwiach, gotową uścisnąć wam serdecznie prawicę, uśmiechając się, jak gdyby jutro nie istniało i łowiącą strzępy informacji, tak jak żaba łowi muchy.

Świńskie Koryto wiercił się nerwowo na swoim krześle, jakby koniecznie musiał do łazienki.

- Hej, Koryto, mamusia cię woła! - zaintonował Jack Goldman z tyłu sali.

- Niech sobie woła. - wymamrotał Świńskie Koryto.

Koryto miał starszą siostrę, Lilly Dano, która kończyła szkołę, kiedy my byliśmy pierwszakiem. Z twarzy była bardzo podobna do Świńskiego Koryta, co gwarantowało, że nikt nie wybierze jej Miss Nastolatek. Pewien chłopak z haczykowatym nosem, noszący nazwisko LaFollet St. Armand najpierw zaczął kręcić się koło niej, a później wykopał ją tak, że odleciała dalej niż latawiec. LaFollet zaciągnął się do piechoty morskiej, gdzie zapewne nauczyli go wreszcie jaka jest różnica pomiędzy spluwą w jego gaciach, a tą w jego ręku - z której powinno się strzelać, a która służy do rozrywki. Pani Dano nie pokazywała się na żadnych zebraniach SRiN przez jakieś dwa miesiące. Lilly została wyprawiona do ciotki mieszkającej w Boxford, w Massachusetts. Wkrótce po tym, pani Dano wróciła do dawnego stylu życia, uśmiechając się usilniej niż kiedykolwiek przedtem. Oto klasyczny, małomiasteczkowy blues, przyjaciele.

- Musi się naprawdę o ciebie martwić. - powiedziała Carol Granger.

- Kogo to obchodzi? - spytał obojętnie Świńskie Koryto. Sylvia Ragan posłała mu uśmiech. Koryto zarumienił się.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Obserwowaliśmy ludzi z miasteczka kotłujących się za jasnożółtymi barierkami, jakie ustawiono. Zauważyłem pomiędzy nimi kilkoro innych mamus i tatusiów. Nie widziałem rodziców Sandry, ani wielkiego Joego McKennedy. Hej, właściwie to tak naprawdę nie oczekiwałem, że się pojawi. Nigdy nie przepadaliliśmy za cyrkiem.

Furgonetka telewizyjna należąca do WGAN-TV wtoczyła się na podjazd. Jeden z chłopaków wyskoczył z niej, bez chwili wahania przedfilował prosto na miejsce i wdał się w pogawędkę z policjantem. Gliniarz wskazał na drugą stronę drogi. Facet wrócił do furgonetki, a po chwili dwoje innych zaczęło wyładowywać kamerę i cały sprzęt.

- Czy ktoś z was ma radio? - zapytałem.

Trzy ręce uniosły się w górę. Corry miał najlepsze radio, Sony, które nosił ze sobą w teczce. Miało sześć zakresów, w tym pasmo telewizyjne, fale krótkie i CB. Postawił je na ławce i włączył. Zdążyliśmy w samą porę na wiadomości o dziesiątej:

"- Rozpoczynamy wiadomości informacją, że w Liceum Placerville, uczeń ostatniej klasy, Charles Everett Decker..."

- Everett! - parsknął ktoś.

- Zamknij się. - powiedział krótko Ted.

Pat Fitzgerald pokazał mu język.

- " ... dzisiejszego ranka najwyraźniej dostał napadu szału i obecnie przetrzymuje dwadzieścia cztery osoby, swoich kolegów szkolnych, jako zakładników w tymże liceum. Wiemy z całą pewnością, że jedna osoba, Peter Vance, trzydziestosiedmioletni nauczyciel historii, nie żyje. Podejrzewamy, że zginęła także inna nauczycielka, Jean Underwood, również lat trzydzieści siedem. Decker przejął system interkomów i dwukrotnie skomunikował się z władzami szkoły. Lista zakładników jest następująca..."

Reporter odczytał listę obecności, jaką podałem Tomowi Denverowi. "Jestem w radiu!" wykrzyknęła Nancy Caskin, kiedy usłyszała swoje nazwisko. Zamrugła i uśmiechnęła się niepewnie. Melwin Thomas zagwizdał. Nancy zarumieniła się, i kazała mu się zamknąć.

" ... i George Yannick. Frank Philbrick, szef Policji Stanowej z Maine, zwrócił się z prośbą do rodzin i przyjaciół zakładników, aby trzymali się z dala od miejsca zdarzenia. Decker jest przypuszczalnie niebezpieczny, a Philbrick podkreśla, że w chwili obecnej nikt nie wie, co może go sprowokować. 'Musimy zakładać, że ten chłopiec może pociągnąć za spust z byle powodu' oświadczył Philbrick"

- Chcesz pociągnąć za mój spust? - zapytałem Sylwię.

- A broń masz zabezpieczoną? - spytała w odpowiedzi, a klasa ryknęła śmiechem. Anne Lasky śmiała się zakrywając usta dłońmi, czerwona jak burak; Ted Jones, nasz praktykujący ponurak, zachmurzył się.

" ... Grace, miejscowy psychiatra i terapeuta szkolny rozmawiał z Deckerem przez interkom zaledwie kilka chwil temu. Powiedział reporterom, że Decker zagroził zabiciem kogoś w klasie, jeżeli on, Grace, natychmiast nie opuści biura."

- Kłamca! - powiedziała melodyjnie Grace Stanner. Irma podskoczyła lekko.

- Za kogo on się uważa? - ze złością zapytał Melvin. - Myśli, że może wciskać takie gówno i ujdzie mu to na sucho?

"... stwierdził także, iż podejrzewa u Deckera osobowość schizofreniczną, przypuszczalnie znajduje się on już daleko poza granicami racjonalnego działania. Grace podsumował swoją pośpieszną diagnozę stwierdzeniem: 'Na tym etapie, Charles Decker może być zdolny do wszystkiego.' Policja z okolicznych miast..."

- Co za pierdoły! - wykrzyknęła Sylvia. - Jak tylko stąd wyjdziemy, zamierzam opowiedzieć tym gościom, co naprawdę się tutaj wydarzyło! Zamierzam...

- Cicho bądź i słuchaj! - warknął na nią Dick Keene.

" ... i Leviston została wezwana na miejsce wydarzenia. Według kapitana Philbricka, w tym momencie sytuacja utknęła w martwym punkcie. Decker zapowiedział, że zastrzeli kogoś, jeżeli policja użyje gazu łzawiącego, a kiedy stawką jest życie dwadzieściorga czworga dzieci..."

- *Dzieci*. - odezwał się znenacka Świńskie Koryto. - Dzieci to i dzieci tamto. Wbili ci nóż w plecy, Charlie. Akurat. Dzieci. Ha. Pieprzenie. Myślą, że co tu się dzieje? Ja...

- On mówi coś o... - zaczął Corky.

- Nieważne. Wyłączcie to. - powiedziałem. - To brzmi bardziej interesująco. Przygwoździłem Koryto moim najlepszym stalowym spojrzeniem. - Cóż to masz na myśli, kolego?

Świńskie Koryto gwałtownie wskazał kciukiem na Irmę. - Ona myśli, że ma kiepskie życie. - stwierdził. - Ona. Heh. - Zaśmiał się nagłym, urywanym śmiechem. Z powodu, którego nie mogłem zgłębić, wyciągnął ołówek z kieszonki na piersiach i przyjrzał mu się. Ołówek był fioletowy.

- Ołówek Be-Bop. - oznajmił Koryto. - Najtańsze ołówki, jakie istnieją na tym świecie, moim zdaniem. Za cholerę nie można ich zatemperować. Grafit pęka. Każdego września, odkąd poszedłem do pierwszej klasy, mamunia przychodzi do domu z Mammoth Mart z plastikowym pudełkiem, w którym jest dwieście tych ołówków. A ja ich używam, Jezu.

Złamał kciukami swój fioletowy ołówek i zapatrzył się na niego. Prawdę powiedziawszy, uważałem, że ołówek wygląda na tanioczę. Ja sam zawsze używałem ołówków Eberhard Faber.

- Mamunia, - powiedział Świńskie Koryto - to tylko dla ciebie. Plastikowe pudełko z dwiema setkami ołówków Be-Bop. Wiecie, czym ona naprawdę się przejmuje? Poza wszystkimi tymi głównianymi kolacyjkami, gdzie wręcza wam wielki talerz hamburgerów i papierowy kubeczek, pełen pomarańczowej galaretki Jell-O z dodatkiem utartej marchwi? No? Bierze udział w konkursach. Takie ma hobby. W setkach konkursów. Przez cały czas.

Prenumeruje wszystkie kobiece czasopisma i uczestniczy we wszystkich konkursach jakie znajdzie. Cemu woli używać Rinso do prania wszystkich swoich delikatnych rzeczy, w dwudziestu pięciu lub mniej słowach. Moja siostra przyniosła kiedyś kociaka, a mamunia nawet nie chciała słyszeć o tym, że mogłaby go zatrzymać.

- To ta, która zaszła w ciążę? - zapytał Corky.

- Nawet nie było mowy o tym, żeby mogła go zatrzymać. - mówił Świńskie Koryto. - Utopiła go w wannie, bo nikt nie chciał go wziąć. Lilly błagała ją, żeby przynajmniej zabrać go do weterynarza i uspić, ale mamunia powiedziała, że cztery dolce za zastrzyk usypiający to zbyt wielki wydatek jak na bezwartościowego kociaka.

- Och, biedactwo. - powiedziała Susan Brooks.

- Przysięgam na Boga, utopiła go w wannie. I wszystkie te przeklęte ołówki. Czy kiedykolwiek kupiła mi nową koszulę? Hmm? Może na urodziny. Mówię do niej, "Mamunia, powinnaś posłuchać jak mnie nazywają w szkole. Mamuś, na litość boską." Nawet nie dostaję kieszonkowego, ona mówi, że potrzebuje każdego grosza na znaczki i opłaty pocztowe, żeby mogła brać udział w tych swoich konkursach. Nowa koszula na urodziny i cała kupa zaszranego ołówków Be-Bop w plastikowym pudle, żebym miał co zabrać do szkoły. Któregoś razu próbowałem wziąć się za roznoszenie gazet, ale mama położyła temu kres. Powiedziała, że w domach są kobiety złego prowadzenia, które czatują na młodych chłopców, kiedy tylko ich mężowie wyjdą do pracy.

- O Boziu! - krzyknęła Sylvia.

- I konkursy. I kolacyjki Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli. I opieka nad potańcówkami. Rzuca się na wszystkich. Przysysa się do nich i wciąż szczerzy zęby.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się najbardziej osobliwym uśmiechem, jaki widziałem tego dnia. A to nie było co.

- Wiecie, co powiedziała mi, kiedy Lilly musiała wyjechać? Powiedziała, że muszę sprzedać swój samochód. Tego starego Dodge'a, którego dostałem od wujka Franka, kiedy zrobiłem prawo jazdy. Powiedziałem, że nie mógłbym. Powiedziałem, że wujek Frank dał mi go i mam zamiar go zatrzymać. Odpowiedziała, że jeżeli ja tego nie zrobię, to ona go sprzeda. Podpisała wszystkie papiery i oficjalnie była właścicielką samochodu. Stwierdziła, że nie wpędzę żadnej dziewczyny w ciążę na tylnym siedzeniu. Ja. Wpędzę dziewczynę w ciążę na tylnym siedzeniu. Tak powiedziała.

Potrząsnął złamaną połówką ołówka. Grafit wypadł z drewnianej oprawki, jak czarna kość.

- Ja. Ha ha. Ostatni raz byłem na randce w ósmej klasie, na szkolnym pikniku. Powiedziałem mamuni, że nie sprzedam Dodge'a. Ona powiedziała, że sprzedam. I ostatecznie go sprzedałem. Wiedziałem, że tak będzie. Nie potrafię z nią walczyć. Ona zawsze wie co powiedzieć. Zaczynasz podawać jej powody, dla których nie możesz sprzedać swojego wozu, a ona powiada: "To czemu zawsze siedzisz tak długo w łazience?" Zupełnie od rzeczy. Ty mówisz o samochodzie, a ona o łazience. Tak, jakbyś robił w niej nie wiadomo jakie świństwa. Miażdzy cię. - Zagapił się w okno. Pani Dano nie było już w polu widzenia. - Miażdzy i miażdzy, i miażdzy, i za każdym razem cię pokonuje. Ołówki Be-Bop, które kruszą się przy każdym ostrzeniu. W taki sposób cię pokonuje. W taki sposób potrafi cię pognębić. A w dodatku jest taka podła i głupia, utopiła kociaka, zwykłego, małego kociaka, i jest taka głupia, że wszyscy śmieją się z niej za plecami, zresztą sami wiecie. Więc na kogo ja wychodzę w takiej sytuacji? Na mniejszego i głupszego. Po jakimś czasie zaczynasz się czuć zupełnie jak kociak, który wpłynął do plastikowego pudełka pełnego ołówków Be-Bop i został przyniesiony do domu przez przypadek.

W sali panowała głucha cisza. Świńskie Koryto był w centrum zainteresowania. Nie sądzę, żeby zdawał sobie z tego sprawę. Wyglądał na niechlujnego i wkurzonego, dłonie zaciskał w

pięści wokół przełamanego na pół ołówka. Na zewnątrz, jeden z policjantów wjechał policyjnym krążownikiem na trawnik. Zaparkował go równolegle do szkoły, a kilku innych gliniarzy podbiegło i przykucnęło za nim, niewątpliwie po to, żeby robić tam jakieś tajemnicze rzeczy. Mieli w rękach broń na gumową amunicję, używaną podczas zamieszek.

- Nie wiem, czy miałbym coś przeciwko temu, gdyby kopnęła w kalendarz. - oznajmił Koryto, wykrzywiając usta w małym, przerażającym uśmiechu. - Chciałbym mieć twoją odwagę, Charlie. Gdybym miał twoją odwagę, myślę, że zabiłbym się.

- Ty też jesteś stuknięty. - stwierdził z niepokojem Ted. - Boże, wszyscy zaczynacie wariować razem z nim.

- Nie bądź taki wredny, Ted. - To była Carol Granger. Jakoś zaskoczyło mnie, że nie stoi po stronie Teda. Wiedziałem, że kilka razy byli razem na randce, zanim Carol zaczęła chodzić ze swoim obecnym chłopakiem, a poza tym, elita przeważnie trzyma się razem. Tak czy inaczej, to ona zerwała z nim. Stosując bardzo niezgrabną analogię: zaczynałem podejrzewać, że dla moich kolegów z klasy Ted był tym, kim dla zdeklarowanych liberałów w latach pięćdziesiątych musiał być Eisenhower - nie sposób było go nie podziwiać, jego stylu, jego uśmiechu, jego przeszłości, jego dobrych intencji, ale jednak było w nim coś irytującego i troszeczkę oślizgłego. Sami widzicie, że mam obsesję na punkcie Teda...

A czemu nie? Wciąż staram się go rozgryźć. Czasami mam wrażenie, że wszystko, co zdarzyło się tego długiego poranka to tylko wytwór mojej wyobraźni, albo jakaś niedopieczona pisarska fantazja. Ale to się *wydarzyło*. A niekiedy, obecnie, wydaje mi się, że to Ted był ośrodkiem tego wszystkiego, nie ja. Tak jakby Ted zmieniał ludzi w kogoś, kim nie byli... albo w takich, jakimi byli naprawdę. Wszystko co wiem, to fakt, że Carol spoglądała na niego wyzywająco, wcale nie jak poważna wkrótce-absolwentka, mająca wygłosić przemówienie o problemach czarnej rasy. Wyglądała na zezłoszczoną i odrobinę okrutną.

Kiedy myślę o rządach Eisenhowera, myślę o incydencie z U-2. Kiedy wspominam ten wesoły poranek, kojarzę go w myślach z plamami potu, powoli rozszerzającymi się na koszuli khaki Teda.

- Kiedy tu po niego przyjdą znajdą tylko bandę świrów. - mówił Ted. Popatrywał nieufnie na Świńskie Koryto, który wpatrywał się łzawo w połówki ołówka Be-Bop, jak gdyby była to jedyna rzecz jaka została mu na świecie. Jego szyja była strasznie brudna, ale co tam. Nikt nie mówił teraz o jego szyi.

- Miażdżą cię. - wyszeptał. Rzucił ołówek na podłogę. Spojrzał na niego, a później spojrzął na mnie. Miał dziwny wyraz twarzy, zastygł na niej smutek. Czułem się przez to nieswojo. - Miażdżą cię, Charlie. Poczekaj, a sam zobaczysz, czy nie mam racji.

W klasie panowała niezręczna cisza. Kurczowo ścisnąłem pistolet. Niewiele myśląc, wziąłem pudełko z nabojami, wyjąłem trzy i załadowałem magazynek do pełna. Rękę miałem mokrą od potu. Nagle uświadomiłem sobie, że trzymałem broń za lufę, celując w siebie i nie patrząc na nikogo. Nikt nie rzucał się do ucieczki. Ted zgarbił się jakoś nad swoją ławką, dłonie zaciskał na krawędzi, ale siedział nieruchomo, poruszając tylko głową. Nagle pomyślałem, że jego skóra byłaby w dotyku jak torba ze skóry aligatora. Zastanawiałem się, czy Carol kiedykolwiek całowała go, czy go dotykała. Robiło mi się niedobrze na samą myśl. Susan Brooks nieoczekiwanie wybuchnęła płaczem.

Nikt nawet na nią nie pojrzał. Patrzyłem na nich, a oni patrzyli na mnie. Trzymałem pistolet za lufę. Wiedzieli o tym. Widzieli to.

Przesunąłem stopy i przypadkowo kopnąłem panią Underwood. Zerknąłem w dół. Ubrana była w sportowy żakiet w szkocką kratę, założony na brązowy, kaszmirowy sweter. Zaczynała już sztywnieć. Jej skóra pewnie też byłaby jak torba z aligatora. Stężenie

pośmiertne, no wiecie. W którymś momencie zostawiłem odcisk buta na jej swetrze. Z jakiegoś powodu przywiodło mi to na myśl zdjęcie Ernesta Hemingwaya, które kiedyś widziałem, to na którym stoi z jedną nogą opartą na martwym lwie, ze strzelbą w dłoni i półtuzinem roześmianych czarnych tragarzy w tle. Nagle zachciało mi się krzyczeć. Odebrałem tej kobiecie życie, załatwiłem ją, wpakowałem jej kulkę w głowę i przelałem algebrę.

Susan Brooks oparła głowę na ławce, tak jak kazali nam to robić w przedszkolu, kiedy nadchodziła pora na drzemkę. Na włosach miała zawiązany bladoniebieski szal. Bardzo ładnie to wyglądało. Rozboleł mnie żołądek.

"DECKER!"

Krzyknąłem i bezwiednie poderwałem pistolet, celując w kierunku okien. To był policjant ze stanowej, z megafonem zasilanym bateriami. Na wzgórzu dziennikarze harowali ciężko przed kamerami. O mało się nie zdeptali - Świńskie Koryto niewiele się pomylił, jeśli o to chodzi.

"DECKER, WYJDŹ Z PODNIESIONYMI RĘKAMI!"

- Dajcie mi spokój. - powiedziałem.

Zaczęły drzeć mi ręce. Żołądek naprawdę mnie bolał. Zawsze miałem z nim problemy. Czasami zbierało mi się na wymioty, rano przed pójściem do szkoły, albo kiedy miałem pierwszy raz zaprosić gdzieś dziewczynę. Pewnego razu Joe i ja wybraliśmy się z dziewczynami do Harrison Park. Był lipiec, ciepły i przepiękny, wysoko na niebie widać było niewyraźną mgiełkę. Dziewczyna, z którą byłem miała na imię Annmarie. Wymawiała to jak jeden wyraz. Była bardzo ładna. Miała na sobie ciemnozielone sztruksowe szorty i jedwabną bluzkę, na ramieniu trzymała torbę plażową. Jechaliśmy Route 1 w kierunku Bath, z włączonego radia dobiegały dźwięki dobrego rockandrolla. Brian Wilson. Pamiętam to, Brian Wilson i Beach Boys. Joe prowadził swojego starego, niebieskiego Mercurego - *Niebiezzzka Żabcia*, tak go nazywał, a później prezentował patentowany uśmiech Joego McKennedy. Wszystkie kanały wentylacyjne były otwarte. Poczułem, że robi mi się niedobrze. Naprawdę niedobrze. Joe rozmawiał ze swoją dziewczyną. Gadali o surfingu, co z pewnością świetnie pasowało do Beach Boysów w radiu. Jego dziewczyna była całkiem niezła. Na imię miała Rosalynn, była siostrą Annmarie. Otworzyłem usta, żeby powiedzieć, że źle się czuję i zarzygałem całą podłogę. Część tego wylądowała na nogach Annmarie, a wyrazu jej twarzy nie możecie sobie nawet wyobrazić. A może i możecie. Starali się obrócić to wydarzenie w żart, zbyć je śmiechem. Wszystkim swoim chłopakom pozwalałam puszczać na mnie pawia na pierwszej randce, ha-ha. Tego dnia nie mogłem iść pływać. Mój żołądek był w fatalnym stanie. Annmarie większość czasu spędziła siedząc obok mnie na kocu i okropnie się spiekła. Dziewczyny zabrały ze sobą lunch, mieliśmy zrobić piknik. Piłem tylko wodę sodową, nie zjadłem ani jednej kanapki. Przez cały czas myślałem o niebieskim Mercurym Joego, stojącym przez cały dzień w pełnym słońcu, i o tym jaki będzie w nim zapach, kiedy nadejdzie czas, aby wracać do domu. Lenny Bruce powiedział kiedyś, że nie sposób pozbyć się smarków z zamszowej marynarki, a ja dodałbym do tego jeszcze jedną gorzką prawdę: nie sposób pozbyć się smrodu wymiocin z tapicerki niebieskiego Mercurego. Pozostaje tam tygodniami, miesiącami, może nawet latami. I panował w nim dokładnie taki zapach, jak przewidywałem. Wszyscy udawali, że go tam nie ma. Ale był.

"WYCHODŹ, DECKER. DOŚĆ TYCH WYGŁUPÓW!"

- Przestańcie! Zamknijcie się! - oczywiście mnie nie słyszeli. Nawet nie chcieli. To była ich gra.

- Nie podoba ci się za bardzo, kiedy nie możesz odpowiedzieć, prawda? - stwierdził Ted Jones. - Kiedy nie możesz prowadzić tych swoich cwanych gierek.

- Zostaw mnie w spokoju. - mój głos podejrzanie przypominał jęk.  
- Wykończą cię. - powiedział Świńskie Koryto. To był głos ogłaszający wyrok. Staralem się myśleć o wiewiórce i o tym, w jaki sposób trawnik podchodził wprost pod budynek, bez opieprzania. Nie wychodziło mi to. Moje myśli były jak żdźbła na wietrze. Plaża tamtego dnia była rozsloneczniona i gorąca. Każdy miał ze sobą radio, nastawione na inną stację. Joe i Rosalynn surfowali razem po szklisztozielonych falach.

"MASZ PIĘĆ MINUT, DECKER!"

- Wyjdź do nich. - zachęcał mnie Ted. Znów zaciskał dłonie na krawędziach swojego biurka. - Wyjdź teraz, póki jeszcze masz szansę.

Sylvia raptownie obróciła się w jego stronę. - Kim ty chcesz zostać? Jakimś cholernym bohaterem? Dlaczego? Po co? Zwykle gówno, oto czym będziesz, Tedzie Jones. Powiem im...

- Nie mów mi co...

- ...pokonają cię, Charlie, zmiążdżą cię, poczekaj, a...

"DECKER!"

- Wyjdź, Charlie...

- ...proszę, czy nie widzisz, że wyprowadzasz go z równowagi...

"DECKER!"

- ...kolacyjki SRiN i wszystkie te parszywe...

- ...załamie się, jeśli tylko mu pozwolicie DECKER! wyłącznie miażdżą cię pokonają cię Charlie nie możesz NIE ZMUSZAJ NAS DO UŻYCIA BRONI dopóki nie będziesz gotowy zostaw go w spokoju Ted gdybyś wiedział co zamknijcie się wszyscy dla ciebie dobre WYJDŹ...

Zwróciłem pistolet w kierunku okna, trzymając go w obu rękach i czterokrotnie nacisnąłem spust. Odgłos wystrzałów przetoczył się po sali jak kule do kręgli. Szyba eksplodowała, zmieniając się w potrzaskane kawałki. Funkcjonariusze zanurkowali za samochód, znikając z pola widzenia. Kamerzysta padł plackiem na żwir. Grupka gapiów rozprysnęła się, uciekając we wszystkich kierunkach. Odłamki szkła lśniły i migotały na zielonej trawie jak diamenty na aksamicie w oknie wystawowym, klejnoty błyszczące jaśniej, niż te w sklepie pana Frankela. Nie

odpowiedzieli ogniem. Blefowali, wiedziałem o tym; czułem to w żołądku, w moim cholernym żołądku. Co innego pozostało im oprócz blefu?

Za to Ted Jones nie blefował. Był już w połowie drogi do biurka zanim zdążyłem skierować broń w jego stronę. Zamarł w miejscu i widziałem, że myśli, iż zamierzam go zastrzelić. Spoglądał przeze mnie prosto w mrok.

- Siadaj. - powiedziałem.

Nie poruszył się. Każdy jego mięsień wydawał się sparaliżowany.

- Siadaj.

Zaczął się trząść. Drzenie rozpoczynało się od nóg i rozprzestrzeniało w górę, na tułów, ramiona i szyję. Wreszcie dosięgło ust, które poczęły poruszać się bezgłośnie. Wspięło się na prawy policzek, który zaczął drgać. Oczy pozostawały nieporuszone. Muszę mu to przyznać, w dodatku z prawdziwym podziwem. Jedną z niewielu rzeczy, jakie powiedział mój ojciec, a z jakimi się zgadzałem było, że dzieciaki z mojego pokolenia nie mają jaj. Niektórzy próbują rozpocząć rewolucję, podkładając bomby w toaletach budynków rządowych, ale żadne z nich nie pójdzie obrzucić Pentagonu koktajlami Mołotowa. Jednakże oczy Teda, chociaż pełne mroku, pozostawały spokojne.

- Usiądź. - powtórzyłem.

Zawrócił i usiadł.

Nikt w sali nie krzychał. Kilka osób zasłoniło uszy dłońmi. Teraz odejmowali je ostrożnie, na próbę, sprawdzając poziom hałasu w pomieszczeniu. Poszukałem swojego żołądka. Był na miejscu. Znow kontrolowałem sytuację.

Człowiek z megafonem wołał coś, ale tym razem nie było to skierowane do mnie. Sugerował ludziom, którzy przypatrywali się wszystkiemu z drugiej strony drogi, żeby opuścili miejsce zdarzenia i to biegusiem. Wykonywali jego polecenia. Wielu z nich biegło skulonych, jak Richard Widmark grający bohatera w filmach o II wojnie światowej.

Leciutki wietrzyk wpadał przez wybite okna. Porwał papiery leżące na ławce Harmona Jacksona i rozrzucił je w przejściu pomiędzy rzędami. Harmon pochylił się i zaczął je zbierać. Sandra Cross powiedziała: "Opowiedz coś jeszcze, Charlie."

Poczułem jak dziwny uśmiech wypełza na moje wargi. Miałem ochotę zaśpiewać refren ze starej, ludowej piosenki, ten o pięknych, pięknych błękitnych oczach, ale nie mogłem przypomnieć sobie słów, a zresztą, pewnie i tak bym się nie odważył. Śpiewam jak kaczką. Więc tylko patrzyłem na nią i uśmiechałem się dziwnie. Zarumieniła się lekko, ale nie opuściła wzroku. Wyobrażałem ją sobie, jako żonę jakiegoś niechlujka, mającą w szafie pięć dwurzędowych garsonków i bajerancki, pastelowy papier toaletowy w łazience. Nieuchronność tego sprawiała mi ból. Prędzej czy później wszystkie odkrywają, jak nieelegancko jest gubić guziki na potańcówkach, albo wkradać się do bagażnika, żeby dostać się za darmo do kina dla zmotoryzowanych. Przystają zjadać się pizzą i wrzucać dziesięciocentówki do szafy grającej u Grubego Sammy'ego. Przystają całować się z chłopakami, w ukryciu za krzakami borówek. I wszystkie wydają się kończyć, wyglądając jak owe lalki Barbie do wycinania, jakie można znaleźć w magazynach *Jack i Jill*. Złóż je i dopasuj otwór A do otworu B i otworu C. Obserwuj Jak Starzeje Się Na Twoich Oczach. Przez sekundę myślałem, że rozryczę się jak dziecko i żeby uniknąć tego upokorzenia zacząłem wyobrażać sobie, jakie Sandy ma dziś na sobie majtki. Pomogło.

Było dwadzieścia po dziesiątej. Odezwałem się:

## Rozdział 22

Kiedy miałem dwanaście lat, mama kupiła mi sztruksowy garnitur. Do tego czasu tata właściwie dał już sobie spokój z wychowywaniem mnie, i zdał się na mamę. Nosilem ten garnitur do kościoła, w niedziele i na spotkania biblijne w czwartkowe wieczory. Do wyboru miałem też trzy przypinane muszki. Kompletne kretyństwo.

Ale nawet do głowy mi nie przyszło, że matka spróbuje ubrać mnie w niego na to cholerne przyjęcie urodzinowe. Próbowałem wszystkiego. Przekonywałem ją. Zagroziłem, że nigdzie nie pójde. Spróbowałem nawet kłamstwa - powiedziałem, że przyjęcie jest odwołane, bo Carol złapała wietrzną ospę. Jeden telefon do matki Carol wyjaśnił całą sprawę. Nic nie skutkowało. Przez większość czasu mama pozwalała mi ubierać się tak, jak chciałem, ale kiedy wbiła sobie do głowy jakiś pomysł, miałeś marne szanse. Posłuchajcie tego: jednego roku, na Gwiazdkę, brat mojego ojca podarował jej dziwaczne puzzle. Myślę, że wujek Tom był w znowie z moim tatą, jeżeli chodzi o ten prezent. Mama bardzo lubiła układanki - ja pomagałem - a oni obaj sądzili, że to największa strata czasu, jaką można sobie wyobrazić. Tak więc, Tom wysłał mojej mamie puzzle, składające się z pięciuset elementów, które miały pojedynczą jagodę, w dolnym prawym rogu. Reszta kawałków była idealnie biała, pozbawiona jakichkolwiek odcieni. Ojciec o mało nie posikał się ze śmiechu. "Zobaczmy, jak sobie z tym poradzisz, Mamuśka." - mówił do niej. Zawsze nazywał ją Mamuśka, kiedy czuł się górną, a matkę nieodmiennie to irytowało. Tego bożonarodzeniowego popołudnia usiadła i rozłożyła puzzle dookoła, na specjalnym stoliku do układania w swojej sypialni - do

tego czasu rodzice mieli już osobne sypialnie. Dwudziestego szóstego i dwudziestego siódmego tata i ja musieliśmy jeść obiady z mrożonek i naprędce przygotowane lunchy - za to rankiem, dwudziestego ósmego grudnia puzzle były gotowe. Mama zrobiła Polaroidem zdjęcie, aby wysłać je wujkowi Tomowi, do Wisconsin. Później rozrzuciła układankę i wyniosła ją na strych. To było dwa lata temu, i o ile wiem, puzzle nadal tam leżą. Ale ułożyła je. Moja matka jest pełną humoru, czytana, miłą osobą. Jest dobra dla zwierząt i wspomaga żebraków, zarabiających grą na harmonii. Jeżeli jednak będziesz się jej sprzeciwiać, zaczniesz kopać wokół siebie rowy obronne, kopać... przeważnie w okolice genitaliów.

Ja się sprzeciwiałem. Prawdę powiedziawszy, zaczynałem po raz czwarty tego dnia przytaczać te same argumenty, ale mój czas najwyraźniej się skończył. Muszka ścisnęła kołnierzyk jak różowy pajak z ukrytymi stalowymi nogami, marynarka była za ciasna, a w dodatku matka zmusiła mnie żebym założył moje najlepsze, niedzielne buty, z kwadratowo zakończonymi noskami. Ojca nie było, razem z kilkoma swoimi najlepszymi kumplami wyskoczył na jednego, do knajpy Gogana, ale gdyby kręcił się w pobliżu powiedziałby pewnie, że sam wyglądam na "tępo zakończonego". Nie czułem się jak dupek.

- Posłuchaj, mamó...

- Charlie, nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej. - Ja też nie chciałem już więcej o tym słyszeć, ale ponieważ to ja byłem tym, który pretendował do nagrody Palanta Roku, nie ona, czułem się w obowiązku przynajmniej solidnie pomarudzić.

- Mamó, próbuję ci tylko wytłumaczyć, że na tym przyjęciu nikt nie będzie ubrany w garnitur. Dzwoniłem dziś rano do Joego McKennedy i on mówił, że zamierza założyć...

- Po prostu zamknij buzię na ten temat. - powiedziała bardzo łagodnie mama, i posłuchałem. Kiedy moja matka mówiła "zamknij buzię", oznaczało to, że jest naprawdę wściekła. Nie nauczyła się tego wyrażenia z lektury *The Guardian*. - Zamknij buzię, albo nigdzie nie pójdziesz.

Wiedziałem, co to oznacza. "Nigdzie nie pójdziesz" przekładało się na o wiele więcej, niż impreza u Carol Granger. Prawdopodobnie mogło obejmować również kino, centrum rozrywkowe w Harlow, a także kursy pływania, przez cały następny miesiąc. Mama jest cicha, ale długo nosi w sobie urazę, kiedy nie może postawić na swoim. Przypomniałem sobie tę układankę, która zatytułowana była wymyślnie: "Ostatnia jagoda na grządce". Te puzzle ośmieliły się pomieszać jej szyki, więc od dwóch lat zarastały kurzem na strychu. A jeśli chcecie wiedzieć, a pewnie niektórzy z was już się domyślają, to podkochałem się trochę w Carol. Kupiłem dla niej smarkaczkę z jej inicjałami i własnoręcznie ją zapakowałem. Mama zaoferowała pomoc, ale odmówiłem. I nie była to jakaś nędzna szmatka za piętnaście centów, o nie. W Lewiston, u J.C Penneya, te dziecińcy chodziły po pięćdziesiąt dziewięć centów za sztukę i miały koronkę naokoło całego brzegu.

- Dobra. - powiedziałem opryskliwie. - Dobra, dobra, dobra.

- I nie wymądrzaj mi się tutaj, Charlie Deckerze. - odparła ponuro. - Twój ojciec nadal jeszcze potrafiłby spuścić ci lanie.

- Jakbym o tym nie wiedział. - stwierdziłem. - Przypomina mi o tym za każdym razem, kiedy znajdziemy się w jednym pokoju.

- Charlie...

- Muszę lecieć. - powiedziałem szybko, ucinając rozmowę. - Trzymaj się, mamó.

- Nie pobrudź się! - zawołała za mną, kiedy wychodziłem za drzwi. - Uważaj, żebyś nie nakapał sobie lodami na spodnie! Podziękuj za przyjęcie, kiedy będziesz wychodził! I pozdrów panią Granger!



Nie odpowiedziałem na żadne z tych napomnień, czując, że mama przypomina o tym, aby dodać mi odwagi. Wepchnąłem tylko głębiej do kieszeni rękę, w której nie niosłem prezentu i spuściłem głowę.

- Bądź dżentelmenem!

Jezusie.

- I pamiętaj, nie zaczynaj jeść, zanim Carol nie zacznie!

Jezusie *kochany*.

Przyspieszyłem, żeby zejść jej z oczu, zanim zdecyduje się pobiec za mną i sprawdzić, czy przypadkiem nie zsiusiałem się w majtki.

Lecz ten dzień nie był stworzony do tego, aby czuć się źle. Niebo było niebieskie, słońce grzało akurat odpowiednio mocno, a lekki powiew wzbijał kurz wokół stóp. Było lato, wakacje, a Carol być może da mi nawet buziaka. Właściwie to nie wiem, co zrobiłbym, gdyby Carol rzeczywiście *dała* mi buziaka - być może pozwoliłbym jej zrobić podwójną rundkę na moim Schwinnie - ale byłem gotów przekroczyć ów most, kiedy do niego dotrę. Może nawet przeceniałem negatywne oddziaływanie sztruksowego garnituru na moją atrakcyjność. Jeżeli Carol durzyła się w Myronie Florenie, to mój wygląd powinien rzucić ją na kolana.

Wtedy zobaczyłem Joego i ponownie zacząłem czuć się jak głupek. Ubrany był w postrzępione białe Levisy i zwykłą koszulkę. Widziałem, jak mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i aż się wzdrygnąłem. Marynarka miała małe, mosiężne guziki z wytłaczanymi herbami. Kompletne kretyństwo.

- Świetny garnitur. - powiedział. - Wyglądasz jak ten facet w programie Lawrence'a Belcha. Ten, który gra na harmonosce.

- Myron Floren. - odpowiedziałem. - Jaaasne.

Zaproponował mi listek gumy do żucia, wziąłem, i zacząłem rozwijać go z papierka.

- Pomysł mojej matki. - Wpakowałem gumę do ust. Guma Black Jack. Nie ma lepszej. Przetaczałem ją po języku i żułem z głośnym mlaskaniem. Znowu poczułem się pewniej. Joe był przyjacielem, jedynym dobrym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Nigdy nie sprawiał wrażenia, że się mnie obawia, albo że budzą w nim odrazę moje dziwaczne nawyki (kiedy wpadł mi do głowy dobry pomysł, na przykład, przejawiałem tendencję do spacerowania w kółko, z twarzą wykrzywioną w najbardziej paskudnych grymasach i nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy - Grace miałby niezłe używanie). Byłem lepszy od Joego w dziedzinie szarych komórek, on natomiast rozkładał mnie na łopatki, jeżeli idzie o zdobywanie przyjaciół. Większość dzieciaków ni cholery nie przejmuje się mózgowcami: idą po najmniejszej linii oporu, a ktoś z wysokim IQ, kto nie potrafi grać w baseball, albo przynajmniej nie zajął trzeciego miejsca w lokalnym konkursie walenia konia, dla wszystkich jest piątym kołem u wozu. Ale Joemu podobała się moja inteligencja. Nigdy tego nie powiedział, ale wiedziałem, że tak jest. A ponieważ wszyscy lubili Joego, zmuszeni byli chociaż mnie tolerować. Nie powiedziałbym, że uwielbiałem Joego McKennedy, ale to, co czułem nie było od tego dalekie. Był moim guru.

Tak czy inaczej, szliśmy razem, żując nasze Black Jacki, kiedy nagle czyjaś ręka rąbnęła mnie w ramię, niespodziewanie, jak wybuchająca petarda. O mało nie udławiłem się swoją gumą. Poleciałem do przodu, odwróciłem się na pięcie, i ujrzałem Dicky'ego Cable.

Dicky był przysadzistym chłopakiem, który zawsze w jakiś niejasny sposób kojarzył mi się z kosiarką do trawy, wielkim samobieżnym modelem od Briggsa & Strattona. Miał wielki, kwadratowy uśmiech, wypełniony po brzegi wielkimi, białymi, kwadratowymi zębami, które były dopasowane do siebie - górne do dolnych - na wzór trybików w kółkach zębatych. Wydawało się, że zgrzytają i dymią w jego ustach, jak obrotowe ostrza kosiarki; poruszają się

tak szybko, że wydaje się, jakby stały w miejscu. Ten chłopak wyglądał tak, jakby pożerał skautów na kolację. Z tego co wiedziałem, mogło tak być.

- Ty stary *draniu*, aleś ty gładziutki! - z namaszczaniem puścił oko w stronę Joego. - Ty stary draniu, wyglądasz gładziej niż sowie gówienko! - *LUP!* kolejne walnięcie w plecy. Poczulem się bardzo mały. Jakies piętnaście centymetrów, powiedziałbym. Bałem się go - miałem ponure przeczucie, że gdybym miał z nim walczyć, albo wycofać się rakiem, zanim ten dzień dobiegnie końca, to prawdopodobnie wycofałbym się.

- Nie złam mi kręgosłupa, dobrze? - powiedziałem. Ale Dicky nie dał spokoju. Czepiał się i czepiał, dopóki nie doszliśmy do domu Carol. Poznałem straszną prawdę, kiedy tylko przeszliśmy przez drzwi. Nikt nie był wystrojony. Carol stała na środku pokoju i wyglądała naprawdę prześlicznie.

To bolało. Wyglądała prześlicznie i swobodnie, przyciemnione szkło wyrafinowania zaczynało już przysłańać niedojrzałość. Bez wątpienia nadal szlochała i miewała napady złości, i zamykała się w łazience, bez wątpienia nadal słuchała płyt Beatlesów, a za ramę lustra przy toalecie zatkniętą miała fotografię Davida Cassidy'ego, który był bożyszczem tego roku, ale żadnej z tych rzeczy nie było po niej widać. I to właśnie fakt, że nie było tego po niej widać, bolał mnie i sprawiał, że czulem się pomniejszony. Na włosach zawiązaną miała apaszkę w rdzawym kolorze. Wyglądała na piętnaście lub szesnaście lat, zaczynała już wypełniać się z przodu. Ubrana była w brązową sukienkę. Śmiała się i gestykulowała, stojąc z grupą dzieciaków.

Dicky i Joe podeszli do niej i wręczyli prezenty, a ona śmiała się, kiwała głową i och dziękuje, i o mój Boże, ale nadal wyglądała ślicznie.

Zdecydowałem, że wychodzę. Nie chciałem, żeby zobaczyła mnie w muszce i sztruksowym garniturze z małymi, mosiężnymi guziczkami. Nie chciałem patrzeć na nią, jak rozmawia z Dickym Cable, który dla mnie wyglądał jak ludzka kosiarka, ale dla niej wydawał się prezentować zupełnie dobrze. Wymyśliłem, że mógłbym wymknąć się, zanim ktoś dobrze mi się przyjrzy. Jak Lamont Cranston, Ciebie, mógłbym zmać kilka umysłów, a następnie zwać. Miałem w kieszeni dolca, którego zarobiłem poprzedniego dnia, pieląc ogródek kwiatowy pani Katzentz, więc mógłbym iść do kina w Brunswick, jeżeli znalazłbym kogoś, kto mnie podrzuci, i tam, siedząc w ciemności, solidnie poużalać się nad sobą.

Nic z tego nie wyszło. Zanim zdołałem choćby wymacać klamkę u drzwi, dosięgło mnie spojrzenie pani Granger.

To zdecydowanie nie był mój dzień. Wyobraźcie sobie plisowaną spódnice i jedną z tych przejrzystych szyfonowych bluzek nałożone na czołg Shermana. Czołg z dwiema wieżyczkami strzelniczymi. Jej fryzura wyglądała, jakby przeszedł przez nią huragan, każdy kosmyk sterczał w inną stronę. Dwa z nich jakimś cudem trzymały się razem, dzięki wielkiej, jadowniciej żółtej, satynowej kokardzie.

"Charlie *Decker!*" zapiszczała i rozpostarła ramiona, które wyglądały jak bochny chleba. *Duże bochny*. O mały włos nie stchórzyłem i nie rzuciłem się do ucieczki. Była jak lawina, która tylko czeka, żeby się przydarzyć. Była wszystkimi potworami z japońskich horrorów, Ghidrą, Mothrą, Godzillą i Straszliwym Tukkanem w jednej osobie, toczącej się teraz przez salon Grangerów. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że wszyscy się na mnie gapili - wiecie, co mam na myśli.

Pani Granger obśliniła mi policzek pocałunkiem i pisnęła z zachwyty, "No proszę, czyż nie wyglądasz *ślicznie?*". A ja, przez jedną koszmarną sekundę, spodziewałem się, że doda: "Gładziej niż sowie *gówienko!*".

Tak czy inaczej, nie mam zamiaru zamećać was, ani siebie, wszystkimi szczegółami tego dnia. Jaki byłby w tym sens? Wiecie już o co mi chodzi. Trzy godziny czystego piekła. Dicky

powtarzał "No proszę, czyż nie wyglądasz *ślicznie*?" przy każdej nadarzącej się okazji; kilkoro innych dzieciaków podeszło bliżej, żeby zapytać mnie, kto umarł.

Joe był jedynym, który stał po mojej stronie, ale nawet to mnie zawstydzalo. Widziałem, jak mówi wszystkim, żeby spadali, i wcale nie byłem z tego zadowolony. Czułem się przez to jak wioskowy głupek.

Myślę, że jedyną osobą, która mnie w ogóle nie zauważyła, była Carol. Czułbym się zakłopotany, gdyby podeszła do mnie i poprosiła do tańca, kiedy muzyka zaczęła grać, ale czułem się jeszcze bardziej zakłopotany, ponieważ tego nie zrobiła. Nie umiałem tańczyć, ale liczą się dobre chęci.

Tak więc stałem jak kołek, kiedy Beatlesi śpiewali "The Ballad of John and Yoko" i "Let it Be", kiedy Adreizi Brothers śpiewali "We Gotta Get It On Again", kiedy Bobby Sherman wyśpiewywał "Hey, Mr. Sun" w swoim doskonale niemelodyjnym stylu. Stałem jak najlepsza w świecie imitacja doniczki, podczas kiedy przyjęcie toczyło się wokół mnie. Jakżeby inaczej. Wydawało się, że będzie tak trwać w nieskończoność, lata przemkną wokół jak liście na wietrze, samochody zmienią się w porzewiałe wraki, domy pochylą się ku upadkowi, rodzice obrócą w proch, narody powstaną i upadną. Miałem przecucie, że nadal będziemy tutaj, kiedy Archanioł Gabriel spłynie z nieba, ściskając w jednej dłoni trąbę Sądu Ostatecznego, a w drugiej prezencik urodzinowy. Mieliśmy lody, mieliśmy wielki tort z napisem WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, CAROL wykonanym zielonym i czerwonym lukrem, było więcej tańców, a kilka osób chciało zagrać w butelkę, ale pani Granger zaśmiała się wesoło i powiedziała, że nie, haha, nie nie nie. O nie.

Wreszcie Carol klasnęła w dłonie i zadecydowała, że wychodzimy na dwór i będziemy grać w "podążaj za przywódcą", grę, która zadaje palące pytanie: Czy jesteś gotów zaadaptować się do społeczeństwa?

Wszyscy wysypali się na zewnątrz. Słyszałem, jak biegają wokół i mają niezły ubaw, albo to, co uchodzi za ubaw, kiedy jesteś częścią dojrzewającego płciowo tłumu. Trochę ociągałem się z wyjściem, na wpół mając nadzieję, że Carol zatrzyma się chociaż na moment, ale ona pospieszyła razem z innymi. Wyszedłem i stanąłem na werandzie, obserwując. Joe też tam siedział, z jedną nogą przerzuconą przez balustradę i obaj patrzyliśmy. W jakiś sposób Joe zawsze wydawał się znajdować tam, gdzie ja w końcu lądowałem, i obserwować, z jedną nogą przerzuconą przez cokolwiek.

- Ona zadziera nosa. - zawyrokował w końcu.

- Nieee. Jest po prostu zajęta. Dużo ludzi. No wiesz.

- Gówno prawda. - powiedział Joe.

Milczeliśmy przez chwilę. Ktoś zawołał, "Hej, Joe!"

- Ubrudziś sobie całe to ubranko, jeżeli pójdziesz grać. - stwierdził Joe. - Twoja matka dostanie kota.

- I to jakiego. - odpowiedziałem.

- Chodź, Joe! - Tym razem to była Carol. Przebrała się w dzinsy, prawdopodobnie zaprojektowane przez Edith Head, i wyglądała bardzo ładnie, zarumieniona i śliczna. Joe spojrzał na mnie. Uważał, że powinien się mną opiekować i nagle poczułem przerażenie większe niż kiedykolwiek, od czasu, kiedy to obudziłem się na tej nieszczęsnej wyprawie łowieckiej. Bycie czymś obowiązkiem sprawia, że po jakimś czasie ta osoba cię znienawidzi - i tego właśnie się przestraszyłem - że któregoś dnia Joe mógłby mnie znienawidzić. Nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy, nie w wieku dwunastu lat, ale intuicyjnie wyczuwałem pewne rzeczy.

- Idź. - powiedziałem.

- Jesteś pewien, że nie chcesz...

- Tak. Tak. I tak już chciałem zbierać się do domu.

Patrzyłem jak odchodzi, odrobinę zraniony tym, że nie zaproponował, że pójdzie ze mną, ale w jakiś sposób pełen ulgi. Zszedłem na trawnik i zacząłem iść w kierunku ulicy.

Dicky zauważył mnie. "Już uciekasz, przystojniaku?"

Powinienem powiedzieć coś błyskotliwego, w rodzaju: Tak. Pozdrów ode mnie Broadway. Zamiast tego, powiedziałem mu, żeby się zamknął.

Przyskoczył do mnie, jakby tylko na to czekał, z tym wielkim kosiarkowy uśmiechem, zakrywającym całą dolną połowę jego twarzy. Pachniał zielenią i agresją, jak pnącza w dżungli.

- Co powiedziałaś, przystojniaczku?

Wszystko zebrało się razem i poczułem się paskudnie. Naprawdę paskudnie. Mógłbym nawet napluć na Hitlera, taki wredny się czułem.

- Powiedziałem, żebyś zamknął gębę. I zjeżdż mi z drogi.

( W klasie, Carol Granger zasłoniła oczy rękami... ale nie kazała mi przestać. Szanowałem ją za to.)

Wszyscy gapili się na nas, ale nikt nie zareagował. Pani Granger była w domu i śpiewała "Swanee" ile sił w płucach.

- Może wydaje ci się, że ty potrafisz zamknąć mi gębę. - Przeczesał dłonią swoje przetłuszczone włosy.

Odepchnąłem go na bok. Czułem się tak, jakbym był na zewnątrz siebie. To był pierwszy raz, kiedy poczułem się w taki sposób. Ktoś inny, jakiś inny ja, siedział na miejscu woźnicy. Ja tylko załapałem się na przejazdzkę, to wszystko.

Zamierzył się na mnie; jego pięść zatoczyła łuk i uderzyła mnie w ramię. Cios prawie sparaliżował mi mięśnie ręki. Jezus, to naprawdę bolało. Jakby ktoś walnął mnie kulą z lodu. Schwyciłem go, ponieważ nigdy nie potrafiłem boksować i popchnąłem w tył, poprzez trawnik, ten jego wielki uśmiech parował i dymił na mnie. Wrył się obcasami w grunt, otoczył ramieniem moją szyję, jakby miał zamiar mnie pocałować. Drugą pięścią zaczął okładać mnie po plecach, ale to było tak, jakby ktoś pukał w drzwi, dawno temu i daleko stąd. Potknęliśmy się o ozdabiającego trawnik różowego flaminga i rąbnęliśmy na ziemię.

Dicky był silny, ale ja byłem zdesperowany. Ni z tego, ni z owego, pokonanie Dicky'ego Cable'a stało się moją życiową misją. Tak jakbym tylko po to się narodził. Przypomniałem sobie biblijną przypowieść, jak to Jakub siłował się z aniołem i zachichotałem szaleńczo wprost w twarz Dicky'ego. Byłem na gorze i walczyłem, żeby tam pozostać.

Nieoczekiwanie wyslizgnął się spode mnie - był obrzydliwie śliski - i zdzielił mnie jedną ręką w szyję.

Wydałem z siebie krótki okrzyk i upadłem na brzuch. Nawet nie zdążyłem się obejrzeć, a już siedział mi okrakiem na plecach. Próbowałem się odwrócić, ale nie mogłem.

Nie mogłem. Pobije mnie, ponieważ nie mogłem się ruszyć. To było bezsensowne i straszne. Zastanawiałem się, gdzie była Carol. Pewnie przyglądała się nam. Wszyscy się przyglądali. Czułem jak moja sztruksowa marynarka pruje się pod pachami, guziki z wytłaczanymi herbami odrywały się, jeden po drugim, szorując po twardej ziemi. Ale nie mogłem się odwrócić.

Dicky się śmiał. Chwyił mnie za głowę i uderzył nią o ziemię, jak dmuchaną piłką. "Hej, przystojniaczku!" Łup. W oczach widziałem gwiazdy, w ustach czułem smak trawy. Teraz ja byłem kosiarką. "Hej, przystojniaczku, czyż nie wyglądasz *ślicznie*?" Podniósł moją głowę, trzymając za włosy i jeszcze raz uderzył nią o ziemię. Zacząłem płakać.

"No, czyż nie wyglądasz e-le-le-gancko!" krzyczał wesoło Dicky Cable i tłuł moją głowę o ziemię, jeszcze raz, i jeszcze! "Naprawdę wyglądasz *cuuuuudownie*."

A później nie było go już na mnie, Joe go odciągnął. "Wystarczy tego, do jasnej cholery!" wołał. "Nie widzisz, że już wystarczy?"

Wstałem, nadal płacząc. We włosach miałem pełno piachu. Głowa nie bolała mnie aż tak mocno, żebym płakał, ale płakałem. Nie mogłem się powstrzymać. Wszyscy wokół gapili się na mnie, z tymi zabawnymi minami, pełnymi poczucia winy, jakie przybierają dzieciaki kiedy sytuacja posunie się za daleko, a ja zdawałem sobie sprawę, że oni nie chcą na mnie patrzeć i oglądać, jak płaczę. Spoglądali na swoje stopy, jakby chcieli się upewnić, że wciąż są na miejscu. Rzucali spojrzenia na siatkowe ogrodzenie, żeby mieć pewność, że nikt go właśnie nie kradnie. Kilkoro z nich wpatrywało się w basen na sąsiednim podwórzu, ot tak, na wypadek, gdyby ktoś zaczął tonąć i potrzebował szybkiej pomocy.

Carol też tam stała. Zaczęła robić krok do przodu, ale rozejrzała się, żeby zobaczyć, czy ktoś jeszcze się do niej przyłączył. Nie było chętnych. Dicky Cable czesał włosy. Nie były pełne piasku. Carol cofnęła stopę. Wiatr robił zmarszczki na jej bluzce.

Pani Granger przestała wyśpiewywać "Swanee". Stała na werandzie z szeroko otwartymi ustami.

Joe podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu. "Hej, Charlie," powiedział, "Co ty na to, żebyśmy już poszli, co?"

Próbowałem go odepchnąć, ale osiągnąłem tylko tyle, że upadłem. "Zostaw mnie w spokoju!" wrzasnąłem na niego. Głos miałem ochrypliwy i zdarty. Bardziej przypominał łkanie niż krzyk. Przy sztruksowej marynarce zachował się tylko jeden guzik, i w dodatku wisiał na ostatniej nitce. Na spodniach miałem zielone plamy z trawy. Zacząłem czołgać się po zrytej ziemi, wciąż płacząc i zbierając guziki. Twarz mnie paliła.

Dicky nucił pod nosem jakąś żwawą melodyjkę i wyglądał tak, jakby rozważał ponowne poprawienie fryzury. Patrząc wstecz, nie mogę go za to nie podziwiać. Przynajmniej nie zamierzał ronić krokodylich łez nad całym tym wydarzeniem.

Pani Granger zmierzała w moim kierunku, kołysząc się jak kaczka.

- Charlie... Charlie, *skarbie*...

- Zamknij się, gruba stara *ruro*! - wrzasnąłem. Nic nie widziałem. Wszystko rozmazywało mi się przed oczami, twarze wydawały się tłoczyć wokół mnie, a z każdej dłoni wyrastały szpony. Nie mogłem dostrzec nawet reszty guzików, żeby je pozbierać. - Gruba stara *rura*!

A potem uciekłem.

Zatrzymałem się za opuszczonym domem na Willow Street i siedziałem tam, dopóki moje łzy nie obeschły. Pod nosem miałem zaschnięte smarki. Naplułem na chusteczkę i wytarłem je. Wydmuchałem nos. Jakiś uliczny kot przespacerował obok mnie, próbowałem go pogłaskać, ale uciekał przed moją ręką. Wiedziałem dokładnie jak się czuł.

Garnitur miałem porządnie sponiewierany, lecz nie przejmowałem się tym. Nie przejmowałem się nawet reakcją mojej mamy, chociaż przypuszczalnie zadzwoni do matki Dicky'ego Cable'a i złoży skargę, kulturalnie, i nie podnosząc głosu. Ale co z moim ojcem. Jakbym go widział, siedzącego, spoglądającego na mnie ze starannie pokerową miną i mówiącego: Ciekaw jestem, *jak wygląda ten drugi facet?*

I moje kłamstwo.

Siedziałem tam przez dobrą godzinę, snując plany - pójdę do szosy, wystawię kciuk, złapię okazję, wyjadę z miasta i nigdy tutaj nie wrócę.

W końcu jednak poszedłem do domu.

## Rozdział 23

Na zewnątrz zdążył sformować się regularny zjazd policjantów. Błękitne wozy policji stanowej, białe krążowniki wydziału policji z Lewiston i czarno - białe z Brunswick, i jeszcze dodatkowo dwa z Auburn. Policjanci odpowiedzialni za ten samochodowy wysyp z rogu obfitości biegali w tę i z powrotem, pochyleni nisko nad ziemią. Pojawiało się więcej reporterów. Ustawiali kamery, wyposażone w teleobiektywy podobne do węzowych głów, na maskach swoich wozów. W poprzek drogi, zarówno powyżej, jak i poniżej szkoły ustawiono blokady z kozłów do piłowania drewna, razem z podwójnymi rzędami tych okopconych małych lampek naftowych - dla mnie one zawsze wyglądały jak bomby zrobione przez jakiegoś anarchistę z kreskówki. Ludzie z departamentu robót publicznych ustawili napis OBJAZD. Pewnie dlatego, że nie mieli na składzie niczego bardziej stosownego - zwolnij! SZALENIEC PRZY PRACY!, na przykład. Don Grace i dobry stary Tom mieli właśnie do czynienia z wielkim, masywnym mężczyzną, odzianym w mundur policji stanowej. Don wydawał się nieomal rozzłoszczony. Duży masywny facet słuchał, ale potrząsał głową. Zakładałem, że to kapitan Frank Philbrick z Policji Stanowej Maine. Zastanawiałem się, czy wiedział, że stoi wprost na mojej linii strzału.

Carol Granger przemówiła drżącym głosem, wstyd malujący się na jej twarzy zaniepokoił mnie. Nie opowiedziałem tamtej historii, żeby ją zawstydzić.

- Byłam tylko dzieckiem, Charlie.

- Wiem o tym. - odpowiedziałem i uśmiechnąłem się. - Wyglądałaś niesamowicie ładnie tego dnia. Z całą pewnością nie jak dziecko.

- W pewnym sensie podkochiwałam się wtedy w Dickym Cable'u.

- Po przyjęciu i tym wszystkim?

Wyglądała na jeszcze bardziej speszoną. - Bardziej niż kiedykolwiek. Poszłam z nim na piknik z okazji ukończenia ósmej klasy. Wydawał się... och, odważny, tak myślę. Dziki. Na pikniku on... no wiesz, zaczął być nachalny, a ja mu pozwoliłam, tylko na troszkę. Ale to był jeden jedyny raz, kiedy gdziekolwiek z nim poszłam. Nawet nie mam pojęcia gdzie teraz jest.

- Na naszym cmentarzu. - stwierdził bezbarwnym tonem Dick Keene.

Paskudnie mnie to przestraszyło. To było tak, jak gdybym nagle zobaczył ducha pani Underwood. Wciąż mogłem wskazać miejsca, w które oberwałem od Dicky'ego. Myśl, że chłopak, który mnie pobił, nie żyje wzbudziła dziwną, niemal senną grozę w moim umyśle - a na twarzy Carol mogłem dojrzeć odbicie tego, co sam czułem. *Zaczął być nachalny, a ja mu pozwoliłam, tylko na troszkę*, powiedziała. Co, dokładnie, znaczyło to stwierdzenie w ustach błyskotliwej wkrótce-studentki, jaką była Carol? Może ją pocałował. Może nawet zaszył się z nią gdzieś w gęstwinie krzaków i badał dziewicze terytorium jej rozwijającej się klatki piersiowej. Na pikniku z okazji zakończenia szkoły, Boże zmiłuj się nad nami. Był odważny i dziki.

- Co się z nim stało? - zapytał Don Lordi.

Dick mówił powoli. - Potrącił go samochód. To było naprawdę zabawne. Znaczący, nie takie do śmiechu, ale dziwaczne. Zrobił prawo jazdy dopiero co, w październiku, i prowadził jak głupek. Jak kompletny wariat. Myślę, że chciał udowodnić wszystkim, że ma, no wiecie, jaja. Doszło do tego, że prawie nikt nie chciał z nim jeździć. Miał Pontiaca z 1966, sam zrobił całą blacharkę. Polakierował go na butelkowiezielony kolor, a po stronie pasażera namalował asa pik.

- No jasne, widywałem go w okolicy. - wtrącił Melvin. - Przeważnie na drodze do Harlow.

- Zamontował czterobiegową skrzynię biegów Hearsta, sam, bez niczyjej pomocy. - mówił Dick. - Czterocyldrowy gaźnik, wał rozrządczy górny, wtrysk paliwa. Wóz chodził jak

marzenie. Dochodził do stu czterdziestu na drugim biegu. Byłem z Dickim pewnej nocy, kiedy to rozpędziliśmy się do stu pięćdziesięciu na godzinę. Jeździliśmy bez celu po Brisett's Bend i nagle wpadliśmy w poślizg. Uderzyłem o podłogę. Masz rację, Charlie. On dziwnie wyglądał, kiedy się uśmiechał. Nie wiem, czy wyglądał akurat jak kosiarka, ale z całą pewnością wyglądał dziwnie. Szczurzył zęby przez cały ten czas, kiedy ślizgaliśmy się po szosie. I powtarzał... tak jakby do siebie samego, powtarzał "Nie mogę go utrzymać, nie mogę go utrzymać", w kółko i w kółko to samo. Ale jednak dał radę, zmusiłem go, żeby się zatrzymał i poszedłem do domu. Nogi miałem jak z gumy. Kilka miesięcy później został potrącony przez ciężarówkę dostawczą w Lewiston, kiedy przechodził na drugą stronę Lisbon Street. Randy Milliken był razem z nim, i opowiadał później, że nawet nie był pijany, ani naćpany. Wina leżała bezspornie po stronie kierowcy ciężarówki. Poszedł nawet do więzienia na trzy miesiące. Ale Dicky był martwy. Zabawne.

Carol była zupełnie biała i wyglądała, jakby było jej niedobrze. Obawiałem się, że może zemdleć, więc żeby skierować jej myśli na inne tory, zapytałem

- Czy twoja mama była na mnie wściekła, Carol?
- Hmm? - Rozejrzała się wokół w dziwny, zaskoczony sposób.
- Nazwałem ją rurą. Grubą starą rurą, o ile pamiętam.
- Och. - Carol zmarszczyła nos, a później uśmiechnęła się, wdzięczna, jak sądzę, za to, że zmieniłem temat. - Była. Pewnie, że była. Sądziła, że cała ta bójka wybuchła z twojej winy.
- Twoja matka należała razem z moją do tego klubu, prawda?
- Książki i Karty? Tak. - Jej nogi wciąż nie były skrzyżowane, a teraz jeszcze odrobinę rozsunęła kolana. Roześmiała się. - Wiesz, Charlie, tak naprawdę nigdy nie przepadałam za twoją matką, chociaż znałam ją tylko z widzenia, na tyle, że kilka razy powiedziałam jej dzień dobry. Moja mama ciągle opowiadała, jak niesamowicie *inteligentna* jest pani Decker, jak *doskonale* orientuje się w zawiłościach opowiadań Henry'ego Jamesa, i takie tam. I o tym, jakim wspaniałym małym *dżentelmenem* ty byłeś.

- Gładszym niż sowie gówienko. - zgodziłem się ponuro. - Wiesz co, ja wysłuchiwałem tego samo o tobie.

- Naprawdę?
- Pewnie. - Pewna myśl zerwała się na równe nogi i walnęła mnie prosto w nos. Jakim cudem mogłem nie wpaść na to przez tyle czasu, taki stary mądrała jak ja? Zaśmiałem się z nagłą, cierpką radością. - I założę się, że wiem dlaczego matka była taka zdecydowana wbić mnie w ten garnitur. To się nazywa "Swatanie", albo "Czy Nie Byłaby Z Nich Śliczna Para?", albo też "Pomyśl O Genialnym Potomstwie". Gra, która jest popularna w najlepszych rodzinach. Carol. Wyjdiesz za mnie?

Carol patrzyła na mnie z otwartymi ustami.

- To znaczy, że one... - nie mogła dokończyć zdania.

- Tak właśnie myślę.

Uśmiechnęła się; wyrwał jej się krótki chichot. Wreszcie roześmiała się w głos. To wyglądało na lekkie nieposzanowanie zmarłej, ale nie zwróciłem na to uwagi. Prawdę mówiąc, pani Underwood nigdy nie zajmowała mniej miejsca w moich myślach. Prawie na niej stałem.

- Ten wielki facet tutaj idzie. - powiedział Billy Sawyer.

Jak można było oczekiwać, Frank Philbrick maszerował energicznie w kierunku szkoły, nie rozglądając się ani w lewo, ani w prawo. Miałem nadzieję, że fotografowie złapią go z lepszego profilu; kto wie, może będzie chciał wykorzystać niektóre z tych zdjęć jako kartki świąteczne na tegoroczne Boże Narodzenie. Przeszedł przez drzwi frontowe. Słyszałem przytłumiony, jakby dochodzący z innego świata, odgłos jego kroków w korytarzu, słyszałem

jak zatrzymuje się, a następnie idzie na górę, do biura. Przyszło mi do głowy, że w jakiś dziwny sposób, Philbrick dopiero tutaj zaczął wydawać się realny. Wszystko to, co za oknem, to była jedynie telewizja. To oni byli programem, nie ja. Moi koledzy z klasy czuli się w ten sam sposób; widziałem to w ich twarzach.

Cisza.

*Brzdęk.* Interkom.

- Decker?

- Tak, proszę pana? - zapytałem.

Należał do gatunku sapaczy. Można było wyraźnie usłyszeć jak dyszał i dmuchał do mikrofonu, tam na górze, jak jakieś duże, zmęczone zwierzę. Nigdy tego nie lubiłem, przez całe życie. Mój ojciec oddycha tak ciężko, kiedy rozmawia przez telefon. Sapał też w samochodzie, tak, że można było wyczuć woń szkockiej i Pall Malli w jego oddechu. Zawsze wydawało mi się to niehigieniczne i w jakiś sposób kojarzyło z homoseksualizmem.

- Wpakowałeś nas wszystkich w bardzo osobliwą sytuację, Decker.

- Tak, sądzę że tak, proszę pana.

- Niespecjalnie podoba nam się myśl, że będziemy musieli cię zastrzelić.

- Nie, proszę pana, mnie też nie. Nie radziłbym wam próbować.

Ciężki oddech. - W porządku, wyjdźmy z kurnika i zobaczmy, jakie jajka ukrywasz w koszyku. Jak jest twoja cena?

- Cena? - zapytałem. - Cena? - Przez jeden zwariowany moment miałem wrażenie, że bierze mnie za interesujący rodzaj mówiącego mebla - krzesło Morns, powiedzmy, wyposażone specjalnie, żeby znęcić potencjalnego klienta, w wszelkie rodzaje adekwatnych informacji. W pierwszej chwili ten pomysł wydał mi się zabawny. Później doprowadził mnie do wściekłości.

- Za to, że pozwolisz im odejść. Czego chcesz? Czasu antenowego? Załatwione. Chcesz wygłosić jakieś oświadczenie dla gazet? Nie ma sprawy. *Parsk-parsk-chrap.* I wzajemnie, puf-puf-puf. - Ale zróbmy to i miejmy już za sobą tę sprawę, zanim utknie nam ona w gardle. Musisz nam jednak powiedzieć, czego żądasz.

- Pana. - stwierdziłem.

Oddech urwał się. Później znów zabrzmiał, sapiący i dmuchający. Naprawdę, zaczynał działać mi na nerwy.

- Musisz to wytłumaczyć. - odezwał się.

- Oczywiście, proszę pana. - odparłem. - Zawrzemy układ. Czy chce pan zawrzeć układ? Czy o tym pan mówił?

Brak odpowiedzi. Puf, chrap. W każdy Dzień Pamięci i Święto Pracy, Philbrick prosił wszystkich o ostrożną jazdę w wiadomościach o szóstej, czytając tę wiadomość z telepromptera ociężale i z wyraźnym brakiem umiejętności. To było fascynujące i nieomal ujmujące. Wiedziałem, że jest w nim coś znajomego, coś bliskiego, co miało posmak *deja vu*. Teraz już to uchwyciłem. To ten oddech. Nawet w telewizji brzmiał jak byk przygotowujący się do pokrycia krowy Farmera Browna za stodołą.

- Jaka jest twoja propozycja?

- Najpierw proszę mi coś powiedzieć. - powiedziałem. - Czy na zewnątrz jest ktoś, kto sądzi, że mógłbym zdecydować się na sprawdzenie ile osób mogę tutaj rozwalić? Don Grace, na przykład?

- To chodzące *gówno*. - palnęła Sylvia, po czym zakryła usta dłonią.

- Kto to powiedział? - warknął Philbrick.

Sylvia zbladła jak ściana.



- Ja. - powiedziałem. - Mam też niejakie skłonności transseksualne, proszę pana - Spodziewałem się, że nie będzie wiedział co to znaczy, a będzie zbyt ostrożny, żeby pytać. - Czy może pan odpowiedzieć na moje pytanie?

- Niektóre osoby sądzą, że mógłbyś do reszty ześwirować, tak. - odpowiedział z rozwagą. Ktoś z tyłu klasy prychnął nerwowym śmiechem. Interkom chyba tego nie wychwycił.

- Dobrze, w takim razie. - stwierdziłem. - Układ jest następujący. Będzie pan bohaterem. Proszę tutaj przyjść. Bez broni. Wejdzie pan do środka z rękami na głowie. Ja pozwolę wszystkim wyjść. A następnie odstrzelę panu pański pierdolony łeb. Proszę pana. Jak się podoba taki układ? Kupuje pan to?

*Puf, chrap, dmuch.*

- Masz niewyparzoną gębę, koleś. Tam są dziewczęta. Młode dziewczyny.

Irma Bates rozejrzała się wokół, zaskoczona, jak gdyby ktoś zawołał ją po imieniu.

- Układ. - przypomniałem. - Układ.

- Nie. - odparł Philbrick. - Zastrześliłbyś mnie, a później i tak zatrzymał zakładników. Puf, *chrap.* - Ale zejdem na dół. Może uda nam się coś wymyślić.

- Koleś. - powiedziałem cierpliwie. - Jeżeli przestaniesz gadać, a ja po piętnastu sekundach nie zobaczę jak wychodzisz tymi samymi drzwiami, którymi wszedłeś, to przerobię kogoś tutaj na fontannę.

Nikt nie wydawał się szczególnie przejmować myślą, że zostanie przerobiony na fontannę.

Puf, puf. - Twoje szanse na wyjście z tej sytuacji z życiem maleją z każdą chwilą.

- Frank, przyjacielu, żaden z nas nie wyjdzie z tego żywy. Nawet mój stary to wie.

- Wyjdiesz na zewnątrz?

- Nie.

- Jeżeli tak wolisz. - nie wydawał się przygnębiony. - Jest z tobą chłopiec nazwiskiem Jones. Chcę z nim porozmawiać.

Nie widziałem w tym nic złego.

- Masz głos, Ted. - powiedziałem mu - To twoja wielka szansa, chłopie. Nie spieprz jej. Ludziska, ten oto dzieciak zamierza stoczyć walkę ze swoimi jajami dokładnie na waszych oczach.

Ted spoglądał wyczekująco na czarną kratkę interkomu.

- Mówi Ted Jones, proszę pana. - W jego ustach "proszę pana" brzmiało dobrze.

- Czy wszyscy w klasie nadal dobrze się czują, Jones?

- Tak, proszę pana.

- Jak oceniasz równowagę psychiczną Deckera?

- Myślę, że jest zdolny do wszystkiego. - powiedział, patrząc wprost na mnie. W jego oczach było dzikie, pożądliwe spojrzenie. Carol zdenerwowała się nagle. Otworzyła usta, jakby chciała odeprzeć ten zarzut, a później, być może przypomniawszy sobie o swoich przyszłych obowiązkach jako absolwentki i Światła Przewodnego Zachodniego Świata, zamknęła je z trzaskiem.

- Dziękuję panu, panie Jones.

Ted wyglądał na absurdalnie zadowolonego, że został nazwany panem.

- Decker?

- Słucham.

*Chrap, chrap.*

- Do zobaczenia.

- Lepiej, żebym ja pana zobaczył. - powiedziałem - Piętnaście sekund. - Później, jak gdyby po namyśle - Philbrick?

- Tak?

- Masz gówniany nawyk, wiesz? Zauważyłem go w tych wszystkich telewizyjnych pogadankach "jedźcie ostrożnie", które wygłaszasz. Dyszysz ludziom prosto w uszy. Wydajesz odgłosy jak podniecony ogier, Philbrick. To gówniane przyzwyczajenie. Oprócz tego, mówisz, jakbyś czytał z telepromptera, nawet kiedy tak nie jest. Powinieneś zadbać o takie szczegóły. Możesz uratować czyjeś życie.

Philbrick dyszał i parskał z namysłem.

- Chrzań się, kolego. - skwitował, i interkom wyłączył się z kliknięciem.

Dokładnie dwanaście sekund później wyszedł przez główne drzwi, krocząc przed siebie zdecydowanie i zamasyście. Kiedy dotarł do zgromadzonych na trawniku samochodów, rozpoczęła się kolejna konferencja. Philbrick mocno wymachiwał rękami.

Nikt nic nie mówił. Pat Fitzgerald w zamyśleniu żuł paznokcie. Świńskie Koryto wziął do ręki następny ołówek i studiował go. A Sandra Cross przyglądała mi się bacznie. Wydawało się, że pomiędzy nami jest jakaś mgiełka, która sprawia, że Sandra promienieje.

- A co ze sprawami płci? - odezwała się zniecka Carol, a kiedy wszyscy spojrzeli na nią, zarumieniła się.

- Męska. - powiedział Melvin, a kilku mięśniaków z tyłu sali zarechotało.

- Co masz na myśli? - zapytałem.

Carol sprawiała wrażenie, jakby bardzo żałowała, że jej usta nie są zaszyte na wieki. - Myślałam, że kiedy ktoś zaczyna zachowywać się... no cóż... no wiesz, dziwnie... - Urwała, zmieszana, ale Susan Brooks rzuciła się do obrony.

- To prawda. - oznajmiła - A wy powinniście przestać się tak głupio uśmiechać. Wszyscy sądzą, że seks to coś nieprzyzwoitego. To połowa naszych problemów. Boimy się tego. - Spojrzała opiekuńczo na Carol.

- O to mi właśnie chodziło. - powiedziała Carol. - Czy ty... no, czy miałaś jakieś przykre doświadczenia?

- Nic, od momentu kiedy przespałem się z moją mamą. - stwierdziłem beznamiętnie.

Jej twarz przez chwilę wyrażała kompletny szok, dopóki nie zorientowała się, że żartuję. Świńskie Koryto zaśmiał się smętnie i powrócił do oglądania ołówka.

- Nie, naprawdę. - nalegała.

- Dobrze. - odpowiedziałem, marszcząc czoło. - Opowiem o swoim życiu seksualnym, jeżeli ty opowiesz o swoim.

- Och... - znów wyglądała na zszokowaną, lecz tym razem sprawiło jej to przyjemność.

Gracie Stanner roześmiała się. - Wykrztuś to, Carol.

Od dawna miałem niejasne wrażenie, że te dwie dziewczyny nie darzą się przesadnym uczuciem, ale teraz Grace wyraźnie robiła sobie żarty - jak gdyby jakieś oczywiste, ale nigdy nie sprecyzowane nierówności pomiędzy nimi zostały wygładzone.

- Hurra, hurra. - powiedział Corky Herald, szczerząc zęby.

Carol zaczerwieniła się z wściekłości.

- Przepraszam, że zapytałam.

- Dalej. - odezwał się Don Lordi. - To nie będzie bolało.

- Każdy może powiedzieć. - zaczęła Carol - Wiem, że... że ludzie gadają.

- Sekrety. - wyszeptał ochryple Mike Gavin. - Zdradź mi więcej sekretów. - Wszyscy się roześmiali, ale to zaczynało wyglądać na poważną sprawę.

- Nie postępujesz uczciwie. - stwierdziła Susan Brooks.

- To prawda. - odpowiedziałem. - Zostawmy to w spokoju.

- Och... wszystko jedno. - powiedziała Carol - Będę mówić. Coś wam opowiem.

Teraz ja z kolei byłem zaskoczony. Wszyscy patrzyli na nią z wyczekiwaniem. Właściwie nie wiem, o czym spodziewali się usłyszeć - o paskudnym przypadku zazdrości o penisa, być

może, albo o Dziesięciu Nocach ze Świeczką. Wyobrażałem sobie, że będą mocno rozczarowani, cokolwiek by to nie było. Żadnego biczowania, żadnych łańcuchów, żadnych spoconych nocy. Małomiasteczkowa dziewczina, świeża, bystra, ładna, a któregoś dnia, być może, wyfrunie z Placerville i zacznie żyć naprawdę. Czasami zmieniają się w college'u. Niektóre z nich odkrywają egzystencjalizm i anomie, i fajki z haszem. Niektóre tylko przyłączają się do stowarzyszeń studenckich i nadal żyją tym słodkim marzeniem, które zaczęło się w gimnazjum, marzeniem tak typowym dla małomiasteczkowych dziewczyc, że mogłoby niemal być wykrojem z Simplicity, jak pulower, albo bluzeczka Twoje Pyszniutkie Lato, albo balowa spódnica. Błyskotliwi chłopcy i dziewczęta wywierają wrażenie na ludziach. Jeżeli taki bystrzak ma skrzywiony charakter, to wyjdzie to na jaw. Jeśli zaś nie, to możesz rozszyfrować ich równie łatwo jak pierwiastki kwadratowe. Dziewczyny w rodzaju Carol mają stałego chłopaka i lubią niewielkie pieszczoty (ale jak śpiewają The Tubes "Nie dotykaj mnie tam"), nic zdrożnego. Myślę, że to okej. Mógłbyś oczekiwać czegoś więcej, ale, bardzo mi przykro, nic z tego. Inteligentne dzieciaki są jak obiady z mrożonek. To w porządku. Nie przykładam wielkiej wagi do tego konkretnego zagadnienia. Mądre dziewczyny są w pewnym sensie nudne.

Carol Granger pasowała do tego wizerunku. Chodziła na stałe z Buckiem Thorne (idealnie amerykańskie nazwisko). Buck był środkowym napastnikiem w licealnej drużynie Chartów z Placerville, który ostatniej jesieni ustanowił rekord 11 - 0; fakt szeroko omawiany przez trenera Boba "Kamienne Jaja" Stonehama na naszych częstych zebraniach, mających tchnąć w nas szkolnego ducha.

Thorne był dobrodusznym gnojkiem, który zawsze rozważał sytuację ze wszystkich stron; nie był najmądrzejszym facetem jaki chodził po ziemi (ale materiałem na studenta, jak najbardziej), więc Carol prawdopodobnie nie miała kłopotów z prowadzeniem go na smyczy. Zauważyłem kiedyś, że ładne dziewczęta są najlepszymi pogromczyniami lwów. Poza tym, zawsze miałem wrażenie, że dla Bucka Thorne'a najseksowniejszą rzeczą na świecie jest rozgrywający, który zwiewa na środek boiska.

- Jestem dziewczicą. - oznajmiła wyzywająco Carol, wrywając mnie z zamyślenia. Skrzyżowała nogi, jakby chciała zasymbolizować swoje dziewictwo, po czym gwałtownie ustawiła je prosto. - I nie uważam, żeby było w tym coś złego. Bycie dziewczicą jest jak bycie mądrą.

- Naprawdę? - spytała z powątpiewaniem Grace Stanner.

- Musisz nad tym pracować. - odparła Carol. - To właśnie miałam na myśli, musisz nad tym pracować. - Ten pomysł wydawał się sprawiać jej przyjemność. Przestraszyło mnie to jak diabli.

- Mówisz, że Buck nigdy...

- Och, kiedyś chciał. Przypuszczam, że nadal tak jest. Ale ja całkowicie jasno ustaliłam reguły gry, już na samym początku. I nie jestem oziębłą, nie jestem purytanką, ani nic takiego. To po prostu...

... - zawiesiła głos, szukając odpowiedniego stwierdzenia.

- Nie chciałybyś zająć w ciążę. - podpowiedziałem.

- Nie! - powiedziała, nieomal pogardliwie. - Wiem wszystko o tych sprawach. - Z czymś w rodzaju szoku uświadomiłem sobie, że była rozgniewana i jej własny gniew ją przygnębiał. W okresie dojrzewania najtrudniej poradzić sobie właśnie z tym uczuciem. - Nie siedzę przez cały czas z nosem w książkach. Czytałam wszystko o kontroli urodzeń w... - Zagryzła wargi, jakby nagle uderzyła ją sprzeczność tego, co powiedziała.

- No cóż. - stwierdziłem. Zastukałem lekko lufą pistoletu w leżący na biurku dziennik. - To poważna sprawa, Carol. Bardzo poważna. Myślę, że dziewczyna powinna wiedzieć, czemu jest dziewicą, nie uważasz?

- Ja *wiem* czemu!

- Och. - przytaknąłem, żeby ją zachęcić. Niektóre dziewczyny przyglądały się jej z zainteresowaniem.

- Ponieważ...

Cisza. Tylko słaby odgłos gwizdka, którego Jerry Kesserling używał przy kierowaniu ruchem.

- Ponieważ...

Carol popatrzyła wokół. Niektórzy z obecnych wzdrygnęli się i wbili wzrok w swoje ławki. W tym momencie, jak to starzy farmerzy mawiają, zastawiłbym mój dom i pole żeby dowiedzieć się, ile dziewic tutaj mamy.

- I nie musicie się tak wszyscy na mnie gapić! Nie prosiłam, żebyście się na mnie gapili! Nie mam zamiaru mówić na ten temat! Nie *muszę* mówić na ten temat!

Spojrzała na mnie z rozgoryczeniem.

- Ludzie ciągną cię w dół, tak to właśnie jest. Zmiażdżą cię, jeżeli im pozwolisz, dokładnie tak, jak powiedział Świńskie Koryto. Wszyscy ściągają cię w dół do swojego własnego poziomu i obrzucają cię błotem. Zobacz co robią z tobą, Charlie.

Nie byłem pewien, czy, jak do tej pory, zrobili mi cokolwiek, ale trzymałem głowę na kłódce.

- Szłam kiedyś wzdłuż Congress Street w Portland, w zeszłym roku, tuż przed Gwiazdką. Była ze mną Donna Taylor. Kupowałyśmy prezenty świąteczne. Właśnie kupiłam mojej siostrze apaszkę w Porteus-Mitchell i rozmawiałyśmy o tym, śmiejąc się. Takie tam głupoty. Chichotałyśmy. Było około czwartej po południu i zaczynało się ściemniać. Padał śnieg. Wszystkie te kolorowe lampki były zapalone, a okna sklepów pełne były świecidełek i paczek... było ślicznie... i był też jeden z tych Świętych Mikołajów z Armii Zbawienia, stał na rogu przy księgarni Jonesa. Potrząsał dzwonkiem i uśmiechał się. Czułam się dobrze. Czułam się naprawdę dobrze. Wszędzie unosił się duch Bożego Narodzenia i cały ten nastrój... Myślałam o tym, żeby jechać już do domu i napić się gorącej czekolady z bitą śmietaną. A wtedy ten stary samochód przejechał tuż obok mnie, a kierowca, ktokolwiek to był, opuścił szybę i wrzasnął, "Cześć, cipo!"

Anne Lasky podskoczyła. Muszę przyznać, że to słowo brzmiało strasznie dziwnie, słyszane z ust Carol Granger.

- Tak po prostu. - stwierdziła gorzko - Wszystko zostało zrujnowane. Zepsute. Jak jabłko, o którym myślałeś, że jest dobre, a później wgrzyłeś się wprost w robaczywy środek. "Cześć, cipo." Jakby nic innego nie istniało, nie ma osoby, jest tylko ech-h-h... - Kąciki jej ust opadły w dół, w drżącym, pełnym bólu grymasie. - I tak samo jest z byciem mądrą. Pragną tylko wkładać ci różne rzeczy do głowy, dopóki cała się nie zapelni. To tylko inna dziura, nic poza tym. Nic poza tym.

Sandra Cross siedziała z półprzymkniętymi oczami, jakby drzemała.

- Wiesz co - powiedziała - Zabawnie się czuję. Czuję się...

Chciałem przyskoczyć do niej i powiedzieć, żeby milczała, żeby nie oskarżała samej siebie w tej paradzie głupców, ale nie mogłem. Powtarzam, nie mogłem. Jeżeli ja nie będę stosował się do moich reguł, to kto będzie?

- Czuję się, jakby to było wszystko. - oznajmiła.

- Albo sam mózg, albo sama cipa. - stwierdziła Carol z przypiętym wisielczym humorem. - Na całą resztę pozostaje niewiele miejsca, prawda?

- Niekiedy - powiedziała Sandra - czuję się bardzo pusta.  
- Ja... - zaczęła Carol, a później spojrzała na Sandrę, zaskoczona. - Naprawdę?  
- Pewnie. - Z namysłem wpatrywała się w wybite okna. - Lubię wieszać pranie w wietrzny dzień. Czasami tak właśnie się czuję. Jak prześcieradło na sznurze. Próbujesz znaleźć sobie jakieś zainteresowania... Polityka, szkoła... Należałam do Rady Szkolnej w poprzednim semestrze... ale to nie jest prawdziwe, a w dodatku koszmarnie nudne. Tutaj nie ma zbyt wielu kontrowersji, ani rzeczy o które można by walczyć, albo... no, wiecie. Ważnych spraw. Tak więc pozwoliłam Tedowi to ze mną zrobić.

Spojrzałam uważnie na Teda, który wpatrywał się w Sandrę z nieruchomą twarzą. Ogromna depresja zaczęła opadać na mnie jak mżawka. Poczułem jak zaciska mi się gardło.

- Wcale nie było aż tak świetnie. - mówiła Sandra. - Nie rozumiem, o co cały ten krzyk. To... - Spojrzała na mnie, jej oczy rozszerzyły się, ale ja ledwie ją widziałem. Widziałem za to Teda. Widziałem go bardzo wyraźnie. Prawdę mówiąc, wydawał się emanować jakimś dziwnym, złotym blaskiem, który wyróżniał się na tle świeżo zakrzepłej ciemności jak halo, jak paranormalna aura.

Bardzo ostrożnie uniosłem pistolet w obu dłoniach.

Przez moment myślałem o wewnętrznych jaskiniach mego ciała, żywych machinach, które pracują wciąż i wciąż w nieprzeniknionych mrokach.

Zamierzałem go zastrzelić, ale to oni zastrzelili mnie pierwsi.

## Rozdział 24

Teraz wiem już co się wydarzyło, chociaż wtedy nie miałem pojęcia.

Mieli ze sobą najlepszego strzelca wyborowego jaki był w stanie, funkcjonariusza policji stanowej nazwiskiem Daniel Malvern, z Kent's Hill. Kiedy wszystko się skończyło zamieścili jego zdjęcie w Lewiston Sun. Był niedużym mężczyzną, ostrzyżonym na jeża. Wyglądał jak księgowy. Dali mu wielkiego Mausera z teleskopowym celownikiem. Daniel Malvern zabrał owego Mausera do zwirowego dołu kilka mil dalej, strzelił parę razy, aby go wypróbować, następnie przyniósł go z powrotem i podszedł do jednego z krążowników zaparkowanych na trawniku, z karabinem wepchniętym do nogawki spodni. Poślinionym kciukiem zbadał kierunek wiatru. Nic. Zerknął przez teleskopowy celownik. Przez trzydziestokrotnie powiększającą soczewkę musiałem wydawać mu się wielki jak buldożer. Nie było nawet żadnej szyby w oknie, która mogłaby rzucać odblaski, bo wybiłem je wcześniej, kiedy wypaliłem z pistoletu, żeby zmusić policję do wyłączenia megafonu. Łatwy strzał. Ale Dan Malvern nie spieszył się. Pomijając wszystko inne, to był prawdopodobnie najważniejszy strzał w jego życiu. Nie byłem glinianym gołąbkim na strzelnicy; moje wnętrze rozprysną się wokół na tablicy za moimi plecami, kiedy kula wyleci, robiąc otwór w kształcie grzyba. Zbrodnia Nie Popłaca. Świr Gryzie Ziemię. I kiedy na wpół wstałem, na wpół przechyliłem się nad biurkiem pani Underwood żeby wpakować kulę w Teda Jonesa, wielka szansa Dana nadeszła. Moje ciało było zwrócone połowicznie w jego stronę. Wystrzelił ze swojej broni, posyłając pocisk dokładnie tam, gdzie spodziewał się go posłać: wprost w kieszonkę na piersiach koszuli, która leżała dokładnie nad żywą machiną mego serca.

Gdzie uderzył w twardą stal Tytusa, Pomocnej Kłódeczki.

## Rozdział 25

Uchwyciłem się pistoletu.

Siła uderzenia cisnęła mnie do tyłu, wprost na tablicę. Półeczka na kredę bezlitośnie wbiła mi się w plecy. Obydwa moje skórzane mokasyny pofrunęły w powietrze. Upadłem na podłogę, lądując na tyłku. Nie miałem pojęcia co się stało. Zbyt wiele działo się naraz. Potężny świder bólu wwiercił się w moją pierś, po czym ogarnął mnie nagły bezwład. Nagle nie byłem w stanie oddychać. Przed oczami migotały mi czarne plamy.

Irma Bates krzyczała. Oczy miała zamknięte, pięści zaciśnięte, a jej twarz była rozgorączkowana, poznaczona czerwonymi plamami z wysiłku. Krzyk brzmiał odlegle i sennie, jak gdyby dobiegał z wysokiej góry, albo tunelu.

Ted Jones podnosił się znów ze swojego miejsca, naprawdę płynnie, powolnym i sennym ruchem. Tym razem zmierzał do drzwi. "Dostali tego sukinsyna!" Jego głos brzmiał niewiarygodnie wolno i ociężale, jak płyta puszczone na zwolnionych obrotach. "Dostali tego zwariowanego..."

- Siadaj.

Nie usłyszał mnie. Nie byłem zaskoczony. Sam ledwie siebie słyszałem. Nie miałem ani odrobiny powietrza w płucach. Sięgał już do klamki, kiedy wypaliłem z pistoletu. Kula rąbnęła w drewno obok jego głowy, a on zrobił gwałtowny unik. Kiedy się odwrócił, jego twarz była mieszaniną skomplikowanych uczuć: pobladłego zdziwienia, śmiertelnego niedowierzania i ostrej, morderczej nienawiści.

- Nie możesz... ty...

- Siadaj. - Trochę lepiej. Od momentu kiedy dostałem owego kopniaka w dupę minęło jakieś sześć sekund. - Przestań wrzeszczeć, Irma.

- Postrzelili cię, Charlie. - powiedziała spokojnie Grace Stanner.

Wyjrzałem na zewnątrz. Gliniarze ruszyli już w stronę budynku. Wystrzeliłem dwukrotnie i zmusiłem się do oddychania. Świder znów zaczął pracować, grożąc mojej klatce piersiowej, że eksploduje z bólu.

- *Cofnąć się! Zastrzelę ich!*

Frank Philbrick zatrzymał się i potoczył dookoła dzikim spojrzeniem. Wydawało się, że bardzo pragnie telefonu z poradą, najlepiej wprost od Jezusa. Wyglądał na dostatecznie zmieszanego, aby próbować ciągnąć dalej tę szopkę, więc wystrzeliłem jeszcze raz, w powietrze. Teraz nadeszła jego kolej, aby przebyć setki mil w swojej głowie w przeciągu pół sekundy. "Cofnijcie się!" wrzasnął. "Cofnijcie się, na rany Chrystusa!"

Wykonali odwrót, cofając się nawet szybciej, niż zmierzali w tę stronę.

Ted Jones skradał się w moim kierunku. Ten chłopak zdecydowanie nie był częścią prawdziwego świata.

- Chcesz, żebym odstrzelił ci ptaszka? - zapytałem.

Zatrzymał się, ale te przerażające, zakręcone emocje nadal odbijały się na jego twarzy.

- Jesteś martwy. - syknął - Zdychaj, niech cię szlag trafi.

- Usiądź, Ted.

Ból w mojej piersi był przerażającą, żywą istotą. Żebra po lewej stronie sprawiały wrażenie zmiażdżonych przez Srebrny Młot Maxwella. Wszyscy oni gapili się na mnie, cała moja wzięta do niewoli klasa, z czymś w rodzaju zamyślnego przerażenia. Nie ośmieliłem się nawet spojrzeć na siebie, bojąc się tego, co mogli widzieć. Zegar pokazywał 10:55.

- DECKER!

- Usiądź, Ted.

Uniósł wargę w nieświadomym grymasie, który nadał mu wygląd zdychającego psa, jakiego widziałem kiedyś, kiedy byłem dzieckiem, jak śmiertelnie ranny leżał na ruchliwej ulicy. Pomyślał nad tym co powiedziałem i usiadł. Na koszuli miał ładny zestaw plam z potu, poczynając od tych pod pachami.

- DECKER! PAN DENVER IDZIE NA GÓRĘ, DO BIURA!

To był Philbrick, mówił przez megafon i nawet bezpłciowe wzmocnienie, odbierające głosowi wszelki wyraz, nie mogło ukryć jak bardzo był rozdygotany. Godzinę temu sprawiło by mi to przyjemność - zrealizowało moje ambicje - w jakiś dziwny sposób, ale teraz nie czułem nic.

- CHCE Z TOBĄ POROZMAWIAĆ!

Tom wyszedł zza jednego z wozów policyjnych i zaczął iść przez trawnik, powoli, jakby spodziewał się, że w każdej chwili mogę go zastrzelić. Chociaż widziałem go z daleka, wyglądał na starszego o dziesięć lat. Nawet to mnie nie ucieszyło. Nawet to.

Pozbierałem się po troszeczkę, podniosłem się walcząc z bólem i wsunąłem stopy w mokasyny. Omal nie upadłem, i musiałem chwycić się biurka wolną ręką, w poszukiwaniu oparcia.

- Och, Charlie. - jęknęła Sylvia.

Na powrót załadowałem pistolet do pełna, tym razem trzymając go wycelowany w klasę. (Myślę, że nawet Ted nie wiedział, że nie da się strzelać z pistoletu z wyjętym magazynkiem), robiąc to powoli, tak żeby odsunąć jak najdalej chwilę, w której będę musiał spojrzeć na siebie. Pierś rwała mnie i bolała. Sandra Cross znów wydawała się zagubiona w swoich mętnych rozmyśleniach, jakiegokolwiek by one nie były.

Magazynek wrócił z trzaskiem na swoje miejsce, a ja, tak jakby od niechcenia, popatrzyłem w dół, na siebie. Miałem na sobie porządną niebieską koszulę (zawsze lubiłem jednobarwne rzeczy) i spodziewałem się, że ujrzę ją zmatowiałą od mojej krwi. Ale tak nie było.

W kieszonce na piersiach, po lewej stronie, widniał martwy punkt, duża czarna dziura. Wokół niej widać było, rozchodzące się promieniście, nierównomiernie rozrzucone mniejsze dziury, jak na jednej z tych map Układu Słonecznego, które przedstawiają planety krążące wokół słońca. Bardzo ostrożnie sięgnąłem do kieszonki. Spoczywał w niej, o ile sobie przypominam, Tytus, którego uratowałem z kosza na odpadki. Bardzo ostrożnie go wyjąłem. Klasa westchnęła "Aaaachhh!", jakbym właśnie przepiłował kobietę na pół, albo wyciągnął studolarowy banknot wprost z nosa Świńskiego Koryta. Żadne z nich nie zapytało, czemu noszę w kieszeni szyfrową kłódkę od mojej szafki. Byłem z tego zadowolony. Ted spoglądał na Tytusa z goryczą, i nagle poczułem wielką złość na niego. Zastanawiałem się, jakby mu się podobało, gdyby musiał zjeść biednego, starego Tytusa na lunch.

Pocisk przebił się przez twardą, wzmocnioną plastikową tarczę z numerami, która eksplodowała jak szrapnel, z wielką siłą posyłając kawałki na zewnątrz, przez moją koszulę. Stał z tyłu zatrzymała kulę, zmieniając ją w śmiertelny ołowiany kwiat z trzema jasnymi płatkami. Cała kłódka była skrecona, jakby przeszła przez ogień. Półokrągły uchwyt rozciągnął się, jak toffi. Tylna strona kłódki wybrzuszyła się, ale nie przedziurawiła.

[Półtora roku później zobaczyłem pierwszy raz tę reklamę w telewizji. Tę, w której facet ze strzelbą celuje do kłódki zawieszanej na gwoździu wbitym w tarczę. Pokazują ją nawet przez celownik - Yale, albo Master, nie mam pojęcia. Facet naciska spust. I widzimy jak kłódka podskakuje, wgniata się i spłaszcza, i wygląda zupełnie tak samo, jak wyglądał stary Tytus, kiedy wyciągnąłem go z kieszeni. Pokazują co się dzieje ze zwykłą prędkością, a później w zwolnionym tempie, i kiedy oglądałem to, po raz pierwszy i jedyny, zwiesiłem głowę

po między nogi i porzygałem się na podłogę. Wyprowadzili mnie. Zabrali mnie z powrotem do mojego pokoju. Następnego dnia mój ulubiony psychiatra zajrzał w kartę i stwierdził: "Powiedziano mi, że wczoraj nastąpił u ciebie regres, Charlie. Masz ochotę o tym porozmawiać?" Ale ja nie mogłem o tym rozmawiać. Nigdy nie byłem w stanie o tym rozmawiać. Aż do teraz.]

*Brzdęk!* włączył się interkom.

- Charlie?

- Za chwileczkę, Tom. Nie poganiaj mnie.

- Charlie, musisz...

- Zamknij się, kurwa.

Rozpiąłem koszulę i rozsunąłem ją. Klasa znów zrobiła "Aaachhh!" Na piersi miałem odcisk Tytusa w kolorze burzowego fioletu, a w ciele wgłębienie tak duże, że można by nalać doń wody. Nie chciałem na to spoglądać, tak samo jak nie chciałem spoglądać na starego pijaka, z naroślą pod nosem, tego, który zawsze włączył się po śródmieściu, w okolicach sklepu Gogana. Przyprawiało mnie to o mdłości. Zapiąłem koszulę.

- Tom, te dranie próbowały mnie zastrzelić.

- Oni nie chcieli...

- Nie mówi mi, czego nie chcieli zrobić! - krzyknąłem na niego. W moim głosie pobrzmiwała nutka szaleństwa, która sprawiła, że poczułem się jeszcze gorzej. - Zawlec tam swoją pomarszczoną dupę i powiedz temu skurwysynowi, Philbrickowi, że o mało nie spowodował tutaj krwawej łaźni, zrozumiałeś?

- Charlie... - marudził.

- Zamknij się Tom. Skończyłem już żarciki z tobą. Ja kieruję tym wszystkim. Nie ty, nie Philbrick, nie kurator oświaty, nie Bóg. Zrozumiałeś?

- Charlie, pozwól mi wyjaśnić...

- ZROZUMIAŁEŚ?

- Tak, ale...

- W porządku. Zatem to jest jasne. A więc wrócisz tam i przekazesz mu wiadomość, Tom. Powiedz mu, że przez następną godzinę nie chcę widzieć, że on, albo ktokolwiek inny tam na zewnątrz, wykonuje jakiś ruch. Nikt nie będzie tu przychodził i gadał przez ten przeklęty interkom, i nikt więcej nie będzie próbował do mnie strzelać. W południe chcę znów porozmawiać z Philbrickiem. Zapamiętasz to wszystko, Tom?

- Tak, Charlie. W porządku, Charlie. - jego głos brzmiał pocieszająco i głupio. - Chcieli tylko, żebym ci przekazał, że to było nieporozumienie, Charlie. Czyjaś broń wypaliła przez przypadek i...

- Jeszcze jedna sprawa, Tom. Bardzo istotna.

- Co takiego, Charlie?

- Musisz wiedzieć na czym stoisz, jeżeli chodzi o tego gościa, Philbricka, Tom. Dał ci łopatę do sprzątnięcia i kazał iść za wózkiem zaprzężonym w woły, a ty to robisz. Dałem mu szansę, żeby położył swoją dupę na szali, ale nie chciał tego zrobić. Ocknij się, Tom. Bądź niezależny.

- Charlie, musisz zrozumieć w jakiej okropnej sytuacji stawiasz nas wszystkich.

- Wynoś się, Tom.

Wyłączył się. Patrzyliśmy jak wychodzi przez frontowe drzwi i rusza w kierunku samochodów. Philbrick podszedł do niego i położył dłoń na jego ramieniu. Tom strząsnął ją. Wiele dzieciaków uśmiechnęło się na ten widok. Mój czas na uśmiechy już minął. Chciałem być w domu, w swoim łóżku i śnić o tym wszystkim.



- Sandro. - odezwałem się - Mam wrażenie, że opowiadałaś nam o swoim *affaire de coeur* z Tedem.

Ted rzucił mi mroczne spojrzenie.

- Nie chcesz o tym rozmawiać, Sandy. On po prostu próbuje sprawić, żebyśmy wszyscy wyglądali na tak samo podłych jak on. Jest chory i rozsiewa zarazę. Nie pozwól mu się zainfekować tym, co sam ma.

Uśmiechnęła się. Naprawdę promieniała, kiedy uśmiechała się jak dziecko. Poczulem ukłucie gorzkiej tęsknoty, nie za nią, ani za jakąś wymaginowaną czystością (majteczki od Dale'a Evansa i tego typu rzeczy), ale z jakiegoś powodu, którego nie mogłem precyzyjnie uchwycić. Może to jednak chodziło o nią. Cokolwiek to było, sprawiło, że zawstydzilem się.

- Ale ja chcę. - powiedziała - Ja też chcę zabrać się do rzeczy. Zawsze chciałam.

Sądząc na oko, było około jedenastej. Ruch na zewnątrz zdawał się zamierać. Siedziałem teraz solidnie oddalony od okien. Sądziłem, że Philbrick da mi jednak tę godzinę. Nie odważyłby się obecnie zrobić niczego innego. Czułem się lepiej, ból w mojej piersi troszkę zelżał. Ale miałem dziwne uczucie w głowie, tak jakby mój mózg pracował bez żadnego chłodziwa i przegrzewał się jak wielki silnik, rozgrzany do czerwoności na pustyni. Chwilami niemal kusilo mnie, żeby poczuć (głupia zarozumiałość), że to ja sam trzymam ich wszystkich tutaj, jedynie siłą woli. Teraz już oczywiście zdaję sobie sprawę, że nic nie mogło być bardziej odległe od prawdy. Tego dnia miałem tylko jednego prawdziwego zakładnika, a jego nazwisko brzmiało Ted Jones.

- Po prostu to zrobiliśmy. - powiedziała Sandra, spoglądając w dół, na swoją ławkę i obwodząc wyryte na niej napisy starannie opiłowanym paznokciem. Mogłem przyjrzeć się przedziałkowi w jej włosach. Rozdzielała je z boku, jak chłopak. - Ted zaprosił mnie do Wonderand, żebym poszła z nim potańczyć, a ja powiedziałam, że chętnie. Miałam nową sukienkę wyjściową. - Popatrzyła na mnie z wyrzutem. - Ty nigdy mnie nie zaprosiłeś, Charlie.

Czy to możliwe, że postrzelili mnie w kłódkę zaledwie dziesięć minut temu? Miałem szaloną ochotę zapytać ich, czy to naprawdę się wydarzyło. Jacy dziwni byli oni wszyscy!

- No więc poszliśmy potańczyć, a potem poszliśmy do Hawaiian Hut. Ted znał człowieka, który prowadził tę restaurację i mogliśmy zamówić koktajle. Zupełnie jak dorośli. - Trudno było określić, czy w jej głosie brzmi sarkazm, czy nie.

Twarz Teda była starannie wyprana z wszelkich uczuć, ale inni patrzyli na niego, jakby zobaczyli jakiegoś przedziwnego robaka. Oto dzieciak, jeden z nich, który zna człowieka prowadzącego restaurację. Corky Herald przeżuwał tę informację i najwyraźniej nie był zachwycony.

- Nie spodziewałam się, że zasmakują mi drinki, bo wszyscy mówią, że alkohol za pierwszym razem smakuje okropnie, ale wcale tak nie było. Piłam gin fizz i bąbelki łaskotały mnie w nos. - Spoglądała przed siebie w zamyśleniu. - Były w nim małe słomki, czerwone, a ja nie wiedziałam, czy służą do picia drinka, czy po prostu miesza się nimi w kieliszku, dopóki Ted mi nie powiedział. Bardzo miło spędzaliśmy czas. Ted opowiadał o tym, jak przyjemnie grało się w golfa w Poland Springs. Powiedział, że mógłby mnie tam zabrać któregoś razu i nauczyć grać, jeżeli będę chciała.

Ted znów unosił i opuszczał wargę, zupełnie jak pies.

- On nie był, no wiecie, nachalny, ani nic takiego. Pocałował mnie na pożegnanie, jak gdyby nigdy nic, i nie był przy tym ani trochę zdenerwowany. Niektórzy chłopcy zachowują się żałośnie, przez całą drogę do domu rozmyślają, czy powinni pocałować cię na dobranoc, czy nie. Ja zawsze ich całowałam, tylko po to, żeby nie czuli się źle. Jeżeli byli obleśni, wyobrażałam sobie po prostu, że liżę znaczek.

Przypomniałem sobie pierwszy raz kiedy umówiłem się z Sandy Cross, na zwykłą sobotnią potańcówkę w szkole. Zachowywałem się żałośnie przez całą drogę do domu, rozmyślając, czy powinienem pocałować ją na dobranoc, czy też nie. W końcu tego nie zrobiłem.

- Później umówiliśmy się jeszcze trzy razy. Ted był bardzo miły. Zawsze wymyślał jakieś zabawne powiedzonka, ale nie opowiadał świńskich dowcipów, ani nic w tym stylu, no wiecie. Pieściliśmy się trochę i to było wszystko. Później przestaliśmy wychodzić razem na dość długo, aż do kwietnia tego roku. Zapytał, czy chciałabym pójść na tor wrotkarski w Lewiston.

Zawsze chciałem ją spytać, czy nie wybrała by się ze mną do Wonderland, żeby potańczyć, ale nigdy się nie odważyłem. Joe, który umawiał się na randki bez żadnych problemów, powtarzał, czemu nie spróbujesz, a ja denerwowałem się jeszcze bardziej i odpowiadałem mu, żeby się odpieprzył. Ostatecznie zebrałem się w sobie na tyle, żeby zadzwonić do niej do domu, ale musiałem odwieść słuchawkę po pierwszym dzwonku, pobiec do łazienki i zwymiotować. Tak jak wam mówiłem, mam kiepski żołądek.

- Spędzaliśmy czas na pogawędkach, kiedy ni z tego ni z owego jakieś dzieciaki wdały się w kłótnię na środku parkietu. - kontynuowała Sandra - Chłopcy z Harlow i chłopcy z Lewiston, tak mi się wydaje. Tak czy inaczej, wywiązała się wielka bójka. Niektórzy z nich walczyli mając na nogach wrotki, ale większość jednak je zdjęła. Pojawił się właściciel i zapowiedział, że jeżeli nie przestaną, to zamknie tor. Ludzie krwawili z nosów, jeździli wokół na wrotkach i kopali tych, którzy upadli, przepychali się i wykrzykiwali straszne rzeczy. A przez cały ten czas z szafy grającej, rozkręconej na cały regulator, dobiegały piosenki Rolling Stonesów.

Przerwała na chwilę, a potem znów zaczęła mówić: - Ted i ja staliśmy w kącie sali, przy podium dla orkiestry. W soboty mieli tam muzykę na żywo, wiecie. Jeden z tych chłopaków, ubrany w czarną kurtkę, przejechał obok. Miał długie włosy i pryszcze. Kiedy nas mijał zaśmiał się, pomachał w stronę Teda i krzyknął: "Zerznij ją, koleś! Ja to zrobiłem!"

Ted powiedział do mnie "Zaraz wracam" i przeszedł przez tor do jego wewnętrznej części, gdzie chłopak, który rzucił tę głupią odzywkę nadal zbierał się z podłogi. Złapał go za kurtkę na plecach i... sama nie wiem... zaczął szarpać nim w przód i w tył... chłopak nie mógł się odwrócić... Ted wciąż nim potrząsał, a głowa tego dzieciaka podskakiwała. Nagle kurtka rozdarła się na środku, od góry do dołu, a on powiedział: "Zabiję cię za to, że podarłeś moją najlepszą kurtkę, ty sukinsynu." Więc Ted znów go uderzył, chłopak upadł, a on rzucił na niego kawałki kurtki, które wciąż trzymał w dłoni. Nadal stałem w tym samym miejscu, Ted wrócił po mnie i wyszliśmy stamtąd. Pojechaliśmy do Auburn, do zwirowiska, które Ted dobrze znał. To było gdzieś przy drodze do Lost Valley, tak mi się wydaje. A później zrobiliśmy to. Na tylnym siedzeniu.

Znów obwodziła palcem graffiti na swojej ławce. - To nawet tak bardzo nie bolało. Myślałam, że będzie, ale nie. Było przyjemnie. - Jej głos brzmiał, jakby dyskutowała o filmie Walta Disneya, jednym z tych, którego bohaterami są sympatyczne zwierzątka. Tyle tylko, że w tym konkretnym filmie gwiazdą był Ted Jones w roli Napalonego Świszcza.

- Nie użył żadnej z tych rzeczy, jak zapowiadał, ale nie zaszłam w ciążę, ani nic takiego. Rumieniec zaczął powoli wypełzać zza kołnierzyka wojskowej koszuli Teda, rozprzestrzeniając się na szyję i pokrywając policzki. Jednak jego twarz nadal pozostawała bez wyrazu.

Dłonie Sandry wykonywały powolne, leniwe gesty. Nagle zrozumiałem, że jej naturalnym środowiskiem byłby hamak rozwieszony na werandzie, w samym środku sierpniowych, letnich upałów, kiedy temperatura przekracza trzydzieści stopni w cieniu. Leżałaby w nim, czytając książkę (a może po prostu przypatrując się jak powietrze nad szosą drży od gorąca), z puszką Seven-Up, w której tkwi zagięta słomka, stojącą w zasięgu ręki, ubrana w przewiewne, białe, króciutkie szorty i skąpą bluzeczkę z opuszczonymi ramiączkami, małe krople potu jak diamenty lśniłyby na krągłości jej piersi i na brzuchu...

- Po wszystkim przeprosił. Zachowywał się niezręcznie, a ja czułam się trochę podle z jego powodu. Powtarzał, że ożeni się ze mną, jeżeli... no wiecie, jeżeli okaże się, że zaszłam w ciążę. Był naprawdę przygnębiony. Ja powiedziałam: "No cóż, nie warto martwić się na zapas, Teddy", a on na to: "Nie mów do mnie jak do dziecka". Myślę, że był zdziwiony tym, że to a nim zrobiłam. Ale nie zaszłam w ciążę. Pewnie niewiele brakowało, aby do tego doszło.

Czasami czuję się jak lalka. Nie całkiem realnie. Znacie to uczucie? Układam włosy, co jakiś czas muszę obrębić spódnice, albo popilnować dzieci, kiedy ich rodzice wychodzą z domu. Ale to wszystko wydaje się takie sztuczne. Zupełnie jakbym mogła zerknąć za ścianę salonu, i ujrzeć tam tylko tekturę, a reżyser i operator zabierali by się właśnie do kręcenia następnej sceny. Jak gdyby trawa i niebo namalowane były na wielkich płótnach. Sztuczne. - popatrzyła na mnie poważnie - Czułeś się tak kiedykolwiek, Charlie?

Bardzo poważnie zastanowiłem się nad jej pytaniem.

- Nie. - stwierdziłem. - Nie pamiętam, żeby taka myśl zaprzętała mi kiedyś głowę, Sandy.

- Mnie zaprzętała. Po tej sprawie z Tedem nawet częściej niż dotychczas. Ale nie zaszłam w ciążę, ani nic z tych rzeczy. Kiedyś myślałam, że każda dziewczyna zachodzi w ciążę za pierwszym razem, obowiązkowo. Próbowałam wyobrazić sobie, jakby to było, gdybym musiała powiedzieć rodzicom. Ojciec z pewnością wpadłby w prawdziwą furję i chciałby wiedzieć, kim był ten skórkoad, a matka uderzyłaby w płacz i powtarzała: "A myślałam, że dobrze cię wychowaliśmy." To byłoby realne. Ale po jakimś czasie przestałam o tym rozmyślać. Nawet nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć jakie to było uczucie, mieć go... no, w sobie. Więc wróciłam do Rollerdrome.

W sali panowała absolutna cisza. Nigdy, nawet w najdzikszych marzeniach, pani Underwood nie mogła mieć nadziei na zdobycie takiej uwagi, jaką zdobyła teraz Sandra Cross.

- Jakiś chłopiec mnie podrywał. Pozwoliłam się poderwać. - Dziwna iskierka błysnęła w jej oczach. - Ubrana byłam w swoją najkrótszą spódniczkę. Tę jasnoblękitną. I cieniutką bluzkę. Później wyszliśmy stamtąd na tyły. I *to* wydawało się prawdziwe. On z całą pewnością nie był dobrze wychowany. Wydawał się, jakby to powiedzieć... narwany. W ogóle go nie znałam. Przez cały czas myślałam, że może okazać się jednym z tych maniaków seksualnych. I mógł mieć nóż. I mógłby zmusić mnie do zażycia narkotyków. Albo mogłam zajść w ciążę. Czułam, że żyję.

Ted Jones odwrócił się w końcu i spoglądał na Sandrę z nieomal skamieniałym wyrazem grozy i śmiertelnego obrzydzenia. Cała ta scena wyglądała jak sen, wyjęty żywcem ze średniowiecznej sztuki pełnej mrocznych namiętności.

- To był sobotni wieczór i orkiestra grała na żywo. Można było usłyszeć ich z parkingu, ale dość słabo. Na tyłach Rollerdrome nie jest zbyt przyjemnie, wszystkie te pudła i skrzynki zwalone na kupę, i kosze na śmieci pełne butelek po Coca Coli. Bałam się, ale równocześnie byłam podniecona. Oddychał naprawdę szybko i ścisnął mocno mój nadgarstek, tak jakby spodziewał się, że będę próbowała uciekać. On...

Ted wydał z siebie okropny, zdławiony dźwięk. Trudno było uwierzyć, że ktokolwiek z moich rówieśników może być tak boleśnie zraniony czymkolwiek innym poza śmiercią rodziców. Jeszcze raz poczułem dla niego podziw.

- On miał stary, czarny samochód, i przypomniało mi się co mama mówiła kiedy byłam mała, że czasami obcy człowiek może chcieć, żebym wsiadła do jego samochodu, i nigdy, przenigdy nie wolno mi tego robić. To też mnie podnieciło. Pamiętam, jak myślałam: A jeżeli on mnie porwie, zabierze do jakiejś szopy na odludziu i zażąda okupu? Otworzył tylne drzwiczki i wsiadłam. Zaczął mnie całować. Jego usta były zatłuszczone, jakby właśnie zjadł pizzę. Sprzedawali pizzę w środku, po dwadzieścia centów za kawałek. Zaczął mnie obmacywać i zostawiać ślady po pizzy na mojej bluzce. Później położyliśmy się, a ja podciągnęłam spódniczkę do góry, dla niego...

- *Zamknij się!* - wrzasnął Ted z nagłą gwałtownością. Obydwoma pięściami uderzył w swoją ławkę, aż wszyscy podskoczyli. - *Ty parszywa dziwko! Nie możesz o tym opowiadać przed tymi wszystkimi ludźmi! Zamknij gębę, albo ja ci ją zamknę!* Ty...

- To ty się zamknij Teddy, bo inaczej wbiję ci zęby do pieprzonego gardła. - powiedział zimno Dick Keene. - Ty już miałeś swój występ, tak, czy nie?

Ted zagapił się na niego z otwartymi ustami. Ci dwaj rozegrali niejedną partyjkę bilardu w Harlow, a czasami rozbijali się po mieście samochodem Teda. Zastanawiałem się, czy nadal będą trzymać się razem kiedy cała ta sprawa się skończy. Bardzo w to wątpiłem.

- Nie pachniał ładnie. - Sandra kontynuowała, jakby nie było w ogóle żadnej przerwy. - Ale był twardy. I większy niż Ted. I nie obrzezany. Pamiętam to. Kiedy odsunął, no wiecie, napletek, to wyglądało jakby miał tam śliwkę. Pomyślałam, że to może boleć, chociaż nie byłam już dziewicą. Myślałam o tym, że policja może się pojawić i nas aresztować. Wiedziałam, że mają w zwyczaju patrolować parking, żeby sprawdzić, czy nikt nie kradnie kołpaków z kół, ani niczego innego.

I nagle śmieszne uczucie zaczęło narastać wewnątrz mnie, jeszcze zanim zsunął mi majtki w dół. Nigdy nie czułam niczego tak przyjemnego. Albo tak *prawdziwego*. - Przełknęła ślinę. Jej twarz pałała. - Dotknął mnie ręką, a ja doszłam. Tak po prostu. A najśmieszniejsze było to, że nawet nie zaczął tego robić. Chciał wejść we mnie, a ja próbowałam mu pomóc, ale wciąż ocierał się o moją nogę i nagle... no wiecie. Leżał na mnie przez jakąś minutę, a później wyszeptał mi do ucha: "Ty mała suko. Zrobiłaś to specjalnie." I to było wszystko.

Nieprzytomnie potrząsnęła głową. - Ale to było takie realne. Pamiętam wszystko - muzykę, sposób w jaki się uśmiechał, dźwięk, jaki wydał suwak w jego spodniach kiedy go rozpiął - wszystko.

Uśmiechnęła się do mnie, dziwnym, rozmarzonym uśmiechem.

- Ale to było lepsze, Charlie.

Najbardziej zaskakujące było to, że nie mogłem określić, czy jest mi niedobrze, czy nie. Nie wydawało mi się, że tak, ale to co czułem było temu naprawdę bliskie. Myślę, że kiedy decydujesz się zjechać z głównej drogi musisz przygotować się na oglądanie dziwacznych domów. "Skąd ludzie wiedzą, że są prawdziwi?" wymamrotałem.

- Co mówisz, Charlie?

- Nic.

Przypatrzyłem im się bardzo uważnie. Nie wyglądali na chorych, żadne z nich. W każdym oku widać było zdrowy błysk. To we mnie było coś (być może przyplłynęło na Mayflowerze), co chciało wiedzieć: *Jak ona mogła odsłonić się do tego stopnia? Jak mogła o tym opowiedzieć?* Ale w twarzach, na które patrzyłem nie było nawet echa owej myśli. Mogłoby pojawić się na twarzy Philbricka. Na twarzy dobrego starego Toma. Don Grace pewnie

pomyślałby o tym, ale nie pokazał tego po sobie. W tajemnicy, wbrew temu co pokazywały wszystkie stacje telewizyjne, podtrzymywałem w sobie wiarę, że to rzeczy się zmieniają, a nie ludzie. A teraz zaczynałem sobie uświadamiać, z czymś w rodzaju przerażenia, że przez wszystkie te lata grałem w baseball na boisku do piłki nożnej. Świńskie Koryto nadal z goryczą studiował swój ołówek. Susan Brooks okazywała tylko słodkie współczucie. Wyraz twarzy Dicky'ego Keene był na wpół zainteresowany, na wpół pożądlivy. Na czole Corky'ego pojawiły się bruzdy i zmarszczki, jak gdyby siłował się z tym co usłyszał. Gracie wyglądała na lekko zaskoczoną, ale na tym koniec. Irma Bates była jedynie bezbarwna. Nie wiem, czy doszła już do siebie po tym, jak mnie postrzelili. Czy życie naszych starszków było aż tak nieskomplikowane, że odebraliby opowieść Sandy jako drastyczną? A czy życia wszystkich tu obecnych były tak dziwne, a umysły pełne straszliwych ornamentów, że seksualna przygoda ich szkolnej koleżanki stała na jednym poziomie z wygraniem darmowej kolejki w elektrycznym bilardzie? Nie chciałem o tym myśleć. Nie czułem się na siłach, aby rozważyć moralne implikacje.

Jedynie Ted wyglądał na chorego i przerażonego, ale on już się nie liczył.

- Nie wiem co teraz będzie. - powiedziała Carol Granger, lekko zmartwiona. Rozejrzała się dookoła. - Boję się, że to, co się dzieje, wszystko zmieni. Nie podoba mi się to. - popatrzyła na mnie oskarżycielsko. - Byłam zadowolona z tego, w jaki sposób wszystko jest poukładane, Charlie. Nie chcę, żeby coś się zmieniło kiedy to wszystko się skończy.

- Ha. - odparłem.

Ale taki komentarz nie oddawał powagi sytuacji. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Nie było już sposobu temu zaprzeczyć. Poczulem nagłą chęć, aby roześmiać się głośno i zwrócić uwagę wszystkich na fakt, że to, co rozpocząłem jako główną atrakcję skończyło jako uboczna rozrywka.

- Muszę iść do łazienki. - odezwała się nagle Irma Bates.

- Wstrzymaj. - powiedziałem. Sylwia zaśmiała się.

- Coś za coś to uczciwa gra. - stwierdziłem. - Obiecałem opowiedzieć wam o swoim życiu seksualnym. W rzeczywistości nie ma zbyt wiele do opowiedzenia, chyba że potraficie czytać z ręki. Jednakże jest pewna historyjka, którą możecie uznać za interesującą.

Sarah Pasterne ziewnęła, a mnie raptem ogarnęło przemożne pragnienie, żeby odstrzelić jej głowę. Ale numer drugi musi starać się bardziej, jak mawiają w reklamach wypożyczalni samochodów. Niektórzy faceci jeżdżą szybciej, ale za to Decker wyciąga wszystkie niedopałki z popielniczki waszego umysłu, jak odkurzacz.

Znienacka przypomniałem sobie o pewnej piosence Beatlesów, tej zaczynającej się od słów: "Czytałem dziś wiadomości, o rety..."

Powiedziałem do nich:

## Rozdział 26

W lecie, zanim zacząłem trzecią klasę liceum, Joe i ja wybraliśmy się do Bangor, aby spędzić weekend z bratem Joego, który podjął tam wakacyjną pracę w Departamencie Oczyszczania Miasta. Pete McKennedy miał dwadzieścia jeden lat (fantastyczny wiek, według mnie; ja wciąż prześlizgiwałem się przez otwarty ściek, jakim była siedemnastka) i studiował anglistykę na Uniwersytecie Maine.

Wyglądało na to, że zapowiada się świetny weekend. W piątkowy wieczór upiłem się po raz pierwszy w życiu, razem z Pete'em, Joe'em i jednym czy dwoma przyjaciółmi Pete'a, i nawet nie byłem za bardzo skacowany następnego dnia. Pete nie pracował w soboty, więc wprowadził nas po kampusie. Naprawdę, bardzo ładnie wyglądało tam w środku lata,

aczkolwiek w sobotę, i to w lipcu, nie było nawet na kim zawiesić oka. Pete powiedział nam, że przez większość lata studenci wyjeżdżają na weekendy do Bar Harbor, albo Clear Lake. Zbieraliśmy się już do powrotu, kiedy Pete zauważył swojego znajomego, wlokącego się noga za nogą w stronę parkingu przed kotłownią.

- Scragg! - zawołał - Hej, Scragg!

Scragg był wielkim facetem, ubranym w poplamione farbą, spłowiałe dzinsy i niebieską roboczą koszulę. Miał zwisające wąsy piaskowego koloru i palił paskudnie wyglądające małe, czarne cygaro, które później sam określił jako Original Smoky Perote. Śmierdziało jak tłące się powoli gacie.

- Jak leci? - zapytał.

- Po troszeczkę. - odparł Pete - To mój brat Joe, a to jego kumpel, Charlie Decker. - przedstawił nas - Scragg Simpson.

- Siemanko. - rzucił Scragg, potrząsając naszymi dłońmi i od razu wyrzucając nas z pamięci. - Co porabiasz dziś wieczorem, Peter?

- Myśleliśmy, żeby we trójkę skoczyć do kina.

- Oduść sobie, Pete. - powiedział Scragg z szerokim uśmiechem - Oduść sobie, złotko.

- A co lepszego proponujesz? - zapytał Pete, też szczerząc zęby.

- Dana Colette urządza imprezę w tym letnim domku, który mają jej starzy, niedaleko Schoodic Point. Będzie tam jakieś czterdzieści milionów wolnych pańienek. Przynieś towar.

- A czy Larry Moeller ma trawę? - zapytał Pete.

- Z tego co wiem, ostatnio miał sporo tego gówna. Zagraniczne, krajowe, miejscowe... wszystko, oprócz końcówek z filtrem.

Pete skinął głową. - Będziemy tam, chyba że zdarzy się potop.

Scragg również przytaknął, pomachał dłonią i przygotował się do podjęcia na nowo swojej własnej wersji owego nigdy nie wychodzącego z mody sposobu poruszania się po kampusie, czyli Studenckiego Snucia Się. "Nara", rzucił do Joego i do mnie.

Poszliśmy zobaczyć się z Jerrym Moellerem, który, jak twierdził Pete, był największym handlarzem trawką w trójkącie Orono - Oldtown - Stillwater. Przyjąłem to spokojnie, jak gdybym był jednym z tych zaprawionych w bojach ćpunów z Placerville, ale w głębi duszy czułem podniecenie i spory niepokój. O ile sobie przypominam, spodziewałem się ujrzeć Jerry'ego siedzącego nago na kłocie, z kawałkiem gumowej rurki zawiązanym nad łokciem i dyndającą strzykawką wbitą w żyłę - kontemplującego wzlot i upadek starożytnej Atlantydy w jego własnym pępku.

Miał niewielkie mieszkanie w Oldtown, które z jednej strony graniczyło z miasteczkiem uniwersyteckim. Oldtown jest małym miastem charakteryzującym się trzema szczegółami: swoją papiernią; swoją wytwórnią kajaków; a także dwunastoma najgorszymi spelunami w tym wielkim, uśmiechniętym kraju. Jest tutaj także rezerwat z obozowiskiem prawdziwych Indian, z których większość patrzy na człowieka tak, jakby zastanawiali się ile włosów zdołał wyhodować sobie na tyłku i czy warte byłoby to trudu skalpowania.

Jerry nie okazał się złowrogim typem handlarza, który otacza się tłumem wyznawców wśród muzyki Ravi Shankara i w smrodzie kadzideł, ale niewysokim facetem z przyklepionym do twarzy uśmiechem jak ćwiartka cytryny. Był całkowicie ubrany i przy zdrowych zmysłach. Jediną ozdobą, jaką nosił był jasnożółty znaczek głoszący wszem i wobec ZŁOTOWŁOSA BYŁA ZACHWYCONA. Zamiast Ravi'ego i Jego Niewiarygodnie Brzęczącego Sitaru, miał wielką kolekcję muzyki bluegrass. Kiedy zobaczyłem jego albumy Greenbriar Boys, zapytałem, czy kiedykolwiek słyszał Tarr Brothers - zawsze miałem świra na punkcie muzyki country i bluegrass. Później nie mieliśmy nic do roboty. Pete i Joe usiedli,

i wyglądali na znudzonych, dopóki Jerry nie zaprezentował czegoś, co wyglądało jak mały papieros zwinięty z brązowej bibułki.

- Chcesz go zapalić? - zapytał Pete'a.

Pete zapalił. Zapach był ostry, nieomal cierpki, ale bardzo przyjemny. Zaciągnął się głęboko, zatrzymał dym w płucach i przekazał skręta Joemu, który wykaszlał większość z tego co wciągnął.

Jerry odwrócił się do mnie. - Słuchałeś kiedyś Clinch Mountain Boys?

Potrząsnąłem głową. - Nie, ale słyszałem o nich.

- Musisz tego posłuchać. - rzekł. - Chłopie, to dopiero jazda. - Położył płytę z dziwną naklejką na odtwarzaczu stereo. Skręt trafił do mnie.

- Palisz papierosy? - spytał Jerry ojcowskim tonem.

Potrząsnąłem głową.

- To wciągaj dym powoli, inaczej nic nie poczujesz.

Zaciągnąłem się powoli. Dym był słodki, raczej ciężki, gryzący, wytrawny. Wstrzymałem oddech i oddałem jointa Jerry'emu. Clinch Mountain Boys zaczęli grać "Blue Ridge Breakdown".

Pół godziny później mieliśmy za sobą dwa skręty więcej i słuchaliśmy jak Flatt and Scruggs przedzierają się przez kawałek zwany "Russians Around". Szykowałem się już, aby zapytać kiedy poczuję się na haju, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że mogę zwizualizować w myślach dźwięki banjo. Były jasne, jak długie, stalowe nici i kursowały tam i z powrotem, jak czółenka tkackie. Poruszały się bardzo gwałtownie, ale mogłem za nimi nadążyć, jeżeli bardzo się skupiłem. Próbowiałem opowiedzieć o tym Joemu, lecz on tylko popatrzył na mnie w sposób, który świadczył o tym, że niczego nie pojmuję. Roześmialiśmy się obydwaj. Pete, z nosem przy ścianie, gapił się na zdjęcie przedstawiające wodospad Niagara.

Koniec końców, zostaliśmy tam niemal do piątej po południu, a kiedy wychodziliśmy, czułem się kompletnie wyprany z jakichkolwiek myśli. Pete kupił od Jerry'ego uncję trawy i wyruszyliśmy z powrotem do Schoodic. Jerry stał w drzwiach swojego mieszkania, machał nam na pożegnanie i wołał do mnie, żebym kiedyś wpadł i przyniósł kilka moich płyt.

To ostatnie naprawdę szczęśliwe chwile jakie pamiętam.

Czekała nas długa jazda na wybrzeże. Wszyscy trzej byliśmy nadal na ciężkim haju, i chociaż Pete nie miał problemów z prowadzeniem, żaden z nas nie był w stanie powiedzieć ani słowa żeby nie zacząć przy tym chichotać. Pamiętam, że zapytałem Pete'a jak wygląda ta Dana Colette, która robi imprezę, a on tylko łypnął pożądliwie. Śmiałem się z tego tak długo, aż poczułem, że za chwilę pękne. W uszach nadal grało mi bluegrass.

Pete był tam kiedyś, wiosną, więc tylko raz skręciliśmy w złą stronę zanim trafiliśmy na miejsce. Dom stał na końcu nieomal półtorakilometrowej, wysypanej żwirem drogi, oznaczonej jako PRYWATNA. Z odległości trzystu metrów można było usłyszeć muzykę i ciężkie dudnienie basów. Tak wiele samochodów tłoczyło się pod domem, że musieliśmy przejść pieszo prawie całą tę odległość.

Pete zaparkował i wysiedliśmy. Znowu poczułem się niepewny i skrępowany (częściowo powodowały to resztki trawki, a częściowo po prostu ja sam), martwiłem się jak młodo i głupio będę prawdopodobnie wyglądał przy tych wszystkich ludziach z college'u. Jerry Mueller pewnie był wyjątkiem. Zdecydowałem, że będę milczeć i trzymać się blisko Joego.

Jak się okazało, mogłem oszczędzić sobie zmartwienia. Dom wypełniony był po brzegi, jakimś milionem ludzi, licząc na oko, a każdy z nich był pijany, albo naćpany, albo jedno i drugie. Woń marihuany wisiała w powietrzu jak ciężka mgła, razem z zapachem wina i jedzenia. Słyszać było rozmowy, głośną muzykę rockową i śmiech. Dwa reflektory obracały

się pod sufitem, jeden czerwony, jeden niebieski. To uwieńczyło pierwsze wrażenie jakie miałem po wejściu do środka - wyglądało tutaj jak w dyskotecce na Old Orchard Beach.

Scragg machał do nas z drugiego końca pokoju.

"Pete!" pisnął ktoś, prosto w moje ucho. Podskoczyłem i prawie udławiłem się własnym językiem.

To była nieduża, prawie ładna dziewczyna z rozjaśnionymi włosami i w najkrótszej sukience jaką w życiu widziałem - miała kolor jasnego, fluorescencyjnego oranżu, który w tym dziwnym oświetleniu wydawał się żyć własnym życiem.

- Cześć, Dana! - Pete przekrzykiwał hałas. - To mój brat Joe, i jeden z jego kumpli, Charlie Decker.

Przywitała się z nami obydwojema. "Czy to nie wspaniała impreza?" zapytała mnie. Kiedy się poruszała, brzeg sukienki wirował wokół koronkowego brzegu jej majtek.

Powiedziałem, że to wspaniała impreza.

- Przyniosłeś jakiś towar, Pete? - Pete wyszczerzył zęby w uśmiechu i podniósł w górę torebkę z zielskiem. Jej oczy zabłyśły. Stała tuż obok mnie, jej biodro przypadkowo napierało na moje. Czulem dotyk jej nagiego uda. Zaczynałem napalać się jak byk w rui.

- Dawaj to tutaj. - powiedziała.

Znaleźliśmy stosunkowo wolny kąt za jednym z głośników i Dana wyciągnęła wielką, zwiniętą fajkę wodną z niskiej półeczki, która niemalże ugięła się pod ciężarem Hessego, Tolkiena i skróconych książek z serii Reader's Digest. Te ostatnie należały do jej rodziców, zdałem sobie sprawę. Zaczęliśmy się zaciągać. Trawka w fajce wodnej była o wiele łagodniejsza i mogłem dłużej utrzymać dym w płucach. Znow zacząłem wzlatywać bardzo wysoko. Moja głowa wypełniała się helem. Ludzie podchodzili i odchodzili. Przedstawiano nas sobie, o czym natychmiast zapomniałem. Najbardziej podobało mi się, że za każdym razem, kiedy ktoś przechodził obok nas, Dana podskakiwała aby zatrzymać jego lub ją. A kiedy to robiła, mogłem zajrzeć wprost pod jej sukienkę, gdzie Niebiańska Przystań okryta była jedynie mgiełką niebieskiego nylonu. Ktoś zmieniał płyty. Patrzyłem, jak ludzie kręcą się wokół nas (niektórzy z nich rozmawiali bez wątplenia o Michale Aniele, Tedzie Kennedym, albo o Kurcie Vonnegucie). Jakaś kobieta zapytała, czy czytałem "Gwałcicieli kobiet" Susan Brownmiller. Odparłem, że nie. Powiedziała, że to bardzo cienka książka. Podniosła palce na wysokość oczu, żeby pokazać mi jak bardzo jest cienka, a później powędrowała dalej. Wpatrywałem się w jaskrawy plakat na przeciwległej ścianie, który przedstawiał faceta w podkoszulce siedzącego przed telewizorem. Oczy powoli wypływały mu na policzki, a na jego ustach widniał wielki, szczęśliwy uśmiech. Napis na plakacie głosił: CHOLEEERA! PIĄTKOWY WIECZÓR, A JA ZNÓW JESTEM NAWALONY!

Obserwowałem jak Dana krzyżuje i prostuje nogi. Kilka nitek jej włosów łonowych, o dziewięć odcieni ciemniejszych niż fryzjerska robota na jej głowie, wymknęło się spod koronkowego obrzeżenia majtek. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej był tak napalony. Wątpię, czy jeszcze kiedyś poczuję coś podobnego. Mój instrument wydawał się tak wielki i tak długi, że można było używać go jako tyczki do skakania. Zaczynałem się zastanawiać, czy męski organ płciowy może eksplodować.

Odwróciła się do mnie i nieoczekiwanie zaszepotała mi do ucha. Temperatura w żołądku od razu wzrosła mi o dwadzieścia stopni, jak gdybym właśnie najadł się chili. Chwilę wcześniej rozmawiała z Pete'em i jakimś zartownisem, który, o ile pamiętałem, nie został przedstawiony. Później zaszepotała mi do ucha, jej oddech połaskotał mnie. "Wyjdź tylnymi drzwiami", powiedziała. "Tam." Wskazała palcem.

Nie mogłem zrozumieć o czym mówi, więc po prostu spojrzałem w kierunku, który pokazywała. Tak, były tam drzwi. Realne i śmiertelnie poważne. Miały nie byle jaką klamkę.



Zaśmiałem się sam do siebie, przekonany, że właśnie wymyśliłem coś szczególnie błyskotliwego. Dana roześmiała się lekko wprost w moje ucho i powiedziała: "Przez cały wieczór zagładasz mi pod sukienkę. Co to może znaczyć?" I zanim zdołałem wykrztusić choćby słowo, pocałowała mnie miękko w policzek i popchnęła leciutko do wyjścia.

Rozejrzałem się za Joem, ale nigdzie nie było go widać. Przykro mi, Joe. Wstałem i usłyszałem jak moje kolana strzeliły. Zesztywniały mi nogi od długiego siedzenia w jednej pozycji. Miałem wielką ochotę wyciągnąć koszulę ze spodni, żeby zasłonić wielkie wyrzuszenie w dzinsach. Miałem ochotę przemknąć przez pokój na paluszkach. Miałem ochotę zarechotać dziko i oznajmić wszystkim tutaj obecnym, iż Charles Everett Decker szczerze wierzy, że oto trafia mu się okazja żeby sobie popieprzyć; że - aby użyć kiepskiej gry słownej - Charles Everett Decker odbędzie swój dziewiczy rejs.

Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy.

Wyszedłem tylnymi drzwiami.

Byłem tak naćpany i podniecony, że o mało nie runąłem sześć metrów w dół, na małe białe kamyczki plaży, która rozciągała się poniżej. Tylna strona domu wychodziła na strome skaliste urwisko, z którego rozciągał się widok na zatoczkę wielkości znaczka pocztowego. Podniszczone schody wiodły w dół. Schodziłem uważnie, trzymając się poręczy. Moje stopy wydawały się oddalone o tysiąc kilometrów. Po tej stronie muzyka była oddalona, zmieszana z szumem fal i nieomal zagłuszona przez ich rytmiczny dźwięk.

Skrawek księżycy i leciutka bryza; widok był tak zniewalająco piękny, że przez chwilę czułem się jakbym wkroczył w czarno - białą widokówkę. Domek, który zostawiłem za sobą, był zaledwie mglistym zarysem. Po obu stronach drzewa wspinały się ku niebu, sosny i jodły, nachylające się ku bliźniaczym odgałęzieniom przyłodka z nagiej skały, pomiędzy którymi znajdowała się sierpowata plaża, obmywana przez fale. Przede mną rozciągał się przestwór Atlantyku, pocętkowany nikłymi plamkami księżycowego światła. Daleko po lewej stronie mogłem dostrzec ledwie widoczny zarys wyspy, i zastanowiłem się przez chwilę, kto wędrował tam tej nocy, za wyjątkiem wiatru. To była samotna myśl i sprawiła, że zadrzałem lekko.

Zdjąłem buty i czekałem na Danę.

Nie wiem ile czasu minęło, zanim się pojawiła. Nie miałem zegarka, a byłem za bardzo nawalony, żeby móc to ocenić. Ale po małej chwili zaczął zakradać się niepokój. Może było coś w cieniach drzew padających na mokry, ubity piasek, albo w dźwięku wiatru? Może spowodował to sam ocean, wielka sprawa, wredny sukinsyn, pełen ukrytego życia i tych małych punkcików światła. Może zimny dotyk piasku pod moimi bosymi stopami. Może żadna z tych rzeczy, może wszystkie razem i jeszcze coś na dodatek. Tak czy inaczej, do momentu kiedy Dana położyła mi dłoń na ramieniu, po erekcji nie pozostało ani śladu. Wyatt Earp wkraczał do OK Corral z nie nabitą splotką.

Obróciła mnie w swoją stronę, stojąc na palcach, całując mnie. Czułem ciepło jej ud, ale teraz już nie znaczyło to dla mnie wiele. "Widziałam jak na mnie patrzyłeś", oto co powiedziała. "Czy jesteś miły? Czy potrafisz być miły?"

- Mogę spróbować. - powiedziałem do niej, czując się nieco absurdalnie. Dotykałem jej piersi, a ona trzymała mnie blisko siebie. Ale erekcji nadal nie było.

- Nie mów Pete'owi. - poprosiła, biorąc mnie za rękę. - Zabiłby mnie. Pomiędzy nami... jest coś.

Poprowadziła mnie pod tylne schody, gdzie trawa była miękka i usłana aromatycznymi sosnowymi igłami. Cienie tworzyły chłodny zarys żaluzji na jej ciele, kiedy wyslizgiwała się z sukienki.

- To kompletne szaleństwo. - oznajmiła podnieconym głosem.

A później zabawialiśmy się i zdjęła mi koszulę. Pracowała nad zatrząskiem na przodzie moich dzinsów. Ale mój kutas nadal miał przerwę na kawę. Dotknęła mnie, wsunęła rękę w moje gatki, a ja poczułem jak mięśnie w tym miejscu kurczą się - nie z przyjemności, czy obrzydzenia, ale w jakimś panicznym strachu. Jej dłoń była jak z gumy, zimna, bezosobowa i antyseptyczna.

- No chodź. - szeptała. - No chodź, chodź, chodź...

Staralem się myśleć o czymś podniecającym, o czymkolwiek. O tym, jak zaglądałem pod spódnicę Darleen Anderson w sali do nauki własnej, a ona wiedziała o tym, i pozwoliła mi. O talii francuskich kart Maynarda Quinna, tej ze świńskimi obrazkami. Myślałem o Sandy Cross w seksownych czarnych majteczkach i ta myśl wreszcie spowodowała, że coś się poruszyło, tam na dole... i wówczas, wśród wszystkich rzeczy, które krążyły po mojej wyobraźni, ujrzałem mego ojca z jego myśliwskim nożem, omawiającego Operację Nosa W Stylu Czirokezów.

["Niby co?" zapytał Corky Herald. Wyjaśniłem Operację Nosa. "Och." skwitował Corky. Ciągnąłem dalej.]

To załatwiło sprawę. Wszystko znów zmieniło się w makaron. A po tym nie było już nic. I nic. I nic. Dzinsy dołączyły do koszuli. Majtki miałem oplątane gdzieś w okolicy kostek. Ona drżała pode mną, czułem to, była jak naprężona struna instrumentu. Sięgnąłem w dół, uchwyciłem swojego penisa i potrząsnąłem nim, jak gdybym chciał zapytać co się z nim dzieje. Ale Pan Penis nie był rozmowny. Pozwoliłem, aby moja dłoń błądziła wokół, aż do tego gorącego miejsca, gdzie łączyły się jej uda. Czułem jej włosy łonowe, lekko poskręcane, zaskakująco podobne do moich własnych. Wsunąłem badawczo palec do jej wnętrza, myśląc: *To jest to miejsce. To jest miejsce, o którym mężczyźni, tacy jak mój ojciec, opowiadają kawały na wyprawach myśliwskich i w zakładach fryzjerskich. Mężczyźni gotowi są zabić, żeby się do niego dostać. Zmusz je, aby się otworzyło. Zdobądź bazę, walnij kijem. Weź ją... albo zostaw.*

- Gdzie to jest? - szeptała Dana wysokim głosem, bez tchu. - Gdzie to jest? Gdzie?...

Próbowałem. Ale nadal wyglądało to jak w starym dowcipie o facecie, starającym się wcisnąć marmoladkę do świnki - skarbonki. Nic z tego. I przez cały czas słyszałem miękkiego odgłos oceanu obmywającego plażę, jak ścieżkę dźwiękową jakiegoś sentymentalnego filmu. Stoczyłem się z niej.

- Przepraszam. - mój głos był szokująco głośny, zachrypnięty.

Usłyszałem jej westchnienie. To był krótki, poirytowany dźwięk.

- W porządku. - stwierdziła. - Zdarza się.

- Nie mnie. - oznajmiłem, jak gdyby to był pierwszy taki przypadek, spośród tysięcy aktów seksualnych, kiedy mój ekwipunek zawiódł. Niewyraźnie słyszałem Micka Jaggera i Stonesów wykrzykujących "Hot Stuff". Jedna z drobnych ironii życia. Nadal czułem się wypompowany, ale to było beznamienne uczucie, pozbawione głębi. Chłodna pewność, że jestem pedałem wzniosła się we mnie jak przyptyw. Czytałem gdzieś, że wcale nie musisz mieć żadnych doświadczeń homoseksualnych, żeby stać się pedałem; możesz nim być i nie wiedzieć o tym, aż do momentu kiedy ciota wyskoczy z szafy wewnątrz ciebie, jak matka Normana Batesa w "Psychozie", groteskowy aktor, afektowany i paradujący radośnie w makijażu Mamuśki i w jej butach.

- Teraz się zdarzyło. - powiedziała. - Pete...

- Słuchaj. Przepraszam.

Posłała mi uśmiech, który wyglądał bardzo sztucznie. Do tej pory zastanawiam się, czy był wymuszony, czy nie. Chciałbym wierzyć, że to był prawdziwy uśmiech.

- To przez narkotyki. Myślę, że jesteś wspaniałym kochankiem, kiedy wszystko jest w porządku.

- Ja pierdolę. - powiedziałem i zadrzałem słysząc martwy ton w moim głosie.

- Nie. - usiadła. - Ja wracam. Oczekaj chwilę, zanim wejdiesz do środka.

Chciałem powiedzieć, żeby poczekała, żeby pozwoliła mi spróbować jeszcze raz, ale wiedziałem, że mógłbym próbować, aż morza wyschną, a księżyc zaśnieje ze starości. Wśliznęła się z powrotem w sukienkę i odeszła, zostawiając mnie u podnóża schodów. Księżyc obserwował mnie uważnie, pewnie w nadziei, że wybuchnę płaczem. Nie miałem takiego zamiaru. Po krótkiej chwili pozbierałem swoje porzucane rzeczy i oczyściłem się z liści, leżących tutaj od zeszłej jesieni. A później wszedłem na górę po schodkach. Pete i Dana gdzieś zniknęli. Joe tkwił w kącie, całując się bez opamiętania z kompletnie naćpaną dziewczyną, która trzymała dłonie wczepione w strzechę jego blond włosów. Usiadłem i czekałem aż impreza się skończy. W końcu się doczekałem.

Zanim cała nasza trójka dotarła z powrotem do Bangor, świt zdążył już wyciągnąć ze swojej torby większość niespodzianek, a czerwona krawędź słońca zerkąła na nas spomiędzy kominów fabrycznych w pięknym centrum Brewer. Żaden z nas nie miał wiele do powiedzenia. Czuję się zmęczony i sponiewierany, i niezdolny do ocenienia szkód, jakie mi wyrządzono. Miałem przygnębiające wrażenie, że dostałem więcej niż rzeczywiście potrzebowałem.

Weszliśmy do mieszkania i padłem na wąską leżankę w salonie. Ostatnią rzeczą jaką zobaczyłem przed zaśnięciem były promienie słońca padające przez żaluzje na mały dywanik leżący pod grzejnikiem.

Śniłem o Szurającym Stworze. Było prawie tak samo jak wtedy, kiedy byłem mały, ja w łóżku, na suficie poruszające się cienie, rzucane przez drzewo za oknem, monotony, złowieszczy dźwięk. Tyle tylko, że tym razem odgłos przybliżał się i przybliżał, aż wreszcie drzwi sypialni otworzyły się raptownie, z okropnym trzaskiem, brzęcącym jak ostateczna zagłada.

To był mój ojciec. Matka spoczywała w jego ramionach. Nos miała szeroko rozcięty, a krew spływała po jej policzkach jak barwy wojenne.

- Chcesz ją? - powiedział. - Masz, bierz ją, ty nic nie warty śmieciu. Bierz ją.

Rzucił ją na łóżko obok mnie, a ja zobaczyłem, że jest martwa i wtedy obudziłem się z wrzaskiem.

I z erekcją.

## Rozdział 27

Nikt nie skomentował mojej opowieści, nawet Susan Brooks. Poczuję zmęczenie. Nie wydawało się, żeby ta historia zrobiła na nich wielkie wrażenie. Większość znów wyglądała przez okna, chociaż przez ostatnią godzinę nie przybyło tam nic nowego do obejrzenia - właściwie to nawet ubyło, odkąd przegoniono wszystkich przechodniów. Stwierdziłem, że to, co opowiadała Sandra brzmiało lepiej. Przynajmniej był orgazm na zakończenie.

Ted Jones wpatrywał się we mnie swoim zwykłym płonącym wzrokiem (wydawało mi się, że obrzydzenie jakie do mnie czuł zostało całkowicie zastąpione przez nienawiść, i nawet ucieszyło mnie to trochę). Sandra Cross przebywała w swoim własnym świecie. Pat Fitzgerald starannie składał kartkę z ćwiczeń do matematyki w aerodynamicznie wrażliwym samolociku.

Nagle Irma Bates znów wyskoczyła buntowniczo

- Muszę iść do *łazienki!*

Westchnąłem. Zabrzmiało to bardzo podobnie do westchnienia Dany Colette, jakie pamiętałem ze Schoodic Point.

- No to idź.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Ted zamrugał. Don Lordi zaśmiał się pod nosem.

- Zastrzełiłbyś mnie.

Spojrzałem na nią.

- Musisz iść do sracza, czy nie?

- Mogę wstrzymać. - oznajmiła z nadąsaną miną.

Wydąłem policzki, w sposób, w jaki robił to mój ojciec, kiedy coś sprawiało mu kłopot.

- No więc albo idź, albo przestań wiercić się na krześle. Nie potrzebujemy kałuży pod twoją ławką.

Corky skwitował to wyciem. Sarah Pasterne wyglądała na zaszokowaną.

Z miną, jakby chciała mnie opluć, Irma wstała i poczłapała do drzwi. Zarobiłem przynajmniej jeden punkt: Ted gapił się teraz na nią, zamiast na mnie. Kiedy już dotarła do drzwi zatrzymała się niepewnie, z dłonią zawieszoną nad klamką. Wyglądała jak ktoś, kogo poraził prąd w trakcie poprawiania anteny telewizyjnej i teraz zastanawia się, czy spróbować jeszcze raz.

- Nie zastrzelisz mnie?

- Idziesz do tego kibla, czy nie? - zapytałem. Nie wiedziałem, czy mam zamiar ją zastrzelić. Nadal byłem poruszony (a może zazdrosny?) faktem, że w opowieści Sandry wydawało się tkwić znacznie więcej mocy niż w mojej własnej. W jakiś nieokreślony sposób oni wzięli nade mną górę. Miałem idiotyczne wrażenie, że to nie ja przetrzymuję ich, tylko na odwrót. Za wyjątkiem Teda, oczywiście. My wszyscy więziliśmy Teda.

Może i miałem zamiar ją zastrzelić. Z pewnością nie miałem nic do stracenia. Może to by nawet pomogło. Może pozbyłbym się dzięki temu owego szaleńczego poczucia, że oto obudziłem się w samym środku nowego snu.

Otworzyła drzwi i wyszła. Nawet nie podniosłem pistoletu z dziennika. Drzwi zamknęły się. Słyszeliśmy jej kroki, zmierzające w głąb korytarza, nie zwiększające tempa, nie zrywające się do biegu. Wszyscy wpatrywali się w drzwi, jak gdyby coś kompletnie niewiarygodnego wetknęło przez nie głowę, puściło oczko, a później sobie poszło.

Jeżeli o mnie chodzi, to miałem dziwne poczucie ulgi, uczucie tak subtelne, że nawet nie umiałbym go wytłumaczyć.

Odgłosy stąpania zamarły.

Cisza. Czekałem, aż ktoś inny zapyta, czy może wyjść do łazienki. Czekałem, aż ujrzę Irmę Bates wypadającą z obłędem w oczach przez frontowe drzwi, wprost na pierwsze strony niezliczonych gazet. Nic takiego się nie wydarzyło.

Pat Fitzgerald zaszeleścił skrzydłami swojego samolociku. To był donośny dźwięk.

- Wyrzuć to w jasną cholerę. - powiedział z irytacją Billy Sawyer. - Nie uda ci się zrobić papierowego samolotu z kartki z ćwiczeń. - Pat nie wykonał żadnego ruchu, żeby wyrzucić to w jasną cholerę. Billy nie mówił nic więcej.

Nowe kroki, zmierzające w naszą stronę.

Uniosłem pistolet i wycelowałem go w drzwi. Ted wyszczerzył się na mnie, ale chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Popatrzyłem na jego twarz, na gładkie, konwencjonalnie przystojne płaszczyzny policzków, na czoło, skrywające wszystkie te wspomnienia o letnich dniach spędzanych w country clubie, tańcach, samochodach, piersiach Sandy, spokoju, ideałach poprawności; i nagle uświadomiłem sobie jak brzmi ostatnia zasada w tym biznesie;

być może w ogóle istniała tylko jedyna zasada; a co ważniejsze, wiedziałem, że jego wzrok był wzrokiem jastrzębia, a jego ręce wykute były z kamienia. Mógł być moim własnym ojcem, ale to nie miało znaczenia. Zarówno on jak i Ted byli tacy sami, niedostępni na swoim Olimpie: bogowie. Ale moje ramiona były zbyt zmęczone by burzyć świątynie. Nie zostałem stworzony na Samsona.

Jego oczy były tak bystre i szczere, tak przerażająco stanowcze - to były oczy polityka.

Pięć minut wcześniej, odgłos kroków nie byłby niczym złym, rozumiecie? Pięć minut wcześniej mógłbym przywitać je, odłożyć broń na biurko i wyjść im na spotkanie, może rzucając jedynie bojaźliwe spojrzenie na ludzi, których zostawiam za sobą. Ale teraz to właśnie owe kroki mnie przerażały. Bałem się, że Philbrick zdecydował się skorzystać z mojej oferty - że przyszedł wyłączyć główną linię i pozostawić nasze sprawy nie zakończone. Ted Jones pożądliwie wyszczerzył zęby.

Reszta czekała, wpatrując się w drzwi. Palce Pata zastygły na jego papierowym samolociku. Dick Keene siedział z szeroko otwartymi ustami i w tej chwili po raz pierwszy udało mi się dostrzec rodzinne podobieństwo pomiędzy nim, a jego bratem Flapperem, przypadkiem o szczątkowej inteligencji, który ukończył naszą szkołę po sześciu mozolnych latach. Flapper obecnie robił pracę podyplomową w Więzieniu Stanowym Thomaston, doktoryzując się z obsługi pralek i nowatorskiego ostrzenia łyżek.

Bezkształtny cień zaczął kształtować się na szybie, jak zawsze, kiedy szkło jest chropowate i matowe. Ustawiłem pistolet w pozycji dogodnej do strzelania i przygotowałem się. Kątem prawego oka mogłem dostrzec jak klasa przygląda mi się z zachłanną fascynacją, w sposób w jaki mogliby oglądać najnowszy filmu z Bondem, gdzie ilość trupów gwałtownie wzrasta pod koniec.

Zdławiony dźwięk, jak gdyby kwilenie, wyrwał się z mojego gardła.

Drzwi otworzyły się i Irma Bates weszła do środka. Rozejrzała się poirytowanym wzrokiem, niezbyt zachwycona odkryciem, że wszyscy gapią się na nią. George Yannick zaczął chichotać i oznajmił "Zgadnij, kto przyjdzie na obiad". Nit inny się nie roześmiał: to był prywatny dowcip George'a. Cała nasza reszta nadal wpatrywała się w Irmę.

- No i co się tak na mnie gagicie? - zapytała ze złością, trzymając dłoń na klamce. - Ludzie naprawdę chodzą do toalety, nie wiedzieliście o tym? - Zamknęła drzwi, podeszła do swojej ławki i usiadła sztywno.

Dochodziło południe.

## Rozdział 28

Frank Philbrick zjawił się dokładnie o czasie. *Brzdęk*, i już był na linii. Tym razem wydawało się, że nie sapał i nie dmuchał tak fatalnie. Być może chciał mnie udobruchać. Albo może przemyślał moją radę dotyczącą sposobu w jaki mówi, i zdecydował się do niej zastosować. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Bóg świadkiem.

- Decker?

- Jestem tutaj.

- Posłuchaj, ten przypadkowy strzał, który padł przez okno, nie był zamierzony. Jeden z ludzi z Lewiston...

- Nie zwracajmy sobie tym więcej głowy, Frank. - stwierdziłem. - Zawstydzasz mnie i wszystkich ludzi, którzy są tutaj ze mną. Oni widzieli co się stało. A jeżeli masz jakiegokolwiek poczucie przyzwoitości, a jestem pewien, że masz, to zawstydzasz również siebie samego.

Przerwa. Pewnie musiał się opanować.

- W porządku. Czego chcesz?

- Niewiele. Wszyscy wychodzą stąd o pierwszej po południu. Za dokładnie... - zerknąłem na ścienny zegar - ...pięćdziesiąt siedem minut, według tego, co wskazuje nasz zegar. Bez zadraśnięcia. Gwarantuję to.

- Czemu nie teraz?

Popatrzyłem na nich. Atmosfera wydawała się ciężka i niemalże uroczysta, jakbyśmy zawierali pomiędzy sobą pakt, podpisany czyjąś krwią.

Starannie ważąc słowa powiedziałem

- Mamy tutaj jeszcze interes do sfinalizowania. Musimy zakończyć całą tę zabawę.

- O co chodzi?

- To już nie twoje zmartwienie. Ale my wszyscy wiemy o co chodzi. - Nie było w sali ani jednej pary oczu, która wyrażałaby niepewność. Wiedzieli doskonale, i bardzo dobrze, ponieważ pozwalało to oszczędzić czasu i zachodu. Czułem się bardzo zmęczony.

- Słuchaj teraz uważnie, Philbrick, żeby nie było żadnych nieporozumień, kiedy będę przedstawiał ostatni akt naszej małej komedii. Za około trzy minuty ktoś zaciągnie wszystkie rolety w oknach.

- Nie ma takiej możliwości, Decker. - zabrzmiał jak prawdziwy twardziel.

Ze świstem wypuściłem powietrze przez zęby. Cóż to za zadziwiający człowiek. Nic dziwnego, że potrafił spieprzyć wszystkie te gadki o bezpiecznej jeździe.

- Kiedy wreszcie dotrze do twojego łba, że to ja tutaj dowodzę? - zapytałem go. - Ktoś zaciągnie tutaj rolety, Philbrick, i to nie będę ja. Tak więc, jeżeli kogoś zastrzelisz, będziesz mógł wpiąć sobie odznakę w dupę i pocałować je obie na do widzenia.

Nic.

- Milczenie oznacza zgodę. - powiedziałem, siłąc się na wesołość. Nie było mi wesoło. - Ja również nie będę w stanie zobaczyć co ty robisz, ale niech nie przychodzą ci do głowy żadne cwane pomysły. Jeżeli coś zrobisz, jednej z osób tutaj stanie się krzywda. Jeżeli posiedzisz spokojnie do pierwszej, wszystko znów będzie w porządku a ty staniesz się wielkim odważnym policjantem, którego wszyscy wysławiają. No i co ty na to?

Wahał się przez długą chwilę.

- Niech mnie diabli, jeżeli *mówisz* jak szaleniec. - odparł wreszcie.

- Co ty na to?,

- Skąd mam wiedzieć, że nie zmienisz zdania, Decker? Że nie przesuniesz terminu na drugą? Albo trzecią?

- Co ty na to? - pytałem nieubłaganie.

Kolejna pauza.

- W porządku. Ale jeżeli skrzywdzisz któreś z tych dzieciaków...

- Zabierzesz mi moje świadectwo z czerwonym paskiem, wiem. Spadaj, Frank.

Czułem, jak chce powiedzieć coś ciepłego, wspaniałego i błyskotliwego, coś, co mogłoby ustalić jego pozycję na wieki, coś w rodzaju: Pierdol się, Decker lub: Wsadź to sobie głęboko w dupę, Decker; ale nie do końca miał odwagę. Tutaj, pomimo wszystko, były młode dziewczęta. "O pierwszej po południu", powtórzył. Interkom ucichł. Chwilę później Frank szedł już po trawie.

- Jakież to brudne, małe onanistyczne fantazje przygotowałeś tym razem, Charlie? - zagadnął Ted, nadal z przyklejonym uśmiechem.

- Czemu sobie nie odpuścisz, Ted? - zapytał obojętnie Harmon Jackson.

- Kto na ochotnika do zaciągnięcia rolet? - spytałem. Kilka rąk uniosło się w górę. Wskazałem na Melvina Thomasa i poradziłem - Zrób to powoli. Oni tam przypuszczalnie są nerwowi.

Melvin zrobił to powoli. Z płóciennymi roletami opuszczonymi aż do parapetów, sala nabrała na wpół nierealnego odcienia szarzysty. Przygaszone cienie zgromadziły się w kątach jak wygłodniałe nietoperze. Nie podobało mi się to. Te cienie sprawiały, że robiłem się niespokojny.

Zwróciłem się do Tanis Gannon, która siedziała w rzędzie najbliższej drzwi.

- Czy zechcesz obdarzyć nas światłem?

Uśmiechnęła się wstydliwie, jak debiutantka, i podeszła do przełącznika. Chwilę później zapłonęły jarzeniowe lampy, co nie było wiele lepsze od cieni. Pragnąłem słońca i widoku błękitnego nieba, ale nic nie powiedziałem. Tanis wróciła na miejsce i starannie wygładziła spódnicę z tyłu zanim usiadła.

- Aby użyć znakomitego określenia Teda, - powiedziałem - tylko jedna onanistyczna fantazja pozostała zanim przejdziemy do rzeczy - albo połączymy połówki w jedną całość, jeżeli wolicie spojrzeć na to w ten sposób. To historia pana Carlsona, naszego byłego nauczyciela chemii i fizyki, historia, którą dobry stary Tom Denver zdołał usunąć z papierów, ale, jak to mówią, nie z naszych serc.

I jak mój ojciec i ja rozwiązaliśmy sprawę mojego zawieszenia.

Popatrzyłem na nich, czując okropny tępy ból z tyłu czaszki. W którymś miejscu wszystko wysliznęło mi się z rąk. Wspomniałem Myszkę Miki jako ucznia czarnoksiężnika w starej kreskówce Disneya, "Fantazji". *Ja* ożywiłem miotły, ale gdzie teraz podziewał się dobrotliwy, stary czarodziej, który mógłby wypowiedzieć zaklęcie wstak i ułożyć miotły z powrotem do snu?

Głupi, głupi.

Obrazy zawirowały mi przed oczami, setki obrazów, fragmenty snów, fragmenty rzeczywistości. Niemożliwością było oddzielić jedno od drugich. Szaleństwo zaczyna się wtedy, kiedy nie możesz już dostrzec ściegów, którymi zszyty jest świat. Przypuszczam, że nadal istniała szansa, iż mogę obudzić się we własnym łóżku, bezpieczny i wciąż zdrowy, a przynajmniej na wpół zdrowy na umyśle, ponury nieodwołalny krok wciąż nie został zrobiony (w każdym razie, jeszcze nie), a wszystkie postaci z tego szczególnego koszmaru uciekają w popłochu z powrotem do swych jaskiń w podświadomości. Ale nie liczyłem na nią.

Brązowe dłonie Pata Fitzgeralda pracowały nad papierowym samolocikiem jak posępne palce śmierci we własnej osobie.

Powiedziałem:

Rozdział 29

Nie istniał żaden powód, dla którego zacząłem przynosić klucz hydrauliczny do szkoły.

Teraz, nawet po tym wszystkim, nie mogę wyodrębnić głównej przyczyny. Żołądek dokuczał mi przez cały czas i zazwyczaj wyobrażałem sobie, że ludzie szukają okazji do walki ze mną, nawet kiedy nie mieli takiego zamiaru. Bałem się, że mógłbym zasłabnąć podczas zajęć gimnastycznych, a ocknąwszy się zobaczyć wszystkich stojących w kręgu wokół mnie, śmiejących się i pokazujących palcami... a może wspólnie walących konia. Nie sypiałem za dobrze. Miewałem cholernie dziwaczne sny i przerażało mnie to, ponieważ niektóre z nich kończyły się wytryskiem, a nie należały do tego rodzaju snów po których spodziewałbyś się obudzić z mokrą plamą na prześcieradle. W jednym z nich wędrowałem po podziemiach starego zamku, które wyglądały jak dekoracja z taniego filmu wytwórni

Universal. Stała tam trumna z uniesionym wiekiem, a kiedy zajrzałem do środka zobaczyłem mojego ojca z rękami skrzyżowanymi na piersi. Był schludnie odziany w swój galowy mundur Marynarki Wojennej, a w krocze wbity miał osinowy kołek. Otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie. Zamiast zębów miał kły. W innym znów śnie moja matka robiła mi lewatywę, a ja błagałem, żeby się pospieszyła, bo Joe czeka na mnie na zewnątrz. Tyle tylko, że Joe był tutaj, wyglądając zza ramienia mojej mamy i trzymając dłonie na jej piersiach, podczas kiedy ona naciskała czerwoną gumową gruszkę, pompując mi mydliny w dupę. Były też i inne, na tysiące różnych tematów, ale nie chcę się w to zagłębiać. To wszystko bzdury w stylu Napoleona XIV.

Klucz hydrauliczny znalazłem w garażu, w starej skrzynce z narzędziami. Nie był zbyt duży, ale na jednym końcu miał pokrytą rdzą oprawkę. I przyjemnie ciążył mi w ręce. To była zima, więc codziennie chodziłem do szkoły w wielkim, grubym swetrze. Miałem ciotkę, która przysyłała mi dwa takie swetry rocznie, na urodziny i na Gwiazdkę. Dziergała je na drutach i zawsze sięgały mi poniżej bioder. Zacząłem zatem nosić klucz hydrauliczny w tylnej kieszeni. Towarzyszył mi wszędzie. Jeśli nawet ktoś go kiedyś zauważył, to nie skomentował. Na krótki czas przywróciło mi to równowagę, ale to nie potrwało długo. Bywały dni, kiedy wracałem do domu czując się jak struna od gitary, którą ktoś nastroił o pięć oktaw powyżej jej właściwej pozycji. W te dni mówiłem mamie cześć, po czym szedłem na górę, i albo szlochałem, albo śmiałem się w poduszkę tak długo, aż czułem, że wypruwam sobie flaki. Przerażało mnie to. Kiedy robisz takie rzeczy, to niedaleka już droga do wariackowa.

Dniem, w którym omal nie zabiłem pana Carlsona, był trzeci marca. Padało, a resztki śniegu ściekały małymi, paskudnymi strużkami. Myślę, że nie muszę dokładnie objaśniać co się wtedy stało, bo większość z was była tam i widziała wszystko. Miałem klucz w tylnej kieszeni. Carlson wywołał mnie do tablicy, żebym rozwiązał zadanie, a ja zawsze tego nienawidziłem - jestem kiepski z chemii. Za każdym razem, kiedy miałem iść do tej cholerniej tablicy, oblewałem się potem.

To było jakieś zadanie o ciężarku na równi pochyłej, zapomniałem już o co w nim chodziło, ale kompletnie je spierdoliłem. Pamiętam, jak myślałem, że facet ma cholerny tupet, że trzyma mnie tutaj, przed wszystkimi i każe opieprzać się z jakimiś pierdołami o równi pochyłej, co w zasadzie było zadaniem z fizyki. Pewnie zostało mu na tablicy po poprzednich zajęciach. A on zaczął się ze mnie nabijać. Zapytał, czy pamiętam ile jest dwa dodać dwa, czy słyszałem kiedykolwiek o dzieleniu przez liczbę wielocyfrową, wspaniałe odkrycie, powiedział, ha-ha, prawdziwy Henry Youngman. Kiedy pomyliłem się po raz trzeci, stwierdził "Naprawdę, to po prostu *wspaniaaaale*, Charlie. *Wspaniaaaale*". Brzmiał zupełnie jak Dicky Cable. Przypominał go tak bardzo, że aż odwróciłem się szybko, żeby sprawdzić. Przypominał go tak bardzo, że sięgnąłem po klucz hydrauliczny do tylnej kieszeni, zanim w ogóle zdążyłem pomyśleć. Żołądek miałem mocno ściśnięty, i wydawało mi się, że za chwilę pochylę się i zarzycam całą podłogę.

Uderzyłem dłonią w tylną kieszeń spodni i klucz wypadł. Uderzył o podłogę i zadzwieczał.

Pan Carlson spojrzął na niego. "O, a to co?" zdziwił się i zaczął sięgać po klucz.

- Niech pan tego nie dotyka. - powiedziałem i sam spróbowałem go schwycić.

- Pokaż mi to, Charlie. - wyciągnął rękę.

Miałem wrażenie, że pędzę w dwunastu kierunkach naraz. Część mojego umysłu krzyczała we mnie - właściwie to wrzeszczała jak dziecko zamknięte w ciemnym pokoju z okropnymi, szczerzącymi zęby upiorami.

- Nie. - odparłem. A wszyscy *patrzyli* na mnie. Wszyscy się gapili.

- Możesz oddać to albo mnie, albo panu Denverowi. - powiedział.



Wtedy coś dziwnego zaczęło dziać się we mnie... tyle tylko, że kiedy teraz o tym myślę, nie ma w tym niczego dziwnego. W każdym z nas musi przebiegać granica, bardzo wyraźna, jak ta, która oddziela oświetloną stronę planety od ciemnej. Wydaje mi się, że taką granicę nazywają terminatorem. To bardzo dobre określenie. W jednej chwili byłem przerażony, a w następnej zimny jak ryba.

- Dam ci go, staruszk. - oznajmiłem i zacisnąłem palce na uchwycie. - Gdzie chcesz go dostać?

Spojrzał na mnie z zaciśniętymi ustami. W swoich grubych okularach w szylkretowej oprawie wyglądał jak jakiś gatunek owada. Bardzo głupiego owada. Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnąłem. Roboczą częścią klucza znów walnąłem w dłoń.

- W porządku, Charlie. - powiedział. - Daj mi tę rzecz, a później idź do dyrektora. Dołączę do was po zajęciach.

- Chrząć się. - stwierdziłem i machnąłem w tył ręką z kluczem. Zawadziłem o ciemnoszarą powierzchnię tablicy, w powietrze pofrunęły drobne odpryski. Na oprawkę klucza posypał się żółty kredowy pył, ale gorszych następstw owego bliskiego spotkania nie było. Pan Carlson, dla odmiany, skrzywił się tak strasznie, jakbym uderzył jego matkę, a nie to pieprzone narzędzie tortur, jakim była tablica. To nasuwało ciekawe spostrzeżenia na temat jego charakteru, powiem wam. Więc rąbnąłem w tablicę jeszcze raz. I jeszcze.

- *Charlie!*

- "To kupa radości... połamać ci kości... w błotach Mississippi" - zaśpiewałem, waląc w tablicę do taktu. Za każdym razem, kiedy w nią uderzałem, pan Carlson podskakiwał. Za każdym razem, kiedy pan Carlson podskakiwał, ja czułem się odrobinę lepiej. Szybka psychoanaliza, kochani. Pogrzebicie w tym. Szalony Bombiarz, ten biedny, smutny kutasina z Waterbury, Connecticut, musiał być najlepiej przystosowanym do społeczeństwa Amerykaninem w ostatnim ćwierćwieczu.

- Charlie, zostaniesz zawieszono...

Odwrociłem się i zacząłem grzmocić w półeczkę na której leżała kreda. Zdążyłem już zrobić cholernie wielką dziurę w samej tablicy; to nie była specjalnie twarda sztuka, zwłaszcza kiedy wiadomo było jak się do niej dostać. Gąbki do wycierania i kreda ponieważ się po podłodze, sypiąc tumanami pyłu. Byłem właśnie bliski odkrycia, że do każdego można się dostać, jeśli trzyma się wystarczająco wielki kij, kiedy pan Carlson mnie złapał.

Okręciłem się na pięcie i uderzyłem go. Tylko raz. Poleciało mnóstwo krwi. Upadł na podłogę, okulary w szylkretowej oprawie spadły mu z nosa i przeleciały ponad dwa metry. Myślę, że właśnie to przełamało zakłęcie, widok okularów, ślizgających się po pokrytej kredowym pyłem podłodze. Twarz pana Carlsona była naga i bezbronna, pewnie tak właśnie wyglądała, kiedy był pogrążony we śnie. Upuściłem klucz hydrauliczny na podłogę i odszedłem nie oglądając się za siebie. Poszedłem na górę, do biura, i powiedziałem im co zrobiłem.

Jerry Kesslerling zapakował mnie do wozu patrolowego, a pana Carlsona odesłano do Głównego Szpitala Centralnego Maine, gdzie prześwietlenie wykazało pęknięcie czaszki tuż nad płatem czołowym. Wydaje mi się, że wyjęli z jego mózgu cztery odłamki kości. Kilka tuzinów więcej i mogliby skleić je szybkoschnącym klejem, tak aby układały się w napis DUPEK, a następnie dać mu to na urodziny, razem z moimi najserdeczniejszymi życzeniami.

A później były poważne rozmowy. Rozmowy z moim ojcem, z dobrym starym Tomem, z Donem Grace, i to we wszystkich możliwych konfiguracjach i odmianach. Rozmawiałem ze wszystkimi za wyjątkiem woźnego, pana Fazio. Mój ojciec zachowywał podziwu godny spokój podczas tych wydarzeń - matka chciała wyjechać z domu i faszerowała się środkami

uspokajającymi - ale co jakiś czas, prowadząc owe cywilizowane konwersacje, zwracał na mnie lodowate spojrzenie, żebym nie zapomniał przypadkiem, że czeka nas jeszcze nasza własna, prywatna rozmowa. Z rozkoszą zabiłby mnie gołymi rękami. W prostszych czasach pewnie tak by właśnie zrobił.

Nastąpiły też chwytające za serce przeprosiny spowitego w bandażu, leżącego z podsinionymi oczami pana Carlsona i jego żony o kamiennym spojrzeniu ("... wzburzony... nie wiem co we mnie wstąpiło... bardziej przykro, niż mógłbym to wyrazić...") ale mnie nikt nie przeprosił za upokarzanie na oczach całej klasy, kiedy to stałem pocąc się przy tablicy, a wszystkie cyfry na niej wyglądały jak napisane w języku Puntów z piątego wieku. Żadnych przeprosin od Dicky'ego Cable ani Dany Collette. Albo od naszego Kochanego Szurającego Stwora, który przez zaciśnięte wargi powiedział do mnie, w drodze ze szpitala do domu, że chce mnie widzieć w garażu, jak tylko się przebiorę.

Myślałem nad tym, kiedy zdejmowałem sportową marynarkę i moje najlepsze portki, i zakładałem dzinsy i roboczą koszulę w drobniutką krateczkę. Rozmyślałem, że nie zejdę do garażu - zamiast tego udam się prosto w stronę szosy. Rozmyślałem nad pójściem tam i przyjęciem konsekwencji. Coś we mnie buntowało się przeciwko temu pomysłowi. Zostałem zawieszony. Spędziłem pięć godzin w izbie zatrzymań w Ratuszu, zanim mój ojciec i rozhisteryzowana matka ("Dlaczego to zrobiłeś, Charlie? Dlaczego? Dlaczego?") wysupłali forszę na kaucję - oskarżenia, za zgodą szkoły, policji i pana Carlsona (ale nie jego żony; ona miała nadzieję, że dostanę przynajmniej dziesięć lat), zostały wycofane później.

Tak czy inaczej, uważałem, że mój ojciec i ja jesteśmy coś winni sobie nawzajem. I dlatego poszedłem do garażu.

Garaż jest miejscem zatęchłym, przesiąkniętym zapachem oleju, ale absolutnie zadbanym. Panuje tutaj wzorowy porządek. To teren mojego ojca, więc utrzymuje go w takim stanie. Miejsce na wszystko i wszystko na swoim miejscu. Yo-ho-ho, koleś. Kosiarka do trawy ustawiona schludnie, przodem do ściany. Narzędzia ogrodnicze porządnie zawieszono na hakach. Nakrętki od słoików z gwoździem przybite do belek w dachu, tak, aby słoiki znajdowały się na poziomie oczu. Sterty starych magazynów schludnie powiązane szpagatem - *Argosy, Bluebook, True, Saturday Evening Post*. Półciężarówka zaparkowana elegancko, zwrócona w stronę drzwi.

Ojciec stał tam w starych, spłowiałych spodniach khaki i w koszuli, którą zakładał na polowania. Po raz pierwszy zwróciłem uwagę, że zaczyna wyglądać staro. Jego brzuch zawsze był płaski jak deska, ale teraz zaokrąglił się trochę - zbyt wiele piw wypitych u Gogana. Wydawało się, że na nosie ma więcej popękanych żyłek, tworzących pod skórą miniaturowe, purpurowe delty, a bruzdy wokół ust i oczu były głębsze.

- Co robi twoja matka? - zapytał mnie.

- Śpi. - odparłem. Ostatnio dużo spała, w czym pomagały jej recepty na Librium. Tabletki powodowały że jej oddech był kwaśny i nieświeży. Śmierdział jak zjełczale marzenia.

- To dobrze. - stwierdził, kiwając głową. - Tego nam właśnie potrzeba, prawda?

Zaczął zdejmować pasek.

- Mam zamiar porządnie przetrzepać ci skórę. - powiedział.

- Nie. - odpowiedziałem. - Nic z tego.

Zatrzymał się, z paskiem wyciągniętym do połowy ze szlufek. - Co?

- Jeżeli podejdziesz do mnie z tym paskiem, to ci go odbiorę. - oznajmiłem. Mój głos był drżący i nierówny. - Zrobię to za ten moment, kiedy byłem mały, a ty rzuciłeś mną o ziemię i okłamałeś mamę, mówiąc, że tak nie było. Za każdy raz, kiedy zrobiłem coś złego, a ty biłeś mnie w twarz, nie dając drugiej szansy. Za tę wyprawę na polowanie, kiedy powiedziałeś, że rozetniesz jej nos, jeżeli kiedykolwiek przyłapiesz ją z innym mężczyzną.

Ojciec pobladał jak śmierć. Teraz jego głos drżał.

- Ty tchórzliwy, bojaźliwy cudaku. Myślisz, że uda ci się zwalić całą winę na mnie? Idź, opowiedz o tym temu ciotowatemu psychiatrze, jeżeli chcesz, temu z fajką. Ale na mnie nie próbuj takich sztuczek.

- Jesteś kompletnie do niczego. - oświadczyłem. - Spierdoliłeś swoje małżeństwo i spierdoliłeś wychowanie swojego jedyne dziecko. Chodź tutaj i spróbuj mnie zbić, jeżeli uważasz, że dasz radę. Wylali mnie ze szkoły. Twoja żona chodzi otepiała od prochów. Jesteś łajzą i pijaczną, niczym więcej. - płakałem. - Chodź i spróbuj mnie zbić, ty głupi chuju.

- Lepiej się zamknij, Charlie. - powiedział. - Zanim przestanę mieć zamiar cię ukarać, a zamiast tego zechcę cię zabić.

- No jazda, próbuj. - odpowiedziałem, płacząc jeszcze mocniej. - Ja chciałem cię zabić przez ostatnie trzynaście lat. Nienawidzę cię. Jesteś nic nie wart.

Zaczął zbliżać się do mnie, jak jakiś nadzorca, żywcem wyjęty z filmu o wykorzystywaniu niewolników, jeden koniec przydziałowego, wojskowego pasa owinięty był wokół jego dłoni, a drugi, ze sprzączką, kołysał się luźno. Zamierzył się na mnie, ale zdążyłem się uchylić. Pas przeleciał mi nad ramieniem i z ostrym trzaskiem uderzył w maskę samochodu, rysując lakier. Ojciec przygryzał język, a oczy wychodziły mu z orbit. Wyglądał tak samo jak tego dnia, kiedy rozbiłem zimowe okna. Nagle zacząłem zastanawiać się, czy taką minę robił, kochając się z moją matką (a przynajmniej robił to, co uchodziło za miłość); czy na to właśnie musiała patrzeć, kiedy leżała przygwożdżona jego ciałem. Ta myśl trafiła mnie jak grom z jasnego nieba i zmroziła do tego stopnia, że zapomniałem się uchylić przed następnym ciosem.

Sprzączka pasa przejechała mi po twarzy, rozdzierając policzek i orząc na nim długą bruzdę, która natychmiast zaczęła krwawić. Miałem uczucie, że jedna strona mojej twarzy i szyi zanurzona została w ciepłej wodzie.

- O Boże. - powiedział ojciec. - O Boże, Charlie.

Oko po zranionej stronie twarzy nabiegło mi łzami, ale drugim okiem widziałem jak ojciec podchodzi do mnie. Zrobiłem krok do przodu, wychodząc mu na spotkanie, chwyciłem za koniec pasa i pociągnąłem. Nie spodziewał się tego. Stracił równowagę, a kiedy podbiegł kilka kroków, żeby go odzyskać, podstawiłem mu nogę i upadł ciężko na poplamioną olejem betonową podłogę. Być może zapomniał, że ja nie mam już czterech lat, ani nie jestem dziewięciolatkiem, który kuli się ze strachu w namiocie i rozpaczliwie pragnie się wysiusiać, podczas kiedy na zewnątrz ojciec i jego kumple zrywają boki ze śmiechu. Być może zapomniał, albo nigdy tego nie wiedział, że mali chłopcy dorastają, pamiętając każde uderzenie i każde pogardliwe słowo - dorastają z pragnieniem pożarcia swoich ojców żywcem.

Z gardła ojca wyrwało się krótkie, ostre chrząknięcie, kiedy rąbnął o beton. Rozpostarł ręce, żeby zamortyzować upadek i wypuścił pasek. Teraz ja go miałem. Złożyłem pasek podwójnie i spuściłem go w dół, wprost na jego wielką, obleczoną w khaki dupę. Rozległo się głośne klaśnięcie. To pewnie nie bolało za bardzo, ale ojciec krzyknął z zaskoczenia, a ja uśmiechnąłem się. Policzek mnie od tego zabolął. Naprawdę nieźle mnie poharatał.

Podniósł się ostrożnie.

- Charlie, odłóż to. - powiedział. - Pojedziemy do lekarza, żeby założył ci szwy.

- Lepiej zacznij mówić "tak jest!" do wszystkich szeregowców jakich spotykasz, skoro pozwalasz, żeby twój własny dzieciak posłał cię na glebę. - oznajmiłem.

To go rozwścieczyło i rzucił się na mnie, a ja uderzyłem go pasem w twarz. Podniósł dłoń, żeby się zasłonić, więc wypuściłem pasek i z całej siły walnąłem go w żołądek. Ojciec

wypuścił powietrze ze świstem i zgiął się wpół. Jego brzuch był miękki, dużo miększy niż się wydawał. Nie wiedziałem, czy mam czuć się zniesmaczony, czy raczej mu współczuć. Dotarło do mnie, że człowiek, którego naprawdę chciałem skrzywdzić, stał bezpiecznie z dala ode mnie, oddzielony zasłoną lat.

Wyprostował się, zielony na twarzy. Na jego czole widniała zaczerwieniona pręga, w miejscu, w które trafiłem pasem.

- Dobra. - stwierdził, odwracając się. Zdjął ze ściany grabie z metalową końcówką. - A więc tak chcesz to rozegrać.

Sięgnąłem do tyłu i jedną ręką ująłem wiszącą na ścianie siekierkę.

- Właśnie tak chcę to rozegrać. - powiedziałem. - Zrób jeden krok, a odrąbię ci głowę, jeżeli tylko zdołam.

Staliśmy tam, próbując rozgryźć się nawzajem. Wreszcie ojciec odłożył grabie, a ja odłożyłem siekierę. Nie było w tym miłości, nie było ani odrobiny miłości w tym, jak na siebie spoglądaliśmy. Nie powiedział *"Gdybyś miał odwagę zrobić to pięć lat temu, nie doszłoby do tej sytuacji, synu... więc chodź, zabiorę cię do knajpy Gogana i wypijemy piwko na zapleczu"*. A ja nie powiedziałem, że mi przykro. Zrobiłem to, co zrobiłem, ponieważ byłem już dostatecznie duży, to wszystko. Gdybym teraz miał zabić kogokolwiek, to chciałbym aby to on był ofiarą. To, co leży na podłodze, pomiędzy moimi nogami, to klasyczny przypadek przeniesienia agresji.

- Chodź. - powiedział ojciec. - Trzeba założyć ci szwy.

- Sam mogę prowadzić.

- Zawiozę cię.

I tak właśnie zrobił. Pojechaliśmy na izbę przyjęć w Brunswick, gdzie lekarz założył sześć szwów na ranę w policzku, a ja sprzedałem mu historyjkę o tym, jak potknąłem się o kawał drewna opałowego w garażu i rozciąłem sobie policzek o kratę od kominka, którą czyścił ojciec. Mamie opowiedzieliśmy to samo. I na tym koniec. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy o tej sprawie. Ojciec nigdy nie próbował ponownie pouczać mnie, co mam robić. Mieszkaliśmy w tym samym domu, ale obchodziliśmy się z daleka, jak para starych kocurów. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że beze mnie on sobie radę da... jak mówi stara piosenka.

W połowie kwietnia pozwolono mi wrócić do szkoły, z zastrzeżeniem, że moja sprawa nadal jest rozpatrywana, więc codziennie muszę widywać się z panem Grace. Zachowywali się tak, jakby wyświadcza mi przysługę. Wielka mi przysługa. Czułem się tak, jakby siłą wepchnęli mnie z powrotem do gabinetu Doktora Caligari.

Tym razem nie zajęło wiele czasu, aby sprawy znów się popieprzyły. Sposób w jaki ludzie przyglądali mi się na korytarzach. To, że wiedziałem, iż mówią o mnie w pokoju nauczycielskim. To, że nikt - oprócz Joego - nie chciał więcej ze mną rozmawiać. A w dodatku nie bardzo chciałem współpracować z panem Grace.

Tak jest, ludziska, w samej rzeczy, sprawy popieprzyły się błyskawicznie, a robiło się coraz gorzej. Ale przez całe życie szybko się uczyłem i nie zapomniałem raz wyuczonych lekcji. Zapamiętałem, na przykład, że do każdego można się dobrać, jeżeli tylko masz wystarczająco wielki kij. Mój ojciec złapał za grabie, prawdopodobnie mając zamiar rozwalić mi czaszkę, ale kiedy ja chwyciłem za siekierę... zrezygnował.

Nigdy więcej nie zobaczyłem swojego klucza hydraulicznego, ale co tam, kurwa. Już go nie potrzebowałem, ponieważ ten kij i tak nie był wystarczająco duży. Wiedziałem o pistolecie, który mój stary od dziesięciu lat trzymał w biurku. Pod koniec kwietnia zacząłem nosić go ze sobą do szkoły.

Rzuciłem spojrzenie na ścienny zegar. Wskazywał 12:30. Wzięłem głęboki mentalny oddech i przygotowałem się do przebiegnięcia ostatniej prostej.

- I tak oto kończy się krótka, brutalna saga Charlesa Everetta Deckera. - oznajmiłem. - Jakież pytania?

Głos Susan Brooks zabrzmiał cichutko w mrocznej sali.

- Żal mi cię, Charlie.

To był głos potępienia.

Don Lordi spoglądał na mnie w jakiś głodny sposób, który sprawił, że po raz drugi tego dnia pomyślałem o "Szczękach". Sylvia paliła ostatniego papierosa ze swojej paczki. Pat Fitzgerald pracował nad samolocikiem, modelując papierowe skrzydła, jego zwykły, łobuzerski wyraz twarzy znikł, zastąpiony przez twardą, obojętną minę. Sandra Cross nadal wydawała się pogrążona w przyjemnym oszołomieniu. Nawet Ted Jones odpłynął myślami gdzieś daleko - być może rozmyślał o drzwiach, które zapomniał zamknąć na klucz, kiedy miał dziesięć lat, albo o psie, którego mógł kiedyś przypadkiem kopnąć.

- Jeżeli to wszystko, to przejdźmy może do ostatniej sprawy w naszym krótkim, ale rzucającym światło na wiele spraw zebraniu. - powiedziałem. - Czy nauczyliście się dzisiaj czegoś? Kto wie, co to za sprawa? Zobaczmy.

Obserwowałem ich. Nie było żadnej reakcji. Obawiałem się, że nie zareagują, że nie będą mogli zareagować. Tak bardzo spięci, tak zmrożeni, każdy z nich. Kiedy masz pięć lat i coś cię zrani, oznajmiasz to całemu światu głośnym wrzaskiem. W wieku dziesięciu lat tylko pochlipujesz. Ale kiedy kończysz piętnaście, zaczynasz zjadać zatrute jabłka, rosnące na twoim wewnętrznym drzewie bólu. Tak wygląda Oświecenie W Zachodnim Stylu. Uczysz się wpychać pięści w usta, aby stłumić krzyki. Krwawisz w środku. Ale oni zaszli już tak daleko...

Wtedy Świńskie Koryto podniósł wzrok znad swojego ołówka. Uśmiechał się, małym, czerwonym uśmiechem, uśmiechem fretki. Powoli wznosił dłonie w powietrze, palce nadal zaciśnięte miał na swoim tanim przyrządzie do pisania. To tylko rock and roll.

To ułatwiło sprawę całej reszcie. Z jednej elektrody zaczynają wydobywać się wyładowania i trzaski, i oto - rety! - proszę spojrzeć, profesorze, potwór zaczyna chodzić.

Susan Brooks jako następna uniosła rękę. Później kilka podniosło się równocześnie: Sandra uniosła dłoń, Grace Stanner - delikatnie - podniosła swoją, podobnie uczyniła też Irma Bates. Corky. Pat. Sarah Pasterne. Niektórzy uśmiechali się lekko, ale większość zachowywała powagę. Tanis. Nancy Caskin. Dick Keene i Mike Gavin, dwaj owiani sławą obrońcy z drużyny Placerville Greyhounds. George i Harmon, którzy razem grywali w szachy w świetlicy. Melvin Thomas. Anne Lasky. Wkrótce wszystkie ręce były już w powietrzu - za wyjątkiem jednej.

Wywołałem Carol Granger, ponieważ uznałem, że zasłużyła na swoje pięć minut. Można by pomyśleć, że ona będzie miała największy problem ze zmianą, z przekroczeniem terminatora, że tak się wyrażę, ale dokonała tego nieomal bez wysiłku, jak dziewczyna zrzucająca z siebie ciuchy w zaroślach, po tym jak zmrok spłynął już na szkolny piknik.

- Carol? - powiedziałem. - Jak brzmi odpowiedź?

Zastanowiła się, jak najlepiej to ująć. Z namysłem położyła palec na małym dołeczku obok ust, a na jej mlecznobiałym czole pojawiła się zmarszczka.

- Musimy pomóc. - oznajmiła w końcu. - Musimy pomóc Tedowi i pokazać mu, gdzie popełnił błąd.

Pomyślałem, że to bardzo taktowny sposób przedstawienia sprawy.

- Dziękuję, Carol.

Zarumieniła się.

Zerknąłem na Teda, który wrócił już do rzeczywistości. Znów spoglądał piorunującym wzrokiem, ale widać w tym było lekkie zmieszanie.

- Myślę, że najlepiej będzie - stwierdziłem - jeżeli przyjmę na siebie połączone role sędziego i oskarżyciela publicznego. Wy wszyscy możecie być świadkami, a ty, Ted, oczywiście jesteś oskarżonym.

Ted roześmiał się dziko. - Ty. - powiedział. - O Jezu, Charlie. Za kogo ty się uważasz? Jesteś kompletnie pojebany.

- Czy chcesz złożyć oświadczenie? - zapytałem go.

- Nie będziesz bawił się ze mną w te swoje gierki, Charlie. Nie mam zamiaru powiedzieć ani jednego, cholernego słowa. Zachowam przemówienie na później, kiedy już stąd wyjdziemy. - Jego oczy przebiegły po klasie oskarżycielsko i nieufnie. - A mam bardzo wiele do powiedzenia.

- Wiesz co czeka kapusiów, Rocco. - odezwałem się twardym głosem Jimmy'ego Cagneya. Gwałtownie uniosłem pistolet, wycelowałem w głowę Teda i wrzasnąłem: "BUM!"

Ted krzyknął z zaskoczenia.

Anne Lasky roześmiała się wesoło.

- Zamknij się! - zawołał Ted.

- Nie mów mi, żebym się zamknęła. - odparła. - Czemu jesteś taki przerażony?

- Czemu...? - opadła mu szczęka. Wybałuszył oczy. W tym momencie poczułem dla niego wielką litość. Biblia powiada, że wąż skusił Ewę jabłkiem. Jak potoczyła by się opowieść, gdyby był zmuszony zjeść je sam?

Ted na wpół podniósł się ze swojego miejsca, cały drżący.

- Czemu jestem...? Czemu...? - wycelował trzęsący się palec w Anne, która wcale się tym nie przejęła. - TY CHOLERNA GŁUPIA SUKO! ON MA BRONŃ! JEST SZALONY! ZASTRZELIŁ DWOJE LUDZI! ZABIŁ ICH! PRZETRZYMUJE NAS TUTAJ!

- Mnie nie przetrzymuje. - stwierdziła Irma. - Mogłam sobie pójść.

- Dowiedzieliśmy się kilku pozytywnych rzeczy o sobie nawzajem, Ted. - powiedziała zimno Susan. - Nie uważam, żebyś był pomocny, skoro wywyższasz się i zamykasz w sobie. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że to może być najbardziej znaczące doświadczenie w całym naszym życiu?

- On jest zabójcą. - oznajmił zwięźle Ted. - Zabił dwie osoby. To nie jest telewizja. Ci ludzie nie wstaną i nie pójdą do garderoby, żeby poczekać na następne ujęcie. Oni *naprawdę* nie żyją. On ich *zabił*.

- Zabójca dusz! - zasyczał nieoczekiwanie Świńskie Koryto.

- A czemu ty, kurwa, myślisz, że wszystko ujdzie ci na sucho? - zapytał Dick Keene. - Cała ta sytuacja sprawia, że srasz ze strachu o swoje małe, schludne życie, prawda? Nie sądziłeś, że ktokolwiek dowie się, że posuwałeś Sandy, no nie? Albo o twojej matce. Pomyślałeś w ogóle o niej? Wyobrażasz sobie, że jesteś jakimś błędnym rycerzem. Powiem ci kim jesteś. Jesteś zwykłym kutasem.

- Świadek! Świadek! - zawołała wesoło Grace, machając ręką. - Ted Jones kupuje magazyny z gołymi panienkami. Widziałam jak kupował je w Ronnie's Variety.

- Często walisz konia, Ted? - zapytał Harmon. Uśmiechał się złośliwie.

- A kiedyś należałeś do Gwiazdzistych Skautów. - rzekł z ubolewaniem Pat.

Ted szarpnął się w ich stronę, jak niedźwiedź, którego przywiązali do słupa, ku uciesze gawiedzi.

- *Nie masturbuję się!* - zawył.

- Jasne. - powiedział zniesmaczony Corky.

- Myślę, że jesteś naprawdę kiepski w łóżku. - orzekła Sylvia. - Popatrzyła na Sandrę. - Był kiepski w łóżku?

- Nie zrobiliśmy tego w łóżku. - sprostowała Sandra. - Byliśmy w samochodzie. I wszystko skończyło się tak szybko...

- Taaa, tak mi się właśnie wydawało.

- W porządku. - powiedział Ted. Twarz miał spoconą. Wstał. - Wychodzę stąd. Wszyscy jesteście szaleni. Powiem im... - przerwał i dodał z dziwnym i wzruszającym brakiem związku - Nie chciałem powiedzieć tego, co powiedziałem o mojej matce. - Przełknął ślinę. - Możesz mnie zastrzelić, Charlie, ale nie możesz mnie powstrzymać. Wychodzę.

Odłożyłem pistolet z powrotem na biurko.

- Nie mam zamiaru cię zastrzelić, Ted. Ale pozwolę sobie przypomnieć, że tak naprawdę nie spełniłeś swojego obowiązku.

- Otóż to. - stwierdził Dick, a kiedy Ted zrobił dwa kroki w kierunku drzwi, Dick zerwał się z miejsca, podbiegł i chwycił go za kołnierz. Twarz Teda rozplynęła się w wyrazie kompletnego zaskoczenia.

- Hej, Dick. - powiedział.

- Nie dickuj mi tutaj, ty sukinsynu.

Ted spróbował wbić mu łokieć w żołądek, ale Pat i George Yannick przytrzymali mu ramiona z tyłu.

Sandra Cross powoli wstała ze swojego krzesła i podeszła do niego, spokojnie, jak dziewczyna idąca wiejską drogą. Ted wybałuszał oczy, spojrzenie miał na wpół szalone. Mogłem wyczuć to, co się zbliżało, tak jak czasami można wyczuć zapach deszczu przed zbliżającą się letnią burzą... która czasami przynosi także grad.

Sandra zatrzymała się przed nim, a przez jej twarz przemknął wyraz filuternego, kpiącego oddania. Wyciągnęła rękę, dotykając kołnierzyka koszuli Teda. Mięśnie jego szyi naprężyły się, kiedy odskoczył przed nią. Dick i Pat trzymali go jak w imadle. Sandy sięgnęła powoli do rozchylonego kołnierzyka koszuli khaki i zaczęła ją rozpinąć, odrywając guziki. Ted nie nosił nic pod spodem. Skóra na jego piersi była naga i gładka. Sandra przesunęła się, jak gdyby chciała go pocałować, a on splunął jej w twarz.

Świńskie Koryto uśmiechnął się, spoglądając ponad ramieniem Sandry. Niechlujny dworski błazen i królewska kochanka.

- Mógłbym wydłubać ci oczy. - oznajmił. - Wiesz o tym? Wskoczyłyby jak oliwki. *Plum! Plum!*

- *Puśćcie mnie!* Charlie, każ im, żeby mnie...

- On jest oszustem. - powiedziała Sarah Pasterne na cały głos. - Zawsze zaglądał mi w kartkę podczas sprawdzianów z francuskiego. Zawsze.

Sandra stała przed Tedem, spoglądając w dół, słodki, ledwie widoczny uśmieszek wykrzywił kąciki jej ust. Dwoma palcami prawej dłoni łagodnie dotykała lśniącej płwociny na policzku.

- Hej. - wyszeptał Billy Sawyer. - Mam coś dla ciebie, przystojniaku. - Zbliżył się do Teda na paluszkach i nieoczekiwanie pociągnął go za włosy.

Ted krzyknął.

- Podczas biegów na treningach też oszukiwał. - oświadczył surowym tonem Don. - Tak naprawdę, to zrezygnowałeś z gry w football bo jesteś tchórzem, co nie?

- Proszę. - powiedział Ted. - Proszę, Charlie. - Na ustach miał dziwny uśmiech, a jego oczy lśniły od łez. Sylvia dołączyła do małego kręgu, jaki stworzył się wokół niego. To ona mogła być tą osobą, która dźgnęła go palcem w pośladek, ale nie widziałem dokładnie.

Krążyli wokół niego w jakimś powolnym tańcu, który był na swój sposób piękny. Palce szczypały i ciągnęły, pytania padały coraz szybciej, rzucono oskarżenia. Irma Bates podeszła od tyłu i wepchnęła mu linijkę w spodnie. Jakimś cudem zdarli z niego koszulę, która w dwóch strzępach pofrunęła na tyły sali. Ted wciągał powietrze głębokimi, świszczącymi haustami. Anne Lasky zaczęła pocierać gumką grzbiet jego nosa. Corky pomknął do swojej ławki jak grzeczna myszka, znalazł butelkę atramentu Cartera i rzucił ją Tedowi na włosy. Dłonie fruwały jak ptaki i pospiesznie rozmazywały smugi.

Ted zaczął płakać i wypowiadać dziwne, urywane zdania.

- Czarny brat? - zapytał Pat Fitzgerald. Uśmiechał się, rytmicznie poklepując Teda notatnikiem po nagim ramieniu. - Ty być mój czarny brat? Tak? Dać mi małe fory na starcie? Tak? Dać mi darmowy obiadek? He? He? Bracia? My być czarni bracia?

- Masz tu swoją srebrną gwiazdę, proszę. - powiedział Dick i uniósł kolano, trafiając precyzyjnie w mięsień na udzie Teda.

Ted krzyknął. Wybałuszył oczy i przewrócił nimi w moim kierunku, miał spojrzenie konia, który utknął przed wysoką przeszkodą. "Proszę... proooszę, Charlie... proooooo..." A wtedy Nancy Caskin wepchnęła mu do ust dużą kulę zmiętego papieru. Spróbował ją wypluć, ale Sandra wcisnęła ją z powrotem.

- To cię oduczy plucia. - stwierdziła z wyrzutem.

Harmon przyklęknął i ściągnął but. Potarł nim o zalane atramentem włosy Teda, a później przycisnęła podeszwę do jego piersi. Pozostawiła wielki, groteskowy odcisk.

- Wstęp wolny! - zapiszczał z zachwytem.

Niepewnie, prawie z nieśmiałością, Carol nadepnęła na stopę Teda, obleczoną tylko w skarpetkę, i zakręciła obcasem. W stopie coś trzasnęło. Ted chlipnął.

Wydawało się, że błaga o coś, gdzieś spoza papierowej kuli, ale trudno było to stwierdzić. Świńskie Koryto rzucił się jak pajak i zniemacka ugryzł go w nos.

Zapadła nagle, mroczna cisza. Zauważyłem, że odwróciłem pistolet w taki sposób, iż wylot lufy skierowany był w moją głowę, ale to oczywiście nie byłoby całkiem fair. Wyjąłem naboje i ostrożnie położyłem broń w górnej szufladzie, na planie zajęć należącym do pani Underwood. Byłem zupełnie pewny, że to nie był plan dzisiejszej lekcji, zdecydowanie nie. Uśmiechali się do Teda, który prawie nie przypominał już człowieka. W owej krótkiej chwili wyglądali jak bogowie, młodzi, pełni mądrości i wspaniali. Ted nie przypominał bóstwa. Atrament spływał mu po policzkach niebieskoczarnymi łzami, grzbiet jego nosa krwawił, a jedno oko rzucało chaotyczne spojrzenia na boki. Papier wystawał mu z ust. Oddychał gwałtownie przez nos.

Miałem czas, aby pomyśleć: *Musimy to dokończyć. Teraz już musimy przejść przez to do końca.*

Rzucili się na niego.

## Rozdział 31

Zanim wyszli, powiedziałem Corky'emu, żeby podciągnął rolety. Zrobił to kilkoma szarpnięciami. Wydawało się, że na zewnątrz stoją setki wozów policyjnych i tysiące ludzi. Pozostały trzy minuty do pierwszej.

Słońce poraziło mnie w oczy.

- Do widzenia. - powiedziałem.

- Do widzenia. - odparła Sandra.

Myślę, że wszyscy pożegnali się ze mną, zanim wyszli. Odgłos ich kroków wywoływał echo, które niesło się korytarzem. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie gigantyczną stonogę,



mającą robocze buty Georgia Giants na każdej ze swoich stu stóp. Kiedy znów je otworzyłem, moi koledzy maszerowali już po jasnozielonej trawie. Wolałbym, żeby poszli chodnikiem; nawet po wszystkim co tutaj zaszło, nadal był to niebyle jaki trawnik.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem patrząc na nich, były ich dłonie, umazane czarnym atramentem.

Ludzie otoczyli ich opiekuńczym kręgiem.

Jeden z reporterów, nie zważając na nic, wymknął się trzem policjantom i na łeb na szyję runął w tamtą stronę.

Jako ostatnia zniknęła w tłumie Carol Granger. Wydawało mi się, że obejrzała się do tyłu, ale nie mogłem tego stwierdzić z całą pewnością. Philbrick zaczął iść w kierunku szkoły miarowym krokiem. Wszędzie wokół błyskały flesze.

Czas się kurczył. Podeszedłem do miejsca gdzie Ted opierał się o zieloną ścianę z cegieł. Siedział z szeroko rozrzuconymi nogami pod tablicą ogłoszeń, zawieszoną powiadomieniami z Amerykańskiego Stowarzyszenia Matematycznego, których nikt nigdy nie czytał, paskami komiksowymi z "Fistaszków" (szczytowym osiągnięciem humoru, jak ostatnio stwierdziła pani Underwood) i plakatem na którym widniał Bertrand Russell oraz cytat: "Samo istnienie grawitacji dowodzi istnienia Boga". Ale każdy student, jak świat długi i szeroki, mógłby uświadomić Bertranda, że zostało ostatecznie udowodnione, iż grawitacja nie istnieje; ziemia jest po prostu wciągająca.

Przykucnąłem obok Teda. Wyjąłem zmiętą kulę papieru z jego ust i odłożyłem ją na bok. Ślina pociekła mu z ust.

- Ted.

Spoglądał gdzieś poza mnie, ponad moim ramieniem.

- Ted. - powtórzyłem, poklepując go delikatnie po policzku.

Skulił się i odsunął, przewracając dziko oczami.

- Wkrótce poczujesz się lepiej. - powiedziałem. - Zapomnisz, że ten dzień w ogóle istniał.

Ted zakwilił.

- A może i nie. Może zaczniesz na nowo od tego punktu, Ted. Zbudujesz coś na tych podstawach. Czy to taki niewykonalny pomysł?

Owszem, to był niewykonalny pomysł. Dla nas obu. A przebywanie tak blisko Teda sprawiało, że robiłem się bardzo nerwowy.

Interkom włączył się ze szczękiem. To był Philbrick. Znów sapał i dmuchał.

- Decker?

- Obecny.

- Wyjdź z podniesionymi rękami.

Westchnąłem. - To ty chodź tutaj i mnie zgarnij, Philbrick, chłopie. Ja jestem cholernie zmęczony. Bycie wariatem wysysa z człowieka wszystkie siły.

- W porządku. - powiedział z namysłem. - Za około minutę do sali wrzucony zostanie pojemnik z gazem łzawiącym.

- Lepiej nie. - stwierdziłem. Popatrzyłem na Teda. Nie odwzajemnił spojrzenia; wzrok nadal utkwiony miał w pustce. Cokolwiek w niej widział, musiało to być apetyczne, bo wciąż się ślinił. - Zapomniałeś policzyć wychodzących. Jest tutaj jeszcze jedna osoba. Jest ranny.

To dopiero niedomówienie.

Głos Philbricka nadal był nieufny.

- Kto?

- Ted Jones.

- Jak poważnie jest ranny?

- Uderzył się w palec u nogi.

- Nie ma go tam. Kłamiesz.  
- Nie okłamałbym cię, Philbrick, nie zaryzykowałbym pogorszenia naszych wspaniałych stosunków.

Brak odpowiedzi. Puf, sap, dmuch.

- Zejdź na dół. - ponowiłem zaproszenie. - Pistolet nie jest naładowany. Leży w szufladzie biurka. Możemy rozegrać kilka partyjek cribbage'a, a później zabierzesz mnie na zewnątrz i opowiesz tym z gazet, jak to pokonałeś mnie jedną ręką. Może nawet umieszczą cię na okładce Time'a, jeżeli dobrze to wszystko rozegramy.

*Brzdęk.* Wyłączył się.

Zamknąłem oczy i ukryłem twarz w dłoniach. Widziałem jedynie szarość. Nic, tylko szarość. Ani jednego promyka światła. Bez żadnego powodu zacząłem myśleć o Sylwestrze, o wszystkich tych ludziach stojących na Times Square i wrzeszczących jak idioci, kiedy rozświetlona kula zjeżdża w dół po słupie, gotowa opromienić swoim słabym, uroczystym blaskiem nadchodzące trzysta sześćdziesiąt pięć dni na tym najlepszym z możliwych światów. Zawsze zastanawiałem się, jakie byłoby to uczucie, stać się częścią owego tłumu, krzyżeć, nie słysząc własnego głosu, na chwilę wyzbyć się osobowości i dać się pochłonąć ślepej, empatycznej ckliwości, jaką emanuje całe, podniecone wyczekiwaniem zgromadzenie, stać biodro przy biodrze, ramię przy ramieniu ze wszystkimi, ale z nikim w szczególności. Zacząłem płakać.

Kiedy Philbrick wkroczył przez drzwi, rzucił szybkie spojrzenie na śliniącego się Teda, a później spojrzął na mnie. "Co, na litość boską, zrobiłeś..." zaczął.

Udałem, że chwytam coś zza ułożonego na biurku pani Underwood stosu książek.

- Masz, ty pieprzony glino! - wrzasnąłem.

Strzelił do mnie trzykrotnie.

## Rozdział 32

CI, KTÓRZY POWINNI BYĆ POINFORMOWANI W TEJ MATERII NIECHAJ PODEJDĄ I DOWIEDZĄ SIĘ, NINIEJSZYM, CO NASTĘPUJE:

CHARLES EVERETT DECKER, został przez Wysoki Sąd uznany za winnego zabójstwa z premedytacją w dniu 27 sierpnia 1976 roku *Jean Alice Underwood*, a także za winnego zabójstwa z premedytacją w tym samym dniu 27 sierpnia 1976 roku *Petera Downesa Vance'a*, dwojga ludzi.

Pięciu psychiatrów stanowych wydało opinię, że Charles Everett Decker nie może być obecnie obarczany odpowiedzialnością za swoje czyny, ponieważ w trakcie popełniania ich był niepoczytalny. Dlatego więc, decyzją Sądu, odesłany zostanie do Szpitala Stanowego w Augustie, gdzie będzie przebywał na leczeniu, do czasu aż uznany zostanie za zdolnego do podjęcia odpowiedzialności za swoje działania.

Pod tym wyrokiem podpisuję się własnoręcznie.

(Podpisano)

(Sędzia) Samuel K. N.

Deleavney

Innymi słowy, dopóki księżyc nie zmieni się w gówno, kochani.

Rozdział 33

#### Notatka międzywydziałowa

OD: Dr Andersen

DO: Richa Gossage'a, administratora skrzydła.

TEMAT: Theodore Jones

Rich,

Nadal nie mam ochoty zastosować wobec tego chłopca terapii wstrząsowej, chociaż sam nie potrafię wytłumaczyć przyczyny - możesz to nazwać przecuciem. Oczywiście, nie mogę usprawiedliwiać się przecuciem na dywaniku u dyrektora, ani przed wujem Jonesa, który płaci rachunki, a w prywatnej klinice, takiej jak Woodlands, to nie są małe kwoty, jak obaj wiemy. Jeżeli nie będzie żadnych postępów przez najbliższe cztery - sześć tygodni, zastosujemy standardowe elektrowstrząsy, ale teraz chciałbym jeszcze raz przeprowadzić kurację typowymi lekami, plus kilka nietypowych - mam na myśli połączenie syntetycznej meskaliny i psylocybiny, jeżeli wyrazisz zgodę. Will Greenberger osiągnął niemały sukces z pacjentami pogrążonymi w połowicznej katatonii, jak wiesz, a te dwa halucynogeny odegrały w nim główną rolę.

Jones jest zaskakującym przypadkiem - niech to szlag, gdybyśmy tylko mogli mieć pewność co zaszło w sali po tym, jak Decker kazał zaciągnąć rolety!

Diagnoza nie uległa zmianie. Całkowita katatonia wykazująca tendencję do pogarszania się. Przyznam się przed tobą, Rich, że nie jestem już tak optymistycznie nastawiony do tego przypadku jak kiedyś.

3 listopada 1976

Rozdział 34

5 grudnia 1976

Drogi Charlie,

Powiedzieli mi, że można do ciebie pisać, więc pomyślałem, że skrobnę parę linijek. Może zwróciłeś uwagę, że list nadano z Bostonu - twój stary kumpel wreszcie ma za sobą Wielki Moment i obecnie spędza po szesnaście godzin dziennie tutaj, na U.B (co oznacza Upierdliwie Beznadziejny). Wszystko tu jest jakieś rozlazłe, oprócz zajęć z angielskiego. Wykładowca kazał nam przeczytać książkę "Listonosz zawsze dzwoni dwa razy", która była naprawdę dobra, i dostałem szóstkę na egzaminie. Napisał ją James Cain, czytałeś to kiedyś? Myślę o wybraniu angielskiego jako głównego kierunku studiów, można się uśmieć, nie? To musi być twój wpływ. To ty zawsze byłeś mózgiem naszego duetu.

Spotkałem twoją mamę, tuż przed moim wyjazdem z Placerville i powiedziała, że jesteś już prawie zdrowy, i że ostatni sączek wyjęli ci trzy tygodnie temu. Bardzo mnie to ucieszyło. Powiedziała, że nie rozmawiasz zbyt wiele. To do ciebie nie podobne, stary. To byłaby niewątpliwa strata dla ludzkości, gdybyś zamknął się w sobie i tylko kulił się w kącie całymi dniami.

Chociaż nie byłem w domu odkąd zaczął się nowy semestr, Sandy Cross napisała do mnie list z mnóstwem nowin o ludziach z naszego miasta. (Czy ci dranie to ocenzurują? Jestem pewien, że czytają twoją pocztę.) Sandy zdecydowała, że nie pójdzie w tym roku do college'u. Teraz, tak jakby, kręci się bez sensu i czeka, aż coś ciekawego się wydarzy. Równie dobrze mogę ci powiedzieć, że umówiłem się z nią kilka razy ostatniego lata, ale wydawała się trzymać mnie na dystans. Poprosiła mnie, żebym powiedział ci od niej "cześć", więc oto masz "cześć" od Sandy.

Być może wiesz, co stało się ze Świńskim Korytem, nikt w mieście nie mógł uwierzyć, w to co mówią o nim i o Dicku Keene, że [następująca część została ocenzurowana, ze względu na możliwość wywołania negatywnej reakcji u pacjenta], więc nigdy nie można stwierdzić, do czego ludzie są zdolni, no nie?

Przemowa, którą Carol Granger wygłosiła na zakończenie szkoły została przedrukowana przez magazyn *Seventeen*. O ile pamiętam, temat brzmiał "Samodoskonalenie i prawidłowa reakcja na nie", albo jakieś podobne pierdoły. Mielibyśmy z tego niezły ubaw, prawda, Charlie?

A, właśnie, Irma Bates spotyka się z jakimś hipisem z Lewiston. Wydaje mi się, że byli nawet razem na demonstracji, kiedy Robert Dole przyjechał do Portland w trakcie swojej kampanii prezydenckiej. Zostali aresztowani i wypuszczono ich dopiero, kiedy Dole odleciał. Pani Bates musi szaleć z wściekłości. Wyobrażasz sobie Irnę, próbującą rozwalić łeb Robertowi Doyle transparentem z wizerunkiem Gusa Halla? Ha-ha, to mnie zwyczajnie dobija. Z tego też byśmy się uśmiali, Charlie. Boże, czasami tęsknię za tobą, ty stary pomyleńcu.

Gracie Stanner, ta ślicznotka, zamierza wyjść za mąż i to kolejna miejscowa sensacja. Ludziom nie mieści się to w głowach. [następująca część została ocenzurowana, ze względu na możliwość wywołania negatywnej reakcji u pacjenta] Tak czy inaczej, nie można przewidzieć, do jakich głupstw mogą posunąć się niektórzy, prawda?

No cóż, myślę, że to na razie na tyle. Mam nadzieję, że traktują cię przyzwoicie, Ferd, i że wyjdiesz stamtąd tak szybko, jak tylko ci na to pozwolą. A kiedy już zezwolą ci na przyjmowanie odwiedzin, to chcę żebyś wiedział, że ja przyjdę w pierwszej kolejności.

Wielu z nas trzyma za ciebie kciuki, Charlie. Bardzo mocno trzyma kciuki.

Ludzie nie zapomnieli. Wiesz co mam na myśli.

Musisz w to wierzyć.

Ucałowania, twój przyjaciel. (Joe McK)

## Rozdział 35

Nie miałem żadnych koszmarnych snów od prawie dwóch tygodni. Układam sporo łąmigłówek. Dają mi na deser krem jajeczny, nienawidzę go, ale zawsze zjadam. Oni myślą, że mi smakuje. Wreszcie mam znowu swój sekret.

Mama przysłała mi rocznik szkolny. Jeszcze go nie odpakowałem, ale może to zrobię. Być może w przyszłym tygodniu. Myślę, że mógłbym spojrzeć na zdjęcia uczniów ostatniego roku i nie zacząć przy tym ani trochę drzeć. Już całkiem niedługo. Tak prędko, jak tylko będę mógł uwierzyć, że na ich rękach nie będzie żadnych czarnych smug. Że ich dłonie będą czyste. Żadnego atramentu. Może w przyszłym tygodniu będę już tego całkowicie pewien.

A co do kremu jajecznego: to tylko maleńka tajemnica, ale posiadanie jej sprawia, że czuję się lepiej. Znowu czuję się jak człowiek.

To już koniec. Muszę już zgasić światło. Dobranoc.

